

JOANNA CHMIELEWSKA

BOCZNE DROGI

*Ukochanej Rodzinie
poświęcam*

Od Teresy, mojej ciotki z Kanady, przyszedł list. Nie był to ewenement, bo listów od niej przychodziło wiele, ten jednakże tym się odznaczał, iż precyzował termin jej przyjazdu do Polski na lato. Od dłuższego już czasu dawała wyraz nieprzepartej tęsknocie do szeleszczących łanów zbóż i skowronków ćwierkających w przestworzach oraz, ogólnie biorąc, ojczyźnianej sielanki na łonie rodziny, no i wreszcie podjęła męską decyzję. Powiadomiła nas, że samolot wycieczkowy Polonii kanadyjskiej przylatuje na Okęcie czternastego czerwca o godzinie wpół do ósmej rano.

Na całą rodzinę padł blady strach, bo diabli wiedzą, jakie wymagania może mieć osoba rozbestwiona kapitalizmem, równocześnie zaś wszyscy chcieli podjąć tę Teresę z honorami i uczuciem, żeby się tu poczuła zgoła jak w raju. Rzecz wydawała się nieco skomplikowana.

— Jezus Mario, Józefie święty — powiedziała moja matka z lekką zgrozą i wyraźnym przygnębieniem. — Co my jej damy do jedzenia? Poprzednim razem jadła tylko chudą szynkę, skąd ja jej wezmę chudą szynkę?

— A tłustą szynkę masz? — spytała jadowicie jej siostra, druga moja ciotka, Lucyna. — Bo jakbyś miała tłustą, to wiesz, ten tłuszcz można odkroić...

Siostra ojca, ciocia Jadzia, osoba o łagodnym usposobieniu, a zarazem moja trzecia ciotka, uczyniła nieśmiałe przypuszczenie, że Teresę da się karmić chudym twarożkiem, którego jest pod dostatkiem. Ojciec, nie zdając sobie sprawy, co czyni, zaproponował cielęcinę, czym śmiertelnie obraził moją mamusię, utrzymującą, że się z niej głupio naigrawa. Rozmaite; osoby postronne udzielały życzliwych rad, z których żadna nikomu nie przypadała do gustu.

Osobiście miałam większe zmartwienia niż głupi twarożek, nie brałam zatem udziału w rozważaniach. Godzina jej przybycia wydawała mi się taka więcej upiorna. Co najmniej tydzień wcześniej jęłam czynić próby wczesnego chodzenia spać, żeby zdążyć na lotnisko na wpół do ósmej rano i do tego jako tako przytomna. Istniały wprawdzie czasy, kiedy biura projektów pracowały od szóstej rano i mnie również ten kataklizm dotknął, na szczęście jednak trwało to niezbyt długo, bo tylko do chwili, kiedy jeden z filarów naszego zawodu na jakimś szalenie ważnym zebraniu w obliczu wysoko postawionych osobistości mocno zirytowany powiedział, że szósta rano to jest godzina do niczego. Zbyt późna do udoju krów, a zbyt wczesna do udoju architektów. Jego wypowiedź wzięto pod uwagę i rzecz uległa zmianie. Od tamtych czasów minęło wiele lat i przywykłam raczej do oglądania świtów niejako od tyłu.

Dołożywszy wysiłków czternastego o siódmej piętnaście byłam gotowa do wyjścia. Od drzwi zawrócił mnie telefon. Dzwonił ojciec z informacją, że nastąpiła drobna zmiana, samolot kanadyjski przylatuje, nie o wpół do ósmej, tylko o dziesiątej piętnaście.

Na lotnisko, spokojnie i bez żadnych złych przeczuć, przyjechałam o dziesiątej dwadzieścia. Ustawiłam samochód na dalekich tyłach parkingu. Znalazłam kolejno ojca, ciocię Jadzię i Lucynę, nie znalazłam natomiast mojej mamusi.

— Twoja matka siedzi w wychodku u mnie w domu — oznajmiła Lucyna. — Ze zdenerwowania dostała rozstroju żołądka. Kazałam jej zostać, bo z dwojga złego lepiej, żeby siedziała w wychodku tam niż tu. Wiesz, o której do mnie przyszła?

Poczułam lekki niepokój, ale zarazem i zaciekawienie, znając bowiem własną rodzicielkę, wiedziałam, że można się po niej spodziewać czynów oryginalnych, szczególnie o poranku.

— Pewno wcześniej — odparłam. — Bo co?

— A jak ci się zdaje, ile czasu potrzebuję, żeby się dostać od siebie na lotnisko?

Lucyna mieszkała na Okęciu, niejako u wylotu terenów portu lotniczego, tuż obok przystanku autobusowego. Trudno było mieszkać bliżej.

— Nie wiem, ile czasu jedzie autobus — powiedziałam ostrożnie po namyśle.

— Trzy minuty — rzekła Lucyna zimnym głosem.

— No to chyba razem z dziesięć minut?

— Owszem. Dziesięć. Zaś twoja matka przyleciała i wyrwała mnie ze snu pięć po szóstej. Zażądała, żeby natychmiast jechać na lotnisko, bo inaczej nie zdążymy. Mnie zawdzięczasz, że ojciec do ciebie dzwonił, bo inaczej też byś tu siedziała jak głupia od wpół do ósmej rano.

Samolot z Kanady nadleciał i wylądował parę minut po jedenastej. W wielkiej hali panowało najdoskonalsze pandemonium, jak zwykle przy przylocie Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej. Na widokowym balkoniku kłębił się zbity tłum, zachłannym wzrokiem wpatrzony w podjeżdżające do kontroli celnej bagaże. Udało mi się przepchnąć bliżej poręczy i rzucić okiem.

— Jest Teresa! — zaraportowałam z przejęciem.

— W czymś czerwonym na głowie, stoi przy wyjściu, wygląda na to, że pierwsza. Lucyna, pchaj się na dół, prędzej!

Wszyscy razem znaleźliśmy się przy drzwiach, którymi pojedynczo wypuszczano pasażerów. Ojciec był nieco obrażony na ciocię Jadzię, bo on również poznał Teresę w jakimś czerwonym pagaju na głowie, a ciocia Jadzia nie chciała mu wierzyć, twierdząc, że ma sklerozę. Tymczasem to ona ma sklerozę, a on widział dobrze. Lucyna uczyniła przypuszczenie, że Teresa przyodziła się w ów czerwony kapelusz na wszelki wypadek, z uwagi na ustrój, bo kto wie, jakie kretyńskie plotki znów tam się u nich zaległy. A możliwe, że po prostu chciała nas uczić. Tłum napierał na drzwi, wyszedł uprzejmy pan w kraciastej

koszuli i drogą perswazji uzyskał drobne ustępstwo. Tłum przestał się pchać na drzwi i stanął szerokim kręgiem wokół.

Owe drzwi, jak wiadomo, otwierają się tylko od wewnętrznej strony. Przy każdej wychodzącej osobie usiłowano zajrzeć do środka, przytrzymując je pod pozorem pomocy przy wywlekaniu bagaży, ale zasadniczo, krąg trwał twardo w miejscu. Wyłamała się koścista wsiowa baba w podeszłym wieku. Roniąc rzewne łzy i siąkając nosem, uczepliła się drzwi i trzymała je otwarte, co z jakichś przyczyn jest tam źle widziane, aczkolwiek zawsze budzi cichą aprobatę oczekujących. Pan w kraciastej koszuli znów wyszedł i łagodnie poprosił, żeby zaniechała manewrów. Baba, symulując głuchotę, puściła drzwi tylko na chwilę i natychmiast przytrzymała je ponownie za następną osobą. Krąg nie wytrzymał i zaczął się zacieśniać. Pan w kraciastej koszuli jął perswadować babie z nieco większym naciskiem, ale ciągle był nieskalanie uprzejmy. Krąg zacieśniał się bardziej, musiał jednak częściowo odskoczyć, bo z drzwi celnym kopem została wypchnięta potwornych rozmiarów waliza, która rozpedziła się na śliskiej posadzce i runęła ludziom na nogi. Za nią z nieco mniejszym impetem pojechały dwie następne. Ludzie się trochę skotłowali, baba zręcznym unikiem zeszła z drogi walizom i znów dopadła drzwi. Widać było, jak ręka jej do nich przyrosła i mowy już nie ma o oderwaniu, atmosfera niepokojąco zgęstniała, napięcie wzrosło. Pan w kraciastej koszuli stał w sąsiednim wejściu i patrzył, nic już nie mówiąc.

— Niech pękne, on ją za chwilę udusi — zauważyła Lucyna, z żywą uciechą przyglądając się scenie.

Miałyśmy znakomite miejsce koło słupa i doskonały widok na wszystko. Zgodziłam się z nią, bardzo zainteresowana. Ciekawiło mnie, ile jeszcze wytrzyma pan w kraciastej koszuli, wyraz twarzy miał bowiem taki, że można było liczyć najwyżej na parę minut. Do interesujących wydarzeń jednakże nie doszło, oczekiwana przez babę osoba wyszła wreszcie i obie runęły sobie w ramiona, gwałtownie szlochając i przewracając się o walizki. Pan w kraciastej koszuli nagle jakby zmiękł w sobie, na moment przymknął oczy, dmuchnął przeciągłym westchnieniem i wycofał się do środka. Obie baby, krajowa i zagraniczna, oddaliły się w końcu, wlokąc bagaże po ludzkich nogach.

Wówczas przypomnieliśmy sobie o Teresie, która wśród takich atrakcyjnych widoków całkowicie wyleciała nam z głowy. Powinna była wyjść już dawno, bo stała przecież jako pierwsza, a z całą pewnością nie wiozła nic takiego, co mogłoby ciekawić kontrolę celną. Tłumy wyszły, a ona nie. Gdzie, u licha, mogła się podziać?

— Pomyliliście się obydwójce, to wcale nie była ona, przyleci następnym samolotem — powiedziała Lucyna głosem ponuro proroczym.

— W każdym razie powinna wyjść baba w czerwonej bani na głowie — zaprotestowałam.
— Ona czy nie ona, stała prawie na czele.

Czas jakiś przekomarzałyśmy się na ten temat we trzy z ciocią Jadzią. Ojciec nie brał udziału w dyskusji, bo nie dosłyszał proroctwa Lucyny. Kres wątpliwościom położyła sama Teresa, wypychając przez owe denerwujące drzwi walizę przeciętnych rozmiarów, ale za to niezwykle grubą. Obydwoje z ojcem rozpoznaliśmy ją bezbłędnie, na głowie istotnie miała czerwoną bułę, pod bułą zaś bardzo dziwny wyraz twarzy. Mieszały się w nim elementy oszołomienia i furii.

— O Boże, myślałam, że zostanę tam już na całe życie! — wykrzyknęła. — Wyjdźmy z tego tłoku!

— Coś ty tam robiła tyle czasu, przecież stałaś przy samych drzwiach? — powiedziała ciocia Jadzia, odpracowawszy już padanie w objęcia. — Przepuszczałaś wszystkich tak z uprzejmości?

— Komuś zginęły walizki — odparła Teresa. — To znaczy nie tak, ktoś zginął walizkom. Akurat przede mną. Gdzie jest moja najstarsza siostra? Na litość boską, dajcie rui coś pić, w samolocie była herbata na pomyjach i już od Montrealu zabrakło wody! Gdzieś mi się podziła jedna noc i ja zaraz idę spać! Gdzie moja siostra?!

Atmosfera portu lotniczego wywarła już na nas swój wpływ. Lucyna wyjaśniła Teresie krótko i treściwie, gdzie jest i co robi jej najstarsza siostra. Równocześnie powiadomiłam ją, że napoje są na górze w kawiarni i możemy tam pójść. Równocześnie ciocia Jadzia koniecznie chciała wiedzieć, kto i dlaczego zginął walizkom. Równocześnie ojciec, nie słuchając nas wszystkich, usiłował spowodować opuszczenie hali wraz z bagażami. Teresie, która leciała na wschód i od poprzedniego poranka nie zmrużyła oka, zaczęło to wszystko nieco szkodzić na umysł.

— Kto idzie spać? — dopytywała się natarczywie. — Czyja się wreszcie dowiem, kto idzie spać, to znaczy nie, nie tak, wiem, kto idzie spać, ja idę spać, chciałam powiedzieć, gdzie ta kawiarnia? Na litość boską, niech Janek przestanie się pchać i posiedzi chwilę spokojnie, ja muszę poczekać na Marysię, jakieś walizki były przede mną, nie wiem czyje, w kratkę, właściciel gdzieś zginął i długo go szukali, i w końcu odstawili je na tył, czy ja się mogę wreszcie czegoś napić?!

Ciocia Jadzia szarpała ją za rękaw.

— Gdzie Marysia? Przyleciała z tobą Marysia? Gdzie ona jest?

— Nie wiem, wysiadła ostatnia, przestańcie, rozszarpiecie mnie na sztuki!

Ciągnęłam ją za rękę w drugą stronę, w kierunku kawiarni, żeby przynajmniej jedno mieć już z głowy.

— Po jakiego diabła mamy czekać na Marysię, chodźże już, dostaniesz coca-coli albo wody sodowej...

— Zróbmy coś wreszcie, bo moja siostra tam u mnie dostanie rozstroju nerwowego! — zirytowała się Lucyna.

Po pewnym czasie wyjaśniło się, że razem z Teresą przyleciała znajoma i nie wiadomo było, czy na nią ktoś czeka, czy nie. Jeśli nie, trzeba jej pomóc. Ciocia Jadzia popędziła czatować na nią, zabrałam Teresę do kawiarni; kiedy wróciliśmy na dół, okazało się, że znajoma już jest, czeka na nią brat z samochodem i ciocia Jadzia na razie z nimi pojedzie. Wobec tego my również możemy jechać.

— O, to właśnie ta kraciasta waliza, której zginął właściciel — zauważyła Teresa, przepychając się przez halę. — Wszystkie rzeczy miał kraciaste. Gdzie Janek?

— Siedzi pod słupem — odparła Lucyna. — Usiłował rąbnąć komuś torbę, bo myślał, że to twoja, ale go pohamowałam. Jedźmy wreszcie!

Ledwo rzuciłam okiem na ową kobyłę w szaro-granatowo-czerwoną kratę, nie poświęcając jej żadnej uwagi. Z ulgą wypchnęłam się z hali. Podjechałam pod wejście, gdzie jest zakaz zatrzymywania i zaczęłam, pospiesznie upychać rodzinę w samochodzie. Walizka Teresy, ze względu na nietypową grubość, nie chciała się zmieścić w bagażniku, przeszkadzało ulokowanej w nim moje szóste koło zapasowe. Chaos dookoła panował absolutny, w najbliższych drzwiach zrobił się korek nie do rozwikłania, bo ktoś wzywał z powrotem! do środka bagażowego, wychodzącego już z walizkami, i bagażowy zaczął się cofać pod prąd. Zdażyłam; zauważyć, że niesie ową kraciastą kobyłę, i pomyślałam, że jej właściciel musi być człowiekiem wyjątkowo konfliktowym, po czym dostrzegłam zbliżającego się milicjanta. Machnęłam ręką na wszystko, wepchnęłam na tylne siedzenie Teresę i ojca z jej walizką w objęciach, Teresa coś mamrotała, że znów ją chcą tu udusić, jak w kinie przed dwudziestu laty, i Lucyna wsiadła dobrowolnie z dużym pośpiechem, j bo również dostrzegła milicjanta, i wreszcie stamtąd odjechałam.

— Zabierz to uprzejmie, bo mi trochę przeszkadza — powiedziałam do Lucyny, usiłując zepchnąć jej torbę z rączki biegów. — Przystaw na drugą stronę.

— Nie mogę, tam jest teczka twojego ojca.

— To trzymaj na kolanach.

— Też nie mogę, coś jej wylazło z dna i okropnie kłuje.

— Nie wiem, gdzie tu się zmieści twoja matka — zauważyła Teresa krytycznie.

— Janek pojedzie, autobusem — odparła Lucyna.

Ojciec nic nie mówił, bo przyduszała go waliza.

— Nikt nie pojedzie żadnym autobusem — zdecydowałam stanowczo. — Przełoży się moje szóste koło na tył i walizka wejdzie do bagażnika. Wy obie możecie iść po mamusię na górę, a my tu z ojcem zrobimy porządek.

— Można wiedzieć, po co ci szóste koło? — zaciekawiała się Teresa.

— Chuligański element rżnie mi opony, bo się wdałam w kryminalną aferę. Usiłują mnie w ten sposób zastraszyć. Szóste koło mam na wszelki wypadek, żeby w razie czego nie pożyczać po ludziach.

— I co, jesteś zastraszona?

— Przeciwnie. Lubię niezwykle wydarzenia. Gdyby mi się gdzieś zmieściły jeszcze dwa koła, siódme i ósme, miałabym z tego już samą przyjemność...

Podróż do Lucyny trwała dwie minuty, pod jej domem przedstawienie zaczęło się na nowo. Moje koło było ciężkie jak piorun, samochody stały gęsto i z niejakim trudem wytłumaczyłam ojcu, że nie należy wybijać szyb w żadnym z nich. Przełożyłam puszkę z olejem na tył, udało nam się w końcu domknąć bagażnik z walizką Teresy w środku, na co nadeszła Lucyna.

— Twoja matka jest ciężko chora na zatrucie pokarmowe — oznajmiła. — Nie może się ruszyć. Leży owinięta moją kotarą z okna, którą zdjęłam do prania, i nie pozwala jej sobie odebrać. Teresa jest nieprzytomna z niewyspania, tu nic nie ma, wszystko przygotowane u nich w domu. Nie możemy jej tu zostawić. Lepiej chodźcie na górę, bo nie wiem, co zrobić.

Po krótkiej chwili nikt już nie wiedział, co zrobić. Cała rodzina, ogłuszona sytuacją, zebrała się dookoła mojej mamusi, która, tuląc do siebie kotarę Lucyny, słabym głosem oświadczała, że chce natychmiast do domu i że nie ruszy się za nic w świecie. Teresa ledwo patrzyła na oczy. Ogarnęła mnie beznadziejna rozpacz, bo widać było, że wszyscy zgłupieli i konflikt potrzeb staje się nie do rozwikłania. Z tej rozpaczki wpadłam na pomysł.

— W porządku - powiedziałam energicznie i bezlitośnie. — Wzywamy pogotowie i przewieziemy ją karetką na leżąc.

Na te słowa moja mamusia natychmiast usiadła, prawie odzyskując siły.

— Nie chcę — wyszeptwała rozpaczliwie. — Ja się boję pogotowia...

Wiedziałam, że się boi, i na tym opierałam swoje nadzieje. Wynieść jej chałupniczymi środkami razem z kanapą Lucyny nie zdołalibyśmy w żaden żywy sposób. Porozumiałam się przez telefon ze szwagierką, która Od wielu lat była jedynym lekarzem, budzącym zaufanie całej rodziny, wysłuchałam instrukcji i sprowadziliśmy mamusię na dół. Przed samochodem rozegrała się straszna scena, bo żadna siła nie była w stanie skłonić ojca, żeby bodaj na chwilę

puścił mamusię, musiał zaś ją puścić, żeby usiąść z tyłu, żeby ona mogła wsiąść z przodu. W pojeździe dwudrzwiowym, jak wiadomo, odbywa się to w ściśle określonej kolejności.

— Puść mnie! Do diabła! Wsiadaj! — jęczała mamusia słabo i rozdzierająco akurat w to ucho ojca, na które nie słyszał. — Ja chcę usiąść! Niedobrze mi...

— Odbierz mu ją! Niech on wreszcie wsiądzie! — warczały zgodnie Teresa i Lucyna w samochodzie.

Ojciec twardo trzymał mamusię, czyniąc próby wepchnięcia jej nie wiadomo gdzie, boja z kolei twardo trzymała przedni fotel odchylony. Teresa i Lucyna ze środka usiłowały wciągnąć go przemocą, zespolona z ojcem mamusia całkowicie to uniemożliwiała, starała mu się wyrwać, chwiejąc się i jęcząc bezskutecznie. Wyglądało na to, że zostaniemy już tak na zawsze.

— Tato, wsiadaj, jak rany, ja ją przytrzymam!

— wrzasnęłam okropnym głosem i siłą wydarłam matkę ojcu z rąk. Ojciec w końcu wsiadł, wciąż pełen obaw, czy dobrze robi.

Ruszając przypadkiem spojrzałam na zegar na tablicy rozdzielczej i aż się zdziwiłam, że to wszystko razem trwało tak krótko. Ledwie dwadzieścia minut. Wyjechałam na Żwirki i Wigury, przepuszczając wiśniowego peugeota, który leciał z lotniska. Z przystanku akurat ruszał autobus, peugeot zatem zwolnił i na jego tylnym siedzeniu dostrzegłam między pasażerami wielką, kraciastą walizę. Pomyślałam, że pewnie nie zmieściła im się do bagażnika, i znów poczułam chęć obejrzenia jej właściciela względnie właścicielki. Obok walizy siedziały dwie osoby różnej płci, które widziałam od tyłu, ciekawił mnie zaś raczej ich przód. Peugeot wyprzedził autobus i gwałtownie przyspieszył. Odruchowo docisnęłam gaz, już zaczynając się z nim ścigać, zreflektowałam się jednakże, bo zgodnie z zaleceniem szwagierki miałam wieść tę moją mamusię niczym śmierdzące jajko.

— Prześladują cię te bagaże w kratkę — powiedziała życzliwie Lucyna do Teresy. — Gdzie się nie obrócisz, wszędzie wchodzą ci w drogę. Nie naraziłaś im się przypadkiem?

— Bagażom?

— Nie, właścicielom.

— Nie wiem — odparła Teresa z posepnym westchnieniem. — Może to omen? Coś tu zrobię nie tak, jak trzeba, i wsadzą mnie za kratki. Co oni tam robili tyle czasu na tym lotnisku, specjalnie na mnie czekali czy co?

Żadnej z nas nie zaświtało nawet w głowie, że udało jej się wygłosić potężne proroctwo. Gdyby potrafiła przewidzieć całą reakcję łańcuchową, zapoczątkowaną przez te komplikacje z moją mamusią, kto wie, czy nie uciekłyby od razu z powrotem do Kanady...

*

Planowany pierwotnie uroczysty obiad i inne rozrywki powitalne, rzecz jasna, diabli wzięli. Zastąpiła je w pewnym stopniu średnich rozmiarów awantura o pierścionek, która wybuchła zaraz pierwszego wieczoru.

Osiem lat wcześniej Teresa dostała ode mnie pierścionek z korałem. Wiedziałam, że ma szmergla na tle koralu, kupiłam jej na Sycylii broszkę z koralu, którą posłałam pocztą, i zamówiłam w Orno pierścionek, który zabrała jadąca do niej wówczas Lucyna. Pierścionek był ciut przyciasny, Teresa dała go zatem do rozszerzenia, po czym przysłała pełen rozpacz list, że jubiler—idiota wyczyścił jej do połysku całe oksydowane srebro. Niemniej pierścionek ciągle był piękny i zachowywał swoją urodę prawie osiem lat.

Teraz przywiozła go z ciężką pretensją i rozgoryczeniem.

— Wykantowali cię jak kogo głupiego — powiedziała do mnie. — To jest taki koral, jak i ja jestem koral. Jakieś draństwo wsadzili, pomalowane czerwoną farbą, i teraz ta farba złazi. Proszę, zobacz sama.

Rzeczywiście, z kawałków rzekomego koralu złaziło coś, jakby czerwony lakier do paznokci. Pod lakierem kawałki były białe. Zmartwiłam się, a przy tym zdziwiłam niewymownie, bo jak znam Orno, tak jest to firma uczciwa, niezwykle solidna, przyzwoita i na wysokim poziomie. Mnóstwo ludzi na Zachodzie usiłowało kupić ode mnie ormowskie precjoza, proponując nawet zachęcające ceny, ale nie dałam się zmamić, dumnie i z satysfakcją obnosząc wszędzie swoje unikalne ozdoby. A tu nagle kant z korałem.

Nic nie mówiłam, bo za żadne skarby świata nie mogłam sobie przypomnieć, jak to było z tym pierścionkiem w momencie zamawiania, ile kosztował i co było ustalone. Może zapłaciłam za sztuczny koral? Diabli wiedzą... Teresa pomstowała na nieuczciwość w tym kraju, cała rodzina gapiała się w obłąkane z farby kawałki i nikt nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić. Marek, blondyn mego życia, zdenerwował się w końcu, zabrał pierścionek i zapowiedział, że idzie do Orno z reklamacją.

Nazajutrz wywłókł mnie z domu, zaciągnął do mojej mamusi i nie mówiąc, o co chodzi, rozpoczął śledztwo.

— Kto miał ten pierścionek w rękach w Warszawie? — spytał surowym głosem.

— Ja — wyznałam niepewnie. — Sama go odebrałam z Orno.

— : A potem kto?

— Ja — przyznała się pospiesznie Lucyna.

— A potem kto?

— Nikt. Wyjechałam z nim i osobiście wręczyłam go Teresie. W pudełku.

Marek zainteresował się teraz Teresą. Rodzina przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— A co się z nim działo w Kanadzie? Nie był przypadkiem przerabiany?

— Był — wyznała Teresa. — Poszerzany. U jubilera. A bo co?

— A bo to, że ten jubiler to jest złodziej i bezczelna świnią. Mało, że spalił koral przy rozgrzewaniu pierścionka, mało, że się do tego nie przyznał, tylko pomalował go emalią, ale jeszcze ukradł próbę. Wyciął ten kawałek srebra z próbą i na jego miejsce wstawił łątkę. Nie wiem jak w Kanadzie, ale u nas za coś takiego przewiduje się od pięciu lat wzyż.

Wiadomość wydała nam się sensacyjna. Ze względu na Teresę taktownie stłumiliśmy wybuchy patriotycznego entuzjazmu, ostatecznie dla niej Kanada stała się drugą ojczyzną. Teresie patriotyzm nie bruździł, bo okazało się, że ów jubiler był Włochem, ale za to od razu zrobiła się wściekła na własną bezsilność.

— Ja się z nim prawować nie będę — rzekła ponuro ochłonawszy z wrażenia. — Nie dość, że to w ogóle mafia i jeszcze by mnie nożem dźgnęli w ciemnej ulicy, to jeszcze on został niedawno radnym okręgu. Nic mu nie zrobię.

— Możesz go też dźgnąć nożem — powiedziała moja mamusia słabo, ale zachęcająco. — Dam ci nóż, bardzo dobry. Wyszczerbiony.

— Myślisz, że wyszczerbionym będzie łatwiej go zarżnąć?

— Skąd wiesz to wszystko — spytałam Marka. — I po co nas pytałeś, kto go miał w rękę?

— Chciałam się na wstępie upewnić, czy nie istniała możliwość zrobienia kantu u nas. Orno bardzo się tym interesuje...

Okazało się, że Orno poznało własny wyrób od pierwszego rzutu oka i zdenerwowało się do szaleństwa. Przez trzy godziny robiono ekspertyzy, sprawdzając każdy szczegół, po czym zaniepokojono się okropnie, że oszustwo zostało popełnione w Polsce. Marek nie mógł zaprzeczyć, nie mając pojęcia o losach pierścionka, i na wszelki wypadek wołał przeegzaminować całą rodzinę od razu. Zdenerwowane Orno zaofiarowało się dokonać wymiany spalonego koralu na nowy, chociaż należało poświęcić na ten cel korale innego kształtu, bo identycznych nie było na składzie. Właśnie ze względu na ich kształt pierścioneł był jedyny na świecie.

Ciężki szlag trafiał nas jeszcze na myśl, że ów bandyta–jubiler przywali naszą próbę srebra na jakimś bałwanie z byle czego, a potem, w razie wykrycia oszustwa, znów będzie na nas, że kantujemy. Cała rodzina czuła się tym osobiście dotknięta, szczególnie że nic nie mogliśmy

poradzić. Z prawdziwą przyjemnością każdy z nas własnoręcznie zarznąłby łobuza tym wyszczerbionym nożem mojej mamusi.

— Ale emalię, trzeba przyznać, dał bardzo porządną — zauważyła Lucyna melancholijnie. — Dopiero po ośmiu latach zaczęła złazić...

Uprzejmość Orno, które natychmiast przystąpiło do naprawy pierścionka, podniosła nas nieco na duchu i podreperowała nadwężoną atmosferę. Wywołane nie zaplanowanymi wydarzeniami komplikacje trwały przeszło tydzień, cokolwiek utrudniając wpajanie Teresie przekonania, iż przybyła do autentycznego raj. Obiadowe kurczaki wozila tam i z powrotem, upychając je w lodówce, na zmianę rozmrażając i zamrażając. Pozostałe produkty konsumowane były sukcesywnie przez wszystkie osoby w porach dowolnych. Starczyło ich na dość długo, co wzbudziło lekkie niezadowolenie Teresy.

— Ona była zdania, że ja jestem na diecie, tak? — rzekła zgryźliwie, czyniąc potępiający gest w kierunku mojej mamusi. — I dlatego kupiła trzy kilo schabu i cztery kurczaki i ja, nie daj Boże, miałam to wszystko zeżreć? To co ja jestem, wołoduch?

— Chciałam, żebyś nie była głodna od samego początku! — broniła się niepewnie moja mamusia.

Przy stole siedziała szwagierka, wypisująca właśnie dla niej kolejne recepty.

— Czy panie mogłyby mi wyjaśnić uprzejmie, co to jest wołoduch? — zainteresowała się, przerywając pisanie. — Słyszę to słowo od Joanny dość często i przypuszczam, że to coś jest, ale nie wiem co. Czy to coś znaczy?

Lucyna życzliwie pospieszyła z informacją.

— Za naszej młodości niedaleko naszych dziadków, w sąsiedniej wsi, żyła jedna baba, potwornie skąpa — rzekła. — Wszyscy ją znali, bo słynęła ze skąpstwa na całą okolicę. No i pewnego razu na Wielkanoc ksiądz chodził po kolędzie, tfu, chciałam powiedzieć ze święconym. Oczywiście księdza trzeba było stosownie podjąć, stół zastawić, poczęstować, wobec czego trzy wsie zastanawiały się, co też poda owa skąpa baba. Z tradycji wyłamać się nie mogła, bo od razu byłaby potępiona. Baba zdobyła się na gest, szarpnęła się niesłuchanie i dała księdzu jajko na miękko...

— Co proszę? — przerwała moja szwagierka nieco zaskoczona.

— Jajko na miękko. To jest sama święta prawda, ja tu żadnych anegdot nie opowiadam, wieś naszych dziadków nazywała się Tończa, a baba mieszkała obok, w Paplinku. Jajko na miękko było to coś tak niezwykłego w jej chałupie, taki nieprawdopodobny frykas, że zleciało się wszystko, co żyło, i wwalilo do izby. Tłok się zrobił niemożliwy, wszelka żywnina stała wpatrzona w jajko, przepychając się i włączając księdzu na głowę, aż baba zdenerwowała się

okropnie i krzyknęła: “Psy na dwór! Dzieci pod stół! Ksiądz nie wołoduch, som całego jajka nie zji, jak zostawi to wom dom!” No i stąd się wziął wołoduch...

— Szanowne panie, o ile wiem, wybierają się w podróż? — powiedziała szwagierka uprzejmie, wracając do recept. — To w tej podróży pani nie będzie wołoduch i żadnego jajka pani nie zji. Ścisła dieta!

Ścisła dieta była czymś, co moją mamusię zawsze wprawiało w bezgraniczne przygnębienie.

— To skąd ja wezmę siłę? — jęknęła żałośnie.

— Mamy jechać w góry... I nad morze...

— Masz zamiar zatrudnić się tam przy połowach ryb czy wyrębie lasu? — zainteresowała się Teresa.

Moja szwagierka była twarda.

— Nie idą panie piechotą? — upewniła się grzecznie. — Joanna, twojego samochodu nie trzeba pchać pod górkę? Jak nie, to w porządku. Gotowane mięso, ryby, twarożek, mleko już można. Dużo świeżego powietrza, trochę ruchu, na razie żadnych specjalnych wysiłków. Po górach proszę chodzić z umiarkowaniem.

— Jakie tam góry, ledwo pagórki — sprostowała wzgardliwie Lucyna. — Beskid Śląski i Góry Stołowe.

— Już my jej przypilnujemy, żeby nic nie jadła — zapewniła Teresa stanowczo.

Nic nie mówiłam, pełna dość ponurych przeczuć, co też z tego wszystkiego wyniknie. Przewidywałam, że będę włączona po wsiach w poszukiwaniu owego mleka i twarożku, spodziewałam się rozmaitych trudności, ale w najśmielszych nawet przypuszczeniach nie odgadłabym, jak wstrząsające wydarzenia staną się rezultatem tej diety mojej mamusi i jej umiarkowanych wysiłków...

Wycieczka zaplanowana była już od chwili, kiedy Teresa zdradziła zamiar przyjazdu do Polski. Życzyła, sobie obejrzeć, fragmenty kraju, które w młodych latach, zanim jeszcze wyjechała do Kanady, umknęły jej uwadze. Uzbierało się tego dość dużo. Całe wybrzeże od Łeby do Świnoujścia, całe Sudety, całe Zielonogórskie oraz parę innych drobnostek w rozmaitych miejscach, oddalonych od siebie. Jechać równocześnie do Łowicza i nad Wigry, w dodatku przez Częstochowę, wydało mi się przedsięwzięciem ponad siły, zażądałam zatem uściślenia planów, co na łonie mojej rodziny okazało się wręcz niewykonalne.

Na domiar złego wyłoniły się trudności z doborem pasażerów. Teresa, rzecz jasna, musiała jechać, moja mamusia również, bo cała impreza odbywała się niejako na ich wspólną cześć. Ciocia Jadzia musiała jechać, bo zawsze obie z Teresą były najlepszymi przyjaciółkami.

Lucyna musiała jechać, bo bez niej wszystkie czuły się niepewnie, ponadto załatwiała miejsca noclegów nad morzem. Ojciec musiał jechać, bo tylko on mógł załatwić noclegi na południu i na zachodzie. Z uwagi na rodzaj pracy zaprzyjaźniony był ze wszystkimi dyrektorami i kierownikami wszelkich fabryk cukierniczych i stały przed nim otworem przynależne im pokoje gościnne. Kwestia noclegów zaś była niezmiernie ważna, Teresa bowiem przerażająco podwyższała koszty. Jako cudzoziemiec dewizowy w żadnym hotelu nie mogła mieszkać za normalną cenę, a propozycję zakradania się na waleta odrzuciła stanowczo. Pozostawały zatem kwatery prywatne, w dodatku gratisowe, wynajmowane wyłącznie z przyjaźni i przez grzeczność. Niekoniecznie wszystkim — wystarczało Teresie.

W ten sposób miałam przed sobą perspektywę jazdy co najmniej w dwóch kierunkach na raz i sześć osób w samochodzie, licząc także i siebie. Zaprotestowałam, bardzo stanowczo.

Stan zdrowia mojej mamusi przeważał. Stało na tym, że najpierw pojedziemy nad morze, bo tam nie chodzi się po górach, potem zaś, okrężną drogą, udamy się na południe. Decyzja pociągnęła za sobą dalsze rozstrzygnięcia. Ojciec nad morzem nie był potrzebny, miał zatem spotkać się z nami dopiero w Cieszynie, u naszej kuzynki Lilki. Uzgodniono, że ciocia Jadzia wróci stamtąd do Warszawy, zaś ojciec zajmie jej miejsce i uda się z nami dalej, świecąc oczami przed swoimi przyjaciółmi i spadając im zniecka na kark.

— Będzie wam wygodniej — powiedziała ciocia Jadzia z melancholijnym westchnieniem.
— Wprawdzie straciłam ostatnio całe dwa kilo, ale i tak Janek jest chudszy.

— Ciekawe, jak Lilka wytrzyma ten najazd — mruknęła Lucyna.

— Bardzo dobrze wytrzyma — upewniła ją moja mamusia. — Dzieci wyszła na wakacje i będzie miała prawie puste mieszkanie.

— Czy mogłybyśmy jeździć jakimiś mniej głównymi drogami? — spytała niecierpliwie Teresa. — Ciągłe mnie wożą autostradami, nie chcą skręcać nigdzie w bok i już mi te autostrady nosem wyszły. Są tu chyba jakieś boczne drogi?

— Naprawdę myślisz, że u nas jest takie zagęszczenie autostrad? — zdziwiła się Lucyna.

— Proszę cię bardzo — powiedziałam równocześnie do Teresy. — Możemy jeździć nawet przez wsie i opłotki, tylko w razie ulewnego deszczu któraś z was wysiadzie i będzie szła przed samochodem, sprawdzając głębokość kałuż.

— Aż tyle nie wymagam. Mogą być średnio boczne drogi...

Dokładnie w momencie wyjazdu, o wpół do dziewiątej rano, okazało się, że plany znów należy skorygować. Musimy zacząć nie od Łeby, tylko od Sopotu, a ściśle biorąc od Oliwy. Ojciec pomieszał swoje obowiązki i zaanonsował nas w fabryce czekolady "Bałtyk", gdzie

podobno zarezerwowano pokój. Kiedy wkroczyłam do mieszkania mojej mamusi, awantura, była już w pełnym rozkwicie.

— Po diabła nam ten pokój w “Bałtyku”, przecież ja mam tam przyjaciółkę, która ma pensjonat w Sopocie! — złościła się Lucyna. — Mogłam u niej zamówić całe piętro!

— A w ogóle po diabła nam ten Sopot, przecież ja tam byłam — irytowała się Teresa. — Nie ma drogi prosto do Łeby? Musi się jechać przez Sopot?!

— Czego ty się wtrącasz niepotrzebnie, kto cię prosił, żebyś się wyrwał jak Filip z konopi! — syczała moja matka do mojego ojca. — Miałeś załatwić na Śląsku, a nie nad morzem! Nad morzem załatwia Lucyna, po co wprowadzasz zamieszanie!

— Ją słyszałem, że wszędzie tam, gdzie są fabryki cukiernicze — upierał się ojciec. — Była mowa i o morzu...

— No pewnie, że była mowa, przecież jedziemy nad morze! Ale ty masz załatwić na Śląsku!

— Toteż właśnie załatwiłem. Zapisane jest na kartce. Nad morzem i na Śląsku, a to ma być pierwszy etap, wyraźnie słyszałem...

— Nie, no wiecie, ten stary ramol do grobu mnie wpędzi! Gdzie Oliwa, a gdzie Śląsk!

Zaniepokoiłam się, że nie wyruszymy, dopóki ojciec nie da się przekonać, że pokręcił. Mogło to potrwać do wieczora.

— Przestańcie się kłócić — zażądałam stanowczo. — Trudno, przepadło, musimy jechać przez Sopot, bo tego dyrektora z “Bałtyku” nie można wystawić do wiatru tak bez słowa. Ja go przypadkiem znam. Za to możemy ominąć Łebę, bo w Łebie też byłaś. Co ty w ogóle masz w tej Łebie? — zwróciłam się z dezaprobatą do Teresy. — Już piętnaście lat temu tam było brudno, to masz pojęcie, jak jest teraz?

— Rzeczywiście — przyznała Teresa. — Właściwie to nie wiem, po co mi ta Łeba. Możemy ją ominąć.

— To może jedźmy już? — zaproponowała ciocia Jadzia. — W razie czego naradzimy się po drodze...

Ojciec obraził się na moją mamusię, twierdząc, że ramol to jest gatunek małpy. Bagaze nie chciały się zmieścić najpierw w windzie, a potem w samochodzie, bo kategorycznie odmówiłam zgody na wyrzucenie mojego szóstego koła zapasowego. Ciocia Jadzia, bliska płaczu, gotowa już była zrezygnować z podróży, utrzymując, że wszystko przez nią, bo ona jest najgrubsza. Lucynie w momencie wsiadania wylała się do torby cała butelka mleka. Był początek lipca i upał panował nieziemski.

Za Modlinem rozluźniło się na szosie i odetchnęłam.

— Teraz możecie sprawdzić, dokąd właściwie jedziemy i kiedy mamy tam być — powiedziałam. — Teresa, masz pod ręką moją torebkę, wyjmij z niej niebieską kopertę. Won stąd. Wynoś się.

— Jak ty się do mnie odzywasz? — oburzyła się Teresa.

— To nie do ciebie, ona rozmawia po drodze z rowerzystami i innymi kierowcami — wyjaśniła Lucyna.

Przyświadczyłam.

— Chciał mi zajechać drogę, półgłówek. No i co? Masz tę kopertę?

Moja mamusia siedziała jak zwykle obok mnie z otwartą mapą samochodową na kolanach.

— Zdawało mi się, że jedziemy do Sopotu i mamy tam być dzisiaj? — zdziwiła się łagodnie. — Szosa się zgadza, na słupie było napisane to samo co tu.

— Mam kopertę — rzekła Teresa. — I co teraz?

— Możesz mi wsadzać łokieć w żebra, ale nie wal mnie w zęby — powiedziała Lucyna.

— Dosyć tu ciasno. Poza tym wcale cię nie walę. Chociaż lepiej, żebym to ja ciebie waliła niż ty mnie, bo ja mogę stracić sztuczną szczękę. Czy całą drogę mam jechać z tą kopertą w ręku?

— Nie, zajrzyj do niej. Tam jest napisane dokładnie, co, gdzie i kiedy ojciec nam załatwił na pierwszy ogień. Dowiemy się, ile mamy czasu na morze i którędy będziemy jechać do Cieszyna.

— To jeszcze tego nie wiemy?

— No pewnie, że nie. Do tej pory wcale nam to nie było potrzebne. Tak czy inaczej, dzisiaj musimy być w Oliwie, ale trzeba się zastanowić, co zrobimy od jutra.

Teresa zajrzała do koperty. Okazało się, że bez okularów tych bazgrołów nie odcyfruje. Okulary ma w neseserku, a neseserek w bagażniku. Lucyny okulary były w mleku, wylała je co prawda z torby jeszcze przed domem mojej mamusi, ale nie zdążyła zrobić porządku, bo za bardzo poganiałam.

— A może się zatrzymamy gdzieś nad jakąś rzeczka, to sobie to wszystko umyjesz — powiedziała z troską ciocia Jadzia, zaglądając do wnętrza jej torby. — Albo we wsi, przy studni...

— We wsi, we wsi — podchwyciła zachęcająco moja mamusia. — Dostaniemy mleka. Połowa się wylała i musimy dokupić, bo nam zabraknie.

— Wylało się wszystko — sprostowała Lucyna.

— Wcale nie, bo ja mam jeszcze w termosie. Ale i tak trzeba dokupić.

Z rezygnacją pomyślałam, że dość wcześnie wjeżdżam na tę mleczną drogę. Nie obejdą się bez mleka, nie ma siły, cysterna nie wystarczy. Z dwojga złego wolałam już wieś niż prowincjonalne bary mleczne, szczególnie że na wsi można było liczyć na prawdziwe mleko prosto od krowy. Dyskusja na temat gruźlicy krów i innych kwestii zdrowotnych zakończyła się stwierdzeniem, że po pierwsze, gruźlica jest już teraz uleczalna, a po drugie, krowy znacznie rzadziej chorują niż przed wojną. Zatem tylko wieś!

— Popatrz na tę mapę — powiedziałam z westchnieniem do mojej mamusi. — Zdaje się, że od Mławy można jechać bocznymi drogami prosto na Malbork. Będą wsie. Sprawdź, co ja tam powinnam mieć na drogowskazie.

Moja mamusia przekartkowała mapę.

— Prabuty — oznajmiła po krótkim namyśle.

— Prabuty, koło Mławy?

— Nie, koło Malborka.

— Ale ja muszę wiedzieć, na co się jedzie do Mławy!

— Jak to na co? Na Gdańsk...

Nie chciało mi się zatrzymywać i oglądać mapy. Wydusiłam wreszcie z mojej mamusi informację, że mam jechać na Żuromin i Działdowo. Potem drogi się rozejdą, Żuromin na lewo, Działdowo na prawo.

— Przez Działdowo to się jedzie pociągiem, a nie samochodem — zauważyła ciocia Jadzia nieufnie.

— Zgubiłam tę kartkę z koperty — zaraportowała Teresa. — Lucyna siedzisz na niej... Nie, nie siedzisz, gorzej, zabierz te kopyta i przestań po niej deptać, bo już nic nie będzie można odczytać.

— Gdzie mam je zabrać, odciąć sobie? Tu jest jakiś wielki bałwan pod nogami...

— Wał korbowy — wyjaśniłam. — Wykluczam usunięcie...

Jedyną osobą, która miała okulary pod ręką, była moja mamusia. Dostała sponiewieraną kartkę.

— Dwanaście trzynaście siedem — przeczytała jednym ciągiem. — Przed dziewiętnaście do pepchelki...

Urwała na chwilę i wpatrzyła się w kartkę pilnie.

— Zobacz, co jest na drugiej stronie — poradziła Lucyna. — Po tej jest jakiś szyfr. Z czego ta kartka?

— Z zeszytu w kratkę.

— A co jest po drugiej stronie?

— Po drugiej stronie?... Szewski goszczy.

— Jak wy się wyrażacie? — zgorszyła się Teresa. — Przez te parę lat rodzina mi popadła w jakieś grubiaństwa!

Oderwałam wzrok od szosy i rzuciłam okiem na kartkę.

— Nie żadne grubiaństwa, tylko Kwapiszewski z Bydgoszczy — wyjaśniłam. — Dzwonił do Jerzego i to jest notatka. To znaczy, połowa notatki. Zobacz na pierwszej stronie.

— Nic tam więcej nie ma, tylko dziewiętnaście pchełki? — spytała z zainteresowaniem Lucyna, zanim moja mamusia zdążyła się odezwać.

— Mówi się dziewiętnaście pchełek, a nie dziewiętnaście pchełki — poprawiła Teresa. — Może być najwyżej trzy pchełki.

Ciocia Jadzia, od wielu lat główna księgowa, odruchowo dokonała pośpiesznego obliczenia.

— Cztery — powiedziała. — Może być cztery pchełki.

— Mogą być cztery pchełki — skorygowała z naciskiem Lucyna.

— Mogą — zgodziła się ciocia Jadzia. — Mogą być cztery pchełki. Czy to znaczy, że już wiemy wszystko?

— Nie — odparłam. — Tam jest więcej tekstu. Przeczytaj do końca.

— Gdzie wy macie pchełki? — zdziwiła się moja mamusia, ciągle wpatrzona w kartkę. — Zaraz, bo nie mogę odczytać... Aha, świniobicie...

— Co proszę? — spytała szybko Teresa.

— Nie, nie świniobicie, już wiem! Świebodzice, Ul. partyzantów szesnaście portiernia pok gość inny liliowa dwa prawo armi czerwonej. Klucz.

— Gdzie? — spytała zachłannie Lucyna.

— Co, gdzie?

— Klucz. Gdzie klucz do tego szyfru?

— A skąd ja mam wiedzieć, przecież to Janek pisał, nie zgadniemy pewnie nigdy w życiu...

— Zrozumiałam, że w Świebodzicach armia czerwona ma prawo do innego gościa — przerwała Teresa z niesmakiem. — Jakiego innego gościa? I co to jest ul partyzantów? I w ogóle co to znaczy?

— To znaczy, że mamy zamówiony nocleg w Świebodzicach z dwunastego na trzynasty lipca i przed dziewiętnastą mamy się zgłosić po klucz do pokoju gościnnego na portiernię fabryki czekolady, Partyzantów szesnaście — wyjaśniłam. — Ulica Partyzantów, nie ul. Pokój gościnny mieści się na Liliowej, od Armii Czerwonej w prawo. Pojęcia nie mam, gdzie to jest, bo w Świebodzicach byłam tylko raz w życiu.

Wszystkie przyjęły informację nieufnie i podejrzliwie.

— Skąd to wiesz? — spytała Teresa.

— Znasz się na szyfrach? — zaciekała się ciocia Jadzia.

— Przy mnie ojciec pisał, jak rozmawiał z nimi przez telefon, tylko nie zapamiętałam dat i adresów.

Pisał na miękkim i dlatego niewyraźnie. Tam jest nazwisko faceta, wiedziałam, że ma coś wspólnego z jakimiś insektami. Do kogo mamy się zgłosić przed dziewiętnastą?

— Do pepchełki...

— Sprawdź porządnie! Zdaje się, że to nie Pepchełka, tylko zwyczajnie Pchełka, ale nie jestem pewna. Zobacz, czy to pe na początku nie stoi oddzielnie. Tylko nie pomyśl się, bo w końcu zaczniemy pytać o pana Karalucha i facet się obrazi. Jest oddzielnie czy nie?

Moja mamusia przyjrzała się pilnie.

— No owszem, chyba jest. Do pana Pchełki...

— To teraz spróbuj znaleźć Świebodzice. Musimy obliczyć, jak jechać, żeby dojechać tam dwunastego. Ze Świebodzic do Cieszyna już blisko.

Dyskusję na temat, czy Świebodzice mają jakiś sens, czy nie mają żadnego, ucięłam w samym zarodku.

— Chciałaś obejrzeć Ziemię Zachodnie — powiedziałam do Teresy. — Najlepsza okazja, przejedziemy ciągiem z góry na dół i będziesz miała wszystko za jednym zamachem. Dwunastego rano musimy wyjechać z tego czegoś pod Szczecinem, Lucyna co to jest?

— Lubiato. Pod Pyrzycami.

— Może być pod Pyrzycami. Który dzisiaj? Trzeci? Doskonale, do jedenastego, to znaczy osiem dni, możecie robić, co chcecie, jedenastego zatrzymujemy się w Pyrzycach.

— W Lubiato.

— Niech będzie w Lubiato. Do tego czasu możecie mieć dowolne fanaberie, mnie wszystko jedno...

Moja mamusia wykorzystała zezwolenie i zaprezentowała fanaberie natychmiast. Chciała do wsi, po mleko. Oczywiście zaniedbała pilnowania mapy, w związku z czym pojechałam na Ostródę. Następnie dałam się zbałamucić do reszty i zaczęłam się pchać na Iławę drogami czwartej klasy. Przez wsie, opłotki, łąki i ugory.

O mleko zaczęły w końcu nudzić już wszystkie, Lucyna dodatkowo upominała się o studnię, twierdząc, że w torbie zrobił się jej twarożek. Upał panował ogłuszający. Upatrzyłam sobie wieś zadrzewioną bardziej niż inne i zatrzymałam się na jej skraju, na rozwidleniu dróg, w cieniu rozłożystej lipy, tuż przy pierwszej chałupie. Nic innego nie kierowało mną przy dokonywaniu wyboru, jak tylko chęć znalezienia się w solidnym cieniu.

Baby z samochodu rozlały się natychmiast we wszystkie strony. Moja matka z Lucyną polecały szukać mleka i studni. Ciocia Jadzia, dobierając co bardziej kolorowe fragmenty pejzażu, przeganiała Teresę i mnie, każąc sobie pozować i dając upust manii fotograficznej, na którą cierpiała od urodzenia. Na rozległym zboczach wielkiego, płytkiego rowu rosły fioletowe lubiny, na łące po drugiej stronie drogi czerwieniły się maki, Teresa miała żółtą kieckę, ja niebieską, razem stanowiło to orgię barw, od której zęby mogły rozboleć. Słońce paliło żywym ogniem. Lucyna wróciła ostatnia, z umytą torbą.

— Nie wiem, czy to taki urodzaj na kratki, czy rzeczywiście Teresę prześladują — powiedziała, lokując się na swoim miejscu. — Tam, za tymi drzewami, stoi samochód i w środku ma torbę, identyczną jak te bagaże, którym właściciel zginął na lotnisku. Jacyś ludzie przyglądali się wam przez lornetkę.

Z gorąca nie doceniłam wagi informacji.

— Jacy ludzie? — spytałam niemrawo.

— Wcale im się nie dziwię, skoro moja siostra kuciała dookoła samochodu — zauważyła Teresa zgrzyliwie. — Chcieli obejrzeć to dziwowisko.

— Kuciałaś dookoła samochodu? — zgorszyła się Lucyna. — Już nie miałaś gdzie?

— Oj, wcale nie kuciałam, chciałam się napić mleka! — zdenerwowała się moja mamusia.

— Kuciała, kuciała — mruknęła ciocia Jadzia. — Mam to na fotografii.

— Wcale nie! To znaczy owszem, kuciałam, gdzie miałam sobie postawić garnuszek, żeby nalać mleka? Na samochodzie nie chciał się trzymać, tylko zjeżdżał, więc musiałam na ziemi. Nie umiem pić z butelki!

— To można było raz ukucnąć i nalać, a nie tak przysiadać raz koło razu. Chłop z roweru zleciał, tak się za tobą oglądał.

— Zleciał — przyświadczyłam, ruszając i spoglądając w lusterko. — I już dalej nie pojechał, tylko stanął i patrzył, mało mu oczy nie wyszły.

— Żadnego chłopca nie widziałam. Wszędzie było nierówno i źle mi się ustawiało. Może ze trzy razy przykucnęłam, wielkie rzeczy!

— Chłopca możesz obejrzeć, jak spojrzysz do tyłu. Jeszcze ciągle stoi...

— Słuchajcie, jeżeli jedziemy przez Malbork, to może by zamiast chłopca obejrzeć raczej zamek? — zaproponowała Teresa. — Chociaż z wierzchu! Ostatnim razem widziałam go w ruinie...

W ostatecznym rezultacie do Sopotu dojechałam po czwartej. Po drodze był nie tylko Malbork, ale także Oliwa, gdzie należało znaleźć znajomego dyrektora i wśród uprzejmych reweransów powiadomić go, że rezygnujemy z pokoju. Uzgodniłyśmy, iż wygodniej nam

będzie u przyjaciółki Lucyny. Dyrektor ucieszył się nadzwyczajnie, bo właśnie spadł mu na głowę gość z Czechosłowacji, dzięki czemu konwersacja, acz wersalska, była rzeczowa i krótka.

Koszmary, całodzienny upał sprawił, że nie interesowało mnie nic poza kąpielą w morzu. Teresa podzielała moje poglądy. Mały pensjonacik przyjaciółki Lucyny stał w południowej części miasta, blisko plaży. Zaparkowałam byle jak w bocznej uliczce, tuż za wiśniowym peugeotem, który mi się z czymś kojarzył, ale nie miałam teraz głowy do skojarzeń. Za to miałam na sobie kostium kąpielowy, plażową kieckę i sandały na bosych stopach. Nic mnie nie obchodziły żadne zakwaterowania, zostawiłam je Lucynie i popędziłam na plażę, rozbierając się po drodze. Teresa, ubrana podobnie, popędziła za mną.

Nad samą wodą zastopowało nas gwałtownie i bardzo dokładnie. Przez długą chwilę obie w milczeniu patrzyłyśmy na ciecz pod nogami.

— Co to ma być? — spytała Teresa z lekkim obrzydzeniem, wyraźnie zaskoczona. — To jest morze czy jakiś kanał?

— Dotychczas wiedziałam, że homogenizowane łąjno płynie Wisłą — odparłam z powątpiewaniem.

— Ale wygląda na to, że nie szłam z postępem. Przedostało się już do zatoki.

Szeroki pas wody przy brzegu chlupotał czymś dziwnym. Dawały się w tym odróżnić rybnie odpadki, ale głównie była to warstwa brudnobrązowej zawiesiny, zdumiewająco gęstej. Umysł bronił się przed odgadywaniem, skąd mogła pochodzić.

— Ja w to nie wejdę — oznajmiła Teresa stanowczo.

— Nie wiem, co to jest. Od tego można dostać jakichś parchów.

— Ludzie wchodzą — zauważyłam bezmyślnie, bo przeszło pół dnia w samochodzie w śmiertelnym upale otumaniało mnie doszczętnie.

— Może są zahartowani. Albo szczepieni. Albo po prostu zwariowali, może z gorąca. Czy tu nie ma czystej wody?

Ocknęłam się z otępienia.

— Jest, owszem. Ale kawałek dalej, we Władysławowie. Tam już nie ma zatoki, tylko pełne morze. Chodź, jedziemy natychmiast do Władysławowa.

Zawróciłam i pociągnęłam ją za sobą. Teresa odwracała głowę, ze zgrozą patrząc na chlapiące się w zawieszynie jednostki, zapewne ciekawiło ją, czy skutki kąpieli pojawią się na nich od razu. Ciągnęłam ją coraz energiczniej, wyraźnie czując, że umrę, jeśli nie wejdę do wody. Poza tym ruszyła mnie patriotyczna ambicja. Teresa w Kanadzie miała jezioro czyste jak

kryształ, nawet raki w nim żyły, a u nas co? Przywiozłam ją nad gnojówkę i nie znajdę nic lepszego?

Zgodziłam się tylko na kwadrans zwłoki, niezbędnej dla wypakowania bagażu. Lucyna mamrotała coś o jakimś pokoju na poddaszu, ale nie zwracałam na nią uwagi, zajęta tłumaczeniem Teresie, że to coś w wodzie nie znajduje się trwale, tylko nadpływa czasami, a skąd się bierze, nie wiadomo, w każdym razie nie z kanalizacji. Teresa miała sceptyczny wyraz twarzy, być może w moich wyjaśnieniach brakowało dostatecznego ognia.

Wiśniowego peugeota w uliczce już nie było, co zauważyłam wyłącznie dzięki temu, że nie musiałam wyjeżdżać tyłem. Parkując, odruchowo nastawiłam się na skomplikowane manewry, teraz zaś mogłam zawrócić i wyjechać zwyczajnie przodem.

Na to jednakże również nie zwróciłam uwagi. Robiłam rekord trasy do Władysławowa, wprost pod pensjonat Solmare i oprzytomniałam dopiero po wyjściu z wody. Rzecz jasna ochłodziło się znacznie, co innego bowiem samo południe w suchej wsi, a co innego wieczór nad morzem. Teresa narzekała trochę, że ten Bałtyk dziwnie zimny, tak jakby w Kanadzie panował klimat co najmniej tropikalny. Lucyna i moja matka złowieszczo prorokowały nam zapalenia płuc, reumatyzm i galopujące suchoty, ciocia Jadzia z obłędem w oczach robiła zdjęcia wszystkiego, co jej wpadło pod rękę.

— Przestańcie krakać i obejrzyjcie lepiej tego peugeota, który stoi za parkanem—powiedziałam rześko, przebierając się w suchą odzież na tylnym siedzeniu samochodu. — Przysięgnę, że leży w nim kraciasta torba.

Ciocia Jadzia natychmiast zrobiła zdjęcie peugeota i zajrzała do środka.

— Leży torba — oznajmiła, wróciwszy do mnie kurcgalopkiem. — Skąd wiedziałaś?

Kiwnęłam głową, zadowolona, że zimna kąpiel przywróciła mi sprawność umysłu.

— Kraciasta, nie? No właśnie. Od razu mi jakoś znajomo wyglądał, to ten sam którym jechali ci od komplikacji z bagażami. Płaczą się nam przed nosem. Głodna jestem potwornie, wy nie?

Głodne byłyśmy wszystkie, udałyśmy się więc na podwieczorek. Moja mamusia, bardzo rozżalona, dostała herbaty z suchą bułeczką, nie mogąc nam darować, że na jej oczach zażeramy się tortem z Solmare. Ciemno już było kompletnie, kiedy wróciłyśmy do pensjonatu w Sopocie. Wiśniowy peugeot stał w uliczce na poprzednim miejscu, zaparkowałam zatem gdzie indziej, mętnie myśląc, że chyba rzeczywiście nas prześladuje. Nic mnie to nie obchodziło.

— Teraz może wreszcie do ciebie dotrze, że mamy pokój na poddaszu, wszystkie razem, pięcioosobowy — powiedziała zimno Lucyna, wysiadając z samochodu. — Innego nie było, bo przyjechałyśmy z nienacka. Co ty na to?

— A łazienka jest gdzie?

— Są trzy. Jedna też na poddaszu.

— No to mamy znakomity pokój — orzekłam beztrąsko, bo nad morzem zawsze prezentowałam doskonały humor, niezależnie od okoliczności. — Mam nadzieję, że nie zamierzacie chrapać i krzyczeć przez sen?

Pokój był dość oryginalny, bardzo obszerny, tyle że zamiast okien miał lukarny w suficie. Łazienka istotnie znajdowała się w pobliżu. Moja matka, Lucyna i ciocia Jadzia umyły się i położyły od razu, Teresa obstawała przy poprawkach krawieckich, bo dekolt jej plażowej kiecki odstawał na gorsie i musiała przesyć dwa guziki.

— Idź do tej łazienki — powiedziała do mnie. — Ja pójdę ostatnia.

— Ostrzegam cię, że światło zgasło — rzekła Lucyna.

— Jak to zgasło? Przecież się pali?

— Tu się pali, ale zgasło na korytarzu i w łazience. Coś się zepsuło.

— Nie szkodzi, wodę przecież rozpoznam... Przez otwarte okno łazienki świecił księżyc w pełni i do kranów udało mi się trafić bez trudu. Reszta wyglądała przeciętnie. Prysznic lał się z góry z szerokim rozrzutem, po mydło trzeba było sięgać na parapet okienny, ręcznika i szlafroka w ogóle nie dawało się nigdzie umieścić, ale grunt, że była ciepła woda. Wychodząc, odruchowo przycisnęłam umieszczony na zewnątrz wyłącznik, co oczywiście nie wywołało żadnego efektu. Po omacku trafiłam do pokoju.

— Zostaw sobie otwarte okno — poradziłam Teresie. — Księżyc bardzo porządnie świeci, prawie wszystko widać.

Skończyła z guzikami, wyszła i nie było jej potwornie długo. Na korytarzu rozległy się jakieś głosy, wyrzałam, zobaczyłam pokojówkę i faceta na drabinie, zapewne elektryka, światło już się paliło, a Teresa ciągle siedziała w łazience. Pranie robiła czy co...? Zaczęłyśmy się niepokoić, snując rozmaite katastroficzne przypuszczenia, ale żadnej z nas nie chciało się wstawać i sprawdzać, co się z nią dzieje. W wannie utopić się nie mogła, bo nie było wanny.

Wróciła po trzech kwadransach, wściekła do szaleństwa.

— Co za cholera zgasła mi światło w tej łazience?! — wysyczała z furją.

Zdumiałyśmy się wszystkie niepomierne.

— Jak to? — spytałam. — Przecież Lucyna mówiła, że nie ma światła?

— Coś tam w ogóle robiła tyle czasu? — zainteresowała się Lucyna.

— Żebyś pękła z tym swoim oknem i księżycem! — wrzasnęła Teresa do mnie. — Zimno było jak piorun, więc zamknęłam i od razu zgubiłam mydło! Wypsnęło mi się, nie mogłam go znaleźć, zamknęłam wodę, macałam tam jak głupia po wszystkich kątach, a na to zapaliło się światło...

— No owszem, zapaliło się — przyświadczyłam. — To co, źle ci, że się zapaliło?

— Ale nie u mnie! Na korytarzu! Słyszałam, jak tam ludzie mówili, że już jest światło w łazience, gie, nie światło! Zaczęłam macać, żeby znaleźć kontakt, całą ścianę obmacałam, dwie ściany, ale okazuje się, że kontakt jest na zewnątrz, a ja nie mogłam wyjść, bo już byłam goła, a ci ludzie stali pod samymi drzwiami, w dodatku zapomniałam, gdzie zgubiłam to mydło, a jak je wreszcie znalazłam, to przez pomyłkę otworzyłam zimną wodę! Czego tak rechoczenie jak stare ropuchy? Co za gangrena, co za zołza zgasła mi na korytarzu?!

— Chyba ja — wyznałam. — Nie mogłaś włożyć na chwilę szlafroka?

— Nie mogłam, bo już byłam mokra i brudna od tego macania mydła!

— Trzeba było przeczekać tych ludzi...

— A skąd ja miałam wiedzieć, ile czasu to potrwa? Myślałam, że czekają na łazienkę i jakby oni czekali tam, a ja w środku, to moglibyśmy tak czekać do sądnego dnia! W końcu otworzyłam ten księżyc, nie księżyc, tylko okno, wiało stamtąd jak trąba powietrzna, jeszcze lumbago dostanę.

— Trzeba było ich poprosić przez drzwi, żeby ci zapalili światło!

Teresa zamilkła nagle, popatrzyła na mnie dziwnie i położyła się. Dla odmiany zaczęła kręcić nosem, że przez otwarte lukarny leci dym z sąsiedniego komina. Wytłumaczyłam jej, że w nocy zgaszą ogień, to i dym przestanie lecieć.

— Rano zaczniesz na nowo — mruknęła. — Czy tu są jakieś szajki w tym pensjonacie?

— Jakie szajki? — zainteresowała się gwałtownie Lucyna.

— Przestępcze.

— Szajki przestępcze? Nic o tym nie wiem. Teraz z kolei ja się zainteresowałam.

— Dlaczego mają tu być szajki przestępcze?

— Ci ludzie pod drzwiami jakoś tak dziwnie rozmawiali — powiedziała Teresa z wahaniem.

— Dlatego właśnie nie poprosiłam ich, żeby mi zapalili światło. Szeptali konspiracyjnie.

— Szeptali i słyszałaś? — zdziwiła się moja mamusia.

— Drzwi miały szparę. Dlatego tak wiało z okna, był przeciąg.

— Jak szeptali? — spytałam. — Co mówili?

— Nie wiem.

— Jak nie wiesz, co mówili, to skąd wiesz, że konspiracyjnie? — zdziwiła się znów moja mamusia.

— Głupia jesteś, wiem, co mówili, tylko wcale tego nie rozumiem. Mówili: “znów jest” i “wcale się nie ukrywa”, i “to nie może być przypadek”, i jeszcze “może to podstęp”. A, i jeszcze: “trzeba to załatwić za wszelką cenę”.

— Żadnej konspiracji w tym nie widzę — oświadczyła moja mamusia stanowczo.

— Nie mądrz się! — zirytowała się Teresa. — Nieważne, co mówili, ważne jak. Takim jakimś szeptem, jakby zdenerwowani.

— Dużo ich było?

— Trzy sztuki. Dwóch facetów i babka.

— Iiiii, wielka mi szajka, trzy osoby — prychnęła wzgardliwie Lucyna. — Nas jest więcej.

— Pewnie — przyświadczyła z zapałem moja mamusia. — Jak wylecimy wszystkie w nocnych koszulach z drągami w rękę, to nie ma takiej szajki, która nie ucieknie ze strachu.

— Właśnie nikt nie ucieknie, bo każdemu odejmie władzę w nogach — zaprotestowała Lucyna.

— Skąd weźmiemy drągi?—zaczekała się z ciekawości ciocia Jadzia.

— Przestańcie się wygłupiać! — zażądała Teresa. — Właśnie, nie wiem, skąd te drągi... To jest, chciałam powiedzieć, że mnie się to jakoś nie podobało. Tu chyba robią ciemne interesy...

Opanowawszy po długiej chwili niebotyczne rozbawienie, wyjaśniłyśmy jej, że w Sopocie w okresie turystycznym robi się prawie wyłącznie ciemne interesy i żadne szajki do tego niepotrzebne. Teresa ciągle upierała się przy swoim.

— Wszystko jedno, mnie się tamci nie podobali. Lucyna, ulokowałaś nas w jakimś podejrzanym miejscu...

*

Następne podejrzone miejsce znalazło się w Ustce, gdzie Lucyna miała swoje konszachty z kierowniczką domu wczasowego. Trafiliśmy na chwilę między turnusami i tarzałyśmy się w luksusach, zmaconych nieco dramatyczną sceną, jaka rozegrała się późną nocą akurat pod naszymi oknami. Zrozpaczony damski głos domagał się kategorycznie natychmiastowego zwrotu dwustu pudełek pasty do podłogi, ewentualnie godząc się z zamianą pasty do podłogi na perfumy Soir de Paris, męski zaś głos z irytacją proponował zamianę pudełek na butelki i dokonanie stłuczki. Podejmował się nawet osobiście sporządzić protokół zniszczenia towaru i

dostarczyć trochę szkła, zarazem zwalając winę na tego bandytę, Czesia, od którego nie dostał zwrotów z Darłowa. Teresa zdenerwowała się okropnie zbrodniczą aferą, według niej tym bardziej podejrzaną, że zrozpaczonej damie najwyraźniej w świecie było wszystko jedno, czy zalatuje od niej pastą do podłogi, czy Soir de Paris. Długo trwało, zanim udało nam się wytłumaczyć jej, że najzwyczajniej w świecie chodzi tu o jutrzejszy remanent w sklepie mydlarskim.

Po urozmaiconej nocy nastąpił urozmaicony dzień, bo nie dość im było mleka, jeszcze uczepliły się ryb. Zgodnie twierdziły, że nad morzem jada się ryby, w związku z czym odwiedziłyśmy kolejno absolutnie wszystkie smażalnie. Najmniej zjadła ciocia Jadzia, nie tyle z uwagi na odchudzanie się, ile na skutek obłędu fotograficznego. Nie wypuszczała aparatu z ręki, w istnym szale pstrykając na prawo i na lewo kolorowy tłum z nami na pierwszym planie. Olśniewająca pogoda sprzyjała jej manii.

Przed Kołobrzegiem skończył jej się film. Włożyła do aparatu nowy, ten zaś postanowiła od razu oddać do wywołania. Miałam w tym Kołobrzegu znajomego filatelistę, na którego natknęłam się przypadkiem zaraz na wstępie, wjeżdżając do miasta. Szaleństwo cioci Jadzi musiało być zaraźliwe, bo o niczym innym nie dało się mówić, tylko o filmie. Znajomy filatelista polecił nam zakład fotograficzny, za którego jakoś mógł ręczyć, i ciocia Jadzia popędziła tam nazajutrz wczesnym rankiem. Obiecali jej wywołać i oddać za dwa dni, czyli pojutrze, czyniąc olbrzymie ustępstwo na rzecz owego filatelisty, normalne terminy sięgały bowiem dwóch tygodni.

Przed wieczorem uświadomiłyśmy sobie nagle wszystkie razem, że termin pojutrze jest dla nas do niczego, bo z Kołobrzegu musimy wyjechać jutro. Jeśli zostaniemy tu dłużej nie zdążymy do Świebodzic i czeka nas nocleg w stogu siana albo będziemy zmuszone pominąć Międzyzdroje. Na pominięcie Międzyzdrojów Teresa za nic w świecie nie chciała się zgodzić, nocleg w stogu siana budził wątpliwości, ciocia Jadzia zatem poleciała do zakładu fotograficznego wyzebrać termin na jutro, ewentualnie odebrać film. Ściśle biorąc, nie tyle poleciała, ile podwiozłam ją, bijąc rekord przejazdu przez miasto. Zdążyłyśmy w ostatniej chwili. Zaczekałam w samochodzie, ponieważ był tam akurat zakaz zatrzymywania i musiałam udawać, że wcale nie stoję, tylko tak powoli przejeżdżam.

Ciocia Jadzia wróciła po paru minutach, wielce zaskoczona i zde gustowana.

— Nie rozumiem — powiedziała.— Jakiś taki ten pan był nieuprzejmy. Przedtem był bardzo grzeczny, a teraz wręcz przeciwnie. Nie chciał mi oddać mojej rolki.

Zdziwiłam się, ale nic odkrywczego nie przyszło mi do głowy.

— Jak to nie chciał? Dlaczego?

— Nie wiem. Od razu powiedział, że o skróceniu terminu mowy nie ma, i to ja rozumiem, ale jak poprosiłam, żeby wobec tego oddał film, zaczął coś kręcić. Mówił, że mi odeśle pocztą, chciał dostać adres, mówił, że już go ma w laboratorium, że nie może anulować zamówienia, różne głupstwa mówił. I w dodatku nieuprzejmie.

— Ale w końcu odebrałaś mu czy nie?

— Oczywiście, że odebrałam! Uparłam się. Tam są przepiękne zdjęcia, kolorowe, zapłakałabym się, gdyby, nie daj Boże, przepadły! Musiał mi oddać!

— Jesteś pewna, że ci oddał twój, a nie jakiś inny? Ciocia Jadzia zaniepokoiła się śmiertelnie.

— Wcale nie jestem pewna. Jezus Mario, myślisz, że mógł mi oddać inny? Po co? Dlaczego?

Nie miałam najbledszego pojęcia, ale jego dziwaczny opór nasunął mi takie przypuszczenie. Po jakiego diabła komukolwiek miałby być potrzebny film, na którym moja matka kuca dookoła samochodu, a Lucyna pastwi się nad smażonym dorszem, doprawdy nie byłabym w stanie odgadnąć! Na wszelki wypadek jednakże, poparta przez całą rodzinę z ciocią Jadzią na czele, poprosiłam jeszcze tego wieczoru znajomego filatelistę o wyjaśnienie zagadki. Obiecałam mu za to Szekspira za dwa i pół szylinga.

— Wie pani, całkiem nie rozumiem, o co tu chodzi — powiedział znajomy filatelista nazajutrz koło południa, kiedy byłyśmy już gotowe do odjazdu. — Podobno tym pani filmem ktoś się interesuje. Kuzyn był zły, wie pani, firma Antoni to mój kuzyn, zły był i nie bardzo chciał rozmawiać na ten temat. Zdaje się, że ktoś próbował odkupić od niego ten film czy coś takiego, czy może miał jakieś pretensje, nie wiem, nie mogłem się połapać. W każdym razie oddał ten sam, który dostał od tamtej pani i w ogóle powiedział, że nie chce mieć z tym więcej do czynienia.

Podziękowałam mu grzecznie, zdumiona znacznie bardziej, niż byłam przedtem, i wróciłam do samochodu. Stał zaparkowany dość głupio, częściowo w cieniu, a częściowo w słońcu. W środku siedziała samotna Lucyna.

— Gdzie one poszły? — spytałam niespokojnie, pełna obaw, że zginą i wyjedziemy Bóg wie kiedy. Ginęły mi dość systematycznie.

— Zrobić zdjęcie kiosku z bursztynami — odparła Lucyna. — Spłoszyłam złodzieja.

— Co zrobiłaś?

— Spłoszyłam złodzieja. Nie wiem, co chciał ukraść, ale na wierzchu stoi torba twojej matki i gdybym wiedziała, że go płoszę, nie zrobiłabym tego za nic. Chciałabym widzieć, jak się natnie na tę torbę.

Zrozumiałam ją od razu i zakład fotograficzny wyleciał mi z głowy. Sama chciałabym to zobaczyć. Nie wiadomo było dokładnie, co moja mamusia nosi w swojej torbie, w każdym razie stanowiła ona zazwyczaj ciężar, pod którym mogło się ugiąć dwóch silnych tragarzy. Teraz zaś zawartość jej uzupełniały dwie butelki mleka i trzy termosy, jeden z mlekiem, a dwa z herbatą.

— Pewnie, że trzeba było zaczekać, aż ją rąbnie — zgodziłam się. — Jak to było?

Okazało się, że Lucyna, zostawszy sama w pojeździe, od razu zgubiła okulary. Upadły gdzieś pod przednie siedzenia, wlaźła zatem za nimi, usiłując ich się domacać, bo zajrzeć jej się nie udawało. Samochód miał blokadę przednich foteli, których nie można było odchylić, jeśli drzwi były zamknięte. Lucyna z tylnego siedzenia nie mogła ani ich ruszyć, ani dosięgnąć klamki, dość długo zatem uprawiała te parterowe akrobacje. Nagle usłyszała, że ktoś się zbliżył do samochodu, myślała, że to jej siostry albo ja, wylazła więc spod foteli, zamierzając zażądać otwarcia drzwi, i ujrzała jakąś obcą osobę, zaglądnącą przez otwarte okno do środka. Osoba wepchnęła cały łeb. Ale działało się to pod słońce, nie dało się jej zidentyfikować, nawet rozróżnić płci, prawdopodobnie jednak był to facet. Już prawie sięgał ręką, ale gdy zobaczył Lucynę, natychmiast uciekł.

— Nie spodobałaś mu się — stwierdziłam z żalem.

— Zrobiłaś na nim złe wrażenie. Trzeba było wylazić z przyjemnym wyrazem twarzy, może by uciekł razem z torbą i moja mamusia przestałaby ćwiczyć podnoszenie ciężarów.

— Coś ty, gdzie by uciekł, w ogóle by jej przez okno nie wywłókł!

Wróciły tamte trzy spod kiosku z bursztynami. Moja mamusia oburzyła się bardzo na krytykę jej torby, wepchnęła ją sobie pod nogi i powiedziała, że co nas to obchodzi, ile kilogramów ona nosi. Może lubi nosić. Poza tym teraz wcale nie nosi, tylko trzyma w niej nogi.

— A co, moczysz sobie w mleku odciski? — zainteresowała się Lucyna. — To jest jakiś nowy sposób?

— Moczę czy nie moczę, nie wasz interes. Mam tu same potrzebne rzeczy!

Ciocia Jadzia na wieść o złodzieju zdenerwowała się okropnie, bo w samochodzie zostawiła torebkę. Wprawdzie pod ścierką, ale jednak. Mógł ukraść.

— Naprawdę tu tak bardzo polują na ścierki? — spytała Teresa niedowierzająco. — Trudno dostać?

— No i cóż takiego, co tam masz w tej torebce? Twój dowód osobisty akurat jest u mnie — zauważyła Lucyna. — Nosisz tam takie wielkie pieniądze?

— Żadnych pieniędzy nie noszę, mam książeczkę PKO. Nawet notes przez pomyłkę zostawiłam w Warszawie. Ale mam tam chustkę do nosa... No i coś tam jeszcze na pewno... Aha, ten film!

— A, właśnie! — przypomniałam sobie, ruszając w dalszą drogę. — No jedź, jołopie, bo światła zmienią... Ty się lepiej zastanów, co masz takiego na tym filmie. Tajemnicze osoby się nim interesują.

— Wiecie, jak ona im wymyśla od półgłówków i jołopów, to mnie się ciągle wydaje, że ona mówi do nas — wyznała z niesmakiem Teresa.

— Masz widocznie samokrytyczne podejście — zauważyła Lucyna uprzejmie.

— Wcale nie wymyślam, sama słyszałaś, że mówiłam łagodnie — zaprotestowałam równocześnie.

— Jakie tajemnicze osoby, przecież chyba wiecie, co mam na filmie, ledwo cztery klatki były zużyte — powiedziała w tym samym czasie ciocia Jadzia.

— Przestańcie mówić wszystkie razem, bo nic nie rozumiem — powiedziała moja mamusia.

— Jakie znów cztery klatki na tajemnicze osoby? Siedzą w nich?

— Co miałaś na tych klatkach? — spytałam, znów równocześnie.

Ciocia Jadzia zdenerwowała się jeszcze bardziej.

— Co za tajemnicze osoby na klatkach, co wy mówicie, nie miałam żadnych tajemniczych osób, miałam kota!

— I myślisz, że już nie masz?—zdziwiła się Lucyna.

— Uspokójcie się! — wrzasnęła Teresa. — Niech jedna osoba powie, o co chodzi, bo tu przecież można zwariować!

— No to na wariatów klatki bardzo się przydadzą — zauważyła pocieszająco moja mamusia.

Chciałam powiedzieć, o co chodzi, ale poczułam coś twardego pod nogą. Skręcałam w lewo na zdumiewająco ruchliwym skrzyżowaniu, gdzie nie wiadomo dlaczego spotkały się chyba wszystkie kołobrzeskie pojazdy naraz, i absolutnie nie mogłam w tej chwili gmerać po podłodze. W mgnieniu oka przypomniały mi się najrozmaitsze straszliwe historie, jakie na taki temat słyszałam, i przeraziłam się śmiertelnie, że to coś wejdzie mi pod pedał, nie daj Boże, hamulca. Włos mi się zjeżył na głowie.

— Czy któraś z was miała zółwia?! — krzyknęłam w panice.

— Jakiego znowu zółwia? — spytała gniewnie Teresa.

— Nie zółwia, tylko kota! — jęknęła rozdzierająco ciocia Jadzia.

Z determinacją kopnęłam to coś obcasem ku tyłowi.

— Istna menażeria — zauważyła Lucyna beztrąsko. — Ciekawe, kiedy dojdziecie do żyrafy...

— Jakieś twarde draństwo płacze mi się tu pod nogami! — wyjaśniłam pospiesznie. — Przyznajcie się, na litość boską, miałyście zółwia czy nie?!

— Moje okulary! — krzyknęła Lucyna, z miejsca wyzuta z beztroski. — Zapomniałam o nich, oddaj mi moje okulary!

— A, to nie znalazłaś ich? Mam nadzieję, że futerał jest odporny... Oddam ci, jak wyprzedzę te dwie ciężarówki i pozbędę się rowerzystów.

— Czy wreszcie wyjaśnicie, o co chodzi z tym zółwem Jadzi, tego, nie zółwem, tylko kotem w klatkach?! — zirytowała się Teresa. — Zostaw teraz te okulary, jak wytrzymały do tej pory, to i dalej nic im nie będzie!

— Nie mogę ich zostawić, turlają mi się tu i przeszkadzają...

— Te zółwie nie były w klatkach, tfu, kot nie był w klatkach, nie, to znaczy był na klatkach, tfu, nie, no wiecie, wszystko się pomieszało...

— Przestań pluć, naplujesz mi do torby! Wygrzebałam wreszcie okulary Lucyny spod fotela i wyjaśniłam w czym rzecz. Teraz już wszystkie zgodnie zaczęły się zastanawiać, co też takiego ciocia Jadzia może mieć na tym filmie. Ciocia Jadzia przysięgała na klęczkach, że na pierwszych czterech klatkach jest kot sąsiadów, bardzo piękny, biały, na niebieskim tle. Specjalnie położyła pod niego swój niebieski szlafrok, żeby uzyskać odpowiedni efekt kolorystyczny. Ani w kocie, ani w szlafroku nie ma nic takiego, co mogłoby interesować jakiegokolwiek tajemnicze osoby. Na pozostałych zaś klatkach jesteśmy my w trakcie niniejszej wycieczki.

— Ja się boję — oznajmiła niepewnie ciocia Jadzia.

— Jeszcze mi kto wyrwie torebkę...

— To nie noś go w torebce, kto ci każe?

— Najlepiej w ogóle nie noś torebki, będziesz miała z głowy...

— Wiecie, że ten film zaczyna mnie intrygować — powiedziała Lucyna. — Jedno z dwojga, albo wyrzucimy go od razu przez okno, albo schowajmy porządnie.

W wyniku narady moja matka wyciągnęła z tekturowego pudełeczka flakon z jakimiś pigułkami, ciocia Jadzia włożyła do niego film, zawinęła to jeszcze w kopertę, po czym cały pakunek ulokowałam w kieszeni na drzwiach samochodu.

— Jeśli nie będzie oberwania chmury, nic mu się nie stanie — oświadczyłam. — W razie oberwania chmury należy go stamtąd wyjąć, bo mi drzwi cokolwiek przeciekają. Oddamy go do wywołania tam, gdzie zatrzymamy się na dłużej...

*

Minęłam napis “Witamy w Świebodzicach”, zjechałam w prawo i mocno zwolniłam.

— Niech która sprawdzi, na jakiej ulicy jest ta fabryka z portiernią — zażądałam. — Nie wiem, o co pytać.

Z Pырzyc do Świebodzic było 319 kilometrów, co moja matka obliczyła po dwóch dniach wysiłków i tysiącu pomyłek, ponieważ ciągle wchodziła jej w paradę Zielona Góra. Nie wiadomo dlaczego koniecznie usiłowała ją ominąć. Mapa samochodowa była zawsze jej ulubioną lekturą w czasie każdej podróży i doskonale rozumiała wszystkie znajdujące się na niej znaki, tyle że z osobliwym uporem próbowała liczyć we wszystkie strony z wyjątkiem właściwej.

Ile męczarni kosztowało mnie przebycie tych trzystu dziewiętnastu kilometrów w ciągu jednego dnia, tego ludzkie słowo nie opisze. Okolice były piękne, miasteczka wdzięczne i zachęcające, lasy trafiały się gęsto i wszystkie pasażerki czuły się ciężko na mnie obrażone, że jadę bez zatrzymania. Ustawicznie chciały wysiadać i coś oglądać. Ciocia Jadzia na całej trasie widziała same obiekty do fotografowania. Wzajemnej zależności czasu i przestrzeni nie pojmowała żadna, bez mała mnie wykleły, częściowo musiałam się poddać i w rezultacie dotarłam do Świebodzic o wpół do siódmej wieczorem. Moją mamusię, która ostatniego dnia pobytu nad morzem spożywała ryby na zapas, zaczęła łupać wątroba.

— Ty miałaś tę kartkę — powiedziała do niej Lucyna. — Co z nią zrobiłaś?

— Nic nie zrobiłam, oddałam Teresie.

— Mnie? Nic podobnego! Ja ją miałam na początku!

— No to która z was ją zabrała?

— Zobacz w skrytce — poradziłam. — I sprawdź na półeczce przed sobą...

Poszukiwania nie doprowadziły do niczego, okazało się, że kartka zginęła. Przepadła bezpowrotnie, diabli ją wzięli i tekst musimy odtworzyć z pamięci. Adres fabryki stanowił drobnostkę, wiadomo, że fabrykę każde dziecko pokaże. Tam z kolei poinformują nas o lokalizacji pokoju gościnnego. Niepokoiło mnie coś innego, mianowicie nie pamiętałam nazwiska faceta.

— Na litość boską, przypomnijcie sobie albo ja tam nie idę! — powiedziałam z rozpaczą, zatrzymawszy się wreszcie przed wejściem do zakładu produkcyjnego na ulicy Partyzantów. — Jest za dziesięć siódma. To coś przy bramie to z pewnością portiernia i tam czeka ten facet z kluczem. Jak on się nazywa? Jakiś robak, to wiem, ale nie wiem jaki.

— Coś gryzącego — przypomniała niepewnie ciocia Jadzia. — Pluskwa...?

— Czy nie komar...? — powiedziała równie niepewnie Teresa.

— Wiem, że nie karaluch, ale coś podobnego — stwierdziła Lucyna. — Może prusak?

— No nie zamelduję się tam przecież, wymieniając jak Jęci rozmaite robactwo! — zdenerwowałam się. — Gdyby w grę wchodziły na przykład kwiatki, to jeszcze, ale insekty?

— To było jakoś pieszczotliwie — zauważyła Teresa, wyęzając pamięć.

— Wieszka—zaproponowała słabo moja mamusia. Jęknęłam okropnie.

— No nie, jeśli on się nazywa komarek, a ja wejdę i powiem wieszka, to koniec. Chałę dostaniemy, a nie klucz, i jeszcze nas do sądu zaskarzy!

— Może spróbuj bez świadków?—powiedziała bez przekonania Lucyna.

Zanosilo się na to, że resztę życia spędzimy w Świebodzicach na ulicy Partyzantów, przed wejściem do fabryki czekolady. Żadna nie chciała zaryzykować konwersacji z facetem o niepokojącym nazwisku. Czas płynął, minęła siódma, Lucyna upierała się, że to było jakieś słowo na S, próbowaliśmy zdrabniać stonkę i szarańczę. Sytuacja stawała się rozpaczliwa.

Z drzwi portierni wyszedł jakiś facet, przyjrzał się nam, po czym podszedł do samochodu.

— Przepraszam, czy to może panie są te panie, na które ja tu czekam? — spytał grzecznie.

— Widzę, że samochód z Warszawy, a tu u nas Warszawa zamawiała na dziś pokój gościnny...

Mało brakowało, a wszystkie rzuciłybyśmy się porwać go w objęcia. Zachwycający człowiek! Ucieszył się bardzo, że to istotnie my, bo już miał dosyć tego czekania i chciał iść do domu.

— Panie pozwolę, moje nazwisko Pchełka, bardzo mi miło. Oczywiście, proszę bardzo, klucz jest, tylko tam trochę trudno trafić. Jak kto nie zna drogi, to błędzi, więc może ja paniom wszystko dokładnie wytłumaczę...

Ledwo ruszyłam spod fabryki, zabłądziłam natychmiast, bo tam, gdzie powinnam wjechać, był jeden kierunek ruchu w przeciwną stronę. Spróbowałam dookoła, raz i drugi, bez skutku. Zaczynałam się już utwierdzać w decyzji przejechania owej jednokierunkowej ulicy tyłem, kiedy wreszcie trafiłam na jej drugi koniec. Zgodnie ze wskazówkami, znajdowało się tam wielkie, okrągłe, pęknięte lustro i należało jechać w lewo. Pojechałam. Kiedy skończyło mi się miasto, zawróciłam i znów znalazłam się w punkcie wyjścia. Sytuacja prezentowała się całkiem beznadziejnie, mojej mamusi wątroba zaczęła nawalać coraz porządniej.

— Koło lustra w lewo — powiedziała Lucyna głosem nieco zgnębionym. — On wyraźnie mówił, że koło lustra w lewo.

— No to przecież właśnie przed chwilą tam byłam!

— Może przeoczyliśmy jakiś skręt...? Ponownie przebyłam całą trasę, pilnie szukając nowych możliwości. Wjechałam na jakieś podwórze, z którego wycofałam się czym prędzej. Znow wróciłam do lustra. Zaczęło się robić ciemno.

— On coś mówił o jakimś parku — przypomniała nagle Teresa. — Tu widać drzewa.

— Drzewa są na prawo — zaprotestowała Lucyna.

— Ale jakbyś chciała w nie wjechać, to musisz skrócić w lewo. Nie wiem, czy tu wolno jeździć po parkach, ale spróbujmy. W tamtej stronie do niczego nie dojdziemy, to już widać.

Wjechałam w jakąś aleję, która po jednej stronie miała rząd drzew, a po drugiej parkan. Na parkanie wisiała tablica z napisem: Al. Liliowa.

— Jest! — ucieszyła się ciocia Jadzia. — To miała być ta ulica! Liliowa! Wiedziałam, że coś od bzu!

— Jeśli to jest ulica, to ja jestem szach perski — mruknęłam z powątpiewaniem, usiłując omijać wielkie doły i liczne kupy gruzu, pojawiające się przede mną w świetle reflektorów.

Na końcu ulicy znajdowała się jakaś ruina, rozległa i dość wysoka, dalej zaś, w głębi owego parku, błyskał oświetlonymi oknami długi budynek. Dojazdu do niego nie było, udałyśmy się tam obie z Lucyną na piechotę.

Budynek okazał się biblioteką, domem kultury, hotelem robotniczym i nieczynną kawiarnią. Obecne tam osoby wyraźnie i jednoznacznie wskazały nam ciemną ruinę.

— Jeśli pokój fabryki czekolady, to właśnie tam — poinformowano nas uprzejmie. — On jest chyba na drugim piętrze, bo na pierwszym mieszkają lokatorzy.

Tam można wjechać na dziedziniec, tylko trzeba dookoła.

— To niemożliwe — powiedziała Lucyna, wracając przez park do samochodu. — Coś tu chyba wszyscy myślą. Tam jest jedno rumowisko. Nie wiem, co zrobić, bo twoja matka już dłużej nie wytrzyma. Powinniśmy chyba poszukać hotelu, ale wątpię, czy dostaniemy miejsce.

— Obejrzyjmy to w każdym razie, słyszałaś, co mówili, podobno tu ludzie mieszkają. Objedziemy dookoła i może trafimy na ten dziedziniec.

Objechałam ruinę, czerniąc się posępnie na tle nieba, i znalazłam istotnie coś, co od biedy można było uznać za dziedziniec na emeryturze. Z dwóch stron otaczały go niskie budowle, robiące wrażenie walących się stajni albo obór. Z trzeciej wznosiła się potężna baszta, solidnie naruszona zębem czasu.

— Moim zdaniem to są ruiny zamku — oświadczyła Teresa po długiej chwili milczenia.

— No to co, źle ci? — odparła natychmiast Lucyna. — Będiesz mieszkać w zamku, to nie jest byle co.

Ledwo ruszyłam spod fabryki, zabłądziłam natychmiast, bo tam, gdzie powinnam wjechać, był jeden kierunek ruchu w przeciwną stronę. Spróbowałam dookoła, raz i drugi, bez skutku. Zaczynałam się już utwierdzać w decyzji przejechania owej jednokierunkowej ulicy tyłem, kiedy wreszcie trafiłam na jej drugi koniec. Zgodnie ze wskazówkami, znajdowało się tam wielkie, okrągłe, 'pęknięte lustro i należało jechać w lewo. Pojechałam. Kiedy skończyło mi się miasto, zawróciłam i znów znalazłam się w punkcie wyjścia. Sytuacja prezentowała się całkiem beznadziejnie, mojej mamusi wątroba zaczęła nawalać coraz porządniej.

— Koło lustra w lewo — powiedziała Lucyna głosem nieco zgnębionym. — On wyraźnie mówił, że koło lustra w lewo.

No to przecież właśnie przed chwilą tam byłam! Może przeoczyliśmy jakiś skręt...? Ponownie przebyłam całą trasę, pilnie szukając nowych możliwości. Wjechałam na jakieś podwórze, z którego wycofałam się czym prędzej. Znów wróciłam do lustra. Zaczęło się robić ciemno.

On coś mówił o jakimś parku — przypomniała nagle Teresa. — Tu widać drzewa.

Drzewa są na prawo — zaprotestowała Lucyna.

— Ale jakbyś chciała w nie wjechać, to musisz skrócić w lewo. Nie wiem, czy tu wolno jeździć po parkach, ale spróbujmy. W tamtej stronie do niczego nie dojdziemy, to już widać.

Wjechałam w jakąś aleję, która po jednej stronie miała rząd drzew, a po drugiej parkan. Na parkanie wisiała tablica z napisem: Al. Liliowa.

— Jest! — ucieszyła się cipcica Jadzia. — To miała być ta ulica! Liliowa! Wiedziałam, że coś od bzu!

— Jeśli to jest ulica, to ja jestem szach perski mruknęłam z powątpiewaniem, usiłując omijać wielkie doły i liczne kupy gruzu, pojawiające się przede mną w świetle reflektorów.

Na końcu ulicy znajdowała się jakaś ruina, rozległa i dość wysoka, dalej zaś, w głębi owego parku, błyskał oświetlonymi oknami długi budynek. Dojazdu do niego nie było, udałyśmy się tam obie z Lucyną na piechotę.

Budynek okazał się biblioteką, domem kultury, hotelem robotniczym i nieczynną kawiarnią. Obecne . tam osoby wyraźnie i jednoznacznie wskazały nam ciemną ruinę.

— Jeśli pokój fabryki czekolady, to właśnie tam — poinformowano nas uprzejmie. — On jest chyba na drugim piętrze, bo na pierwszym mieszkają lokatorzy. Tam można wjechać na dziedziniec, tylko trzeba dookoła.

— To niemożliwe — powiedziała Lucyna, wracając przez park do samochodu. — Coś tu chyba wszyscy myślą. Tam jest jedno rumowisko. Nie wiem, co zrobić, bo twoja matka już dłużej nie wytrzyma. Powinniśmy chyba poszukać hotelu, ale wątpię, czy dostaniemy miejsce.

— Obejrzyjmy to w każdym razie, słyszałaś, co mówili, podobno tu ludzie mieszkają. Objedziemy dookoła i może trafimy na ten dziedziniec.

Objechałam ruinę, czerniącą się posepnie na tle nieba, i znalazłam istotnie coś, co od biedy można było uznać—za dziedziniec na emeryturze. Z dwóch stron otaczały go niskie budowle, robiące wrażenie walących się stajni albo obór. Z trzeciej wznosiła się potężna baszta, solidnie naruszona zębem czasu.

— Moim zdaniem to są ruiny zamku —oświadczyła Teresa po długiej chwili milczenia.

— No to co, źle ci? — odparła natychmiast Lucyna. — Będziesz mieszkać w zamku, to nie jest byle co.

— Nie wiem, jakim sposobem ci mieszkańcy tam się dostają — zauważyłam w zadumie. — Nie ma wejścia. Włazą po murze czy jak?

Ciemno zrobiło się już kompletnie, moje reflektory wyławiały z mroku jakieś kupy gruzu i zrujnowane fragmenty murów. W kącie, gdzie obora łączyła się z basztą, widać było nieforemne, pochyle, porządnie udeptane rumowisko, stanowiące zapewne pozostałość schodów. Można by je w ostateczności uznać za wejście, gdyby nie drobnostka, mianowicie brak drzwi. Otwór w murze nad rumowiskiem był zabity deskami. W mojej mamusi ostro wzmogły się różne dolegliwości.

— Zróbmy coś! — zażądała z rozpaczliwym jękiem.— Ja się muszę położyć!

Narada w kwestii poszukiwania hotelu, w którym z pewnością nie było miejsc, zgasła w samym zarodku. Widać było, że z moją mamusią będzie dramat, jej wątroba przestała żartować i objawiła się poważnie. Cokolwiek miałybyśmy uczynić, należało uczynić to natychmiast.

Zdecydowałam się obejrzeć z bliska ponurą budowlę. Wylazłam z samochodu i stwierdziłam, że dobrze odgadłam, w rumowisku widniała reszta schodów. Spróbowałam zajrzeć za deski, przytykając do nich latarkę i oko, deski odchyliły się i o mało nie wpadłam do środka głową naprzód. A zatem były to drzwi i nawet miały coś w rodzaju klamki, zardzewiałej i zdezelowanej. Za nimi ujrzałam drewniane, kręcone schody.

— Hej! — zawołałam półgłosem, ożywiona nikłą nadzieją. — Chodźcie tu! Coś tu jest, spróbujemy wejść po schodach!

— Oszalałaś, jeszcze się to pod nami zawali — powiedziała z obawą Teresa, ale ruszyła w górę.

Lucyna zawróciła do samochodu po swoją torbę.

— Jeśli raz na to wejdem, mowy nie ma, żebym zeszła, zwłaszcza po ciemku. Niech przynajmniej coś wezmę, gdyby się okazało, że to tu. Poczekajcie na mnie!

Po kręconych schodach szło się i szło, bez mała w nieskończoność. Były nawet dość szerokie, ale za to nie miały żadnej poręczy. Dotarliśmy wreszcie do jakiegoś podestu.

— Czy to już drugie piętro? — spytała nieco zdyszana Teresa.

Oświetliłam latarką jedyne znajdujące się tam drzwi. Bieląca na nich wypisana ręcznie wizytówka.

— Król — przeczytała Lucyna tonem śmiertelnego zdumienia.

— Jaki król?

— Zygmunt. Także Władysław i Stefan. Razem trzech. Niech pękne, słuchajcie, tu mieszkają trzej królowie!

— No i cóż się tak dziwisz, gdzie mają mieszkać królowie, jak nie w zamku! — zniecierpliwiła się Teresa. — Pytam się was, czy to już tu, czy mam się drapać dalej?

— A co, pogryzło cię coś...?

— Drap się, drap — zachęciłam ją.

— Lucyna, mam nadzieję, że wzięłaś klucz? Lucyna pospiesznie pomacała kieszeń kurtki. Na następnym podejściu schody skończyły się czymś w rodzaju malutkiego poddasza, wyżej prowadziła zwyczajna drabina, której koniec nikał w mroku. Znow oświetliłam drzwi, obok futryny dostrzegłam kontakt, przekręciłam go, zabłysło słabe, nędzne światło zakurzonej żaróweczki. Lucyna wyciągnęła z kieszeni klucz.

— Ryzyk fizyk powiedziała. — Spróbujmy, co z tego wyniknie.

— Gdyby nie twoja matka, uciekłabym stąd już od progu — pośepnie mruknęła stojąca za mną Teresa.

Klucz pasował, tyle że przekręcał się odwrotnie. Drzwi otworzyły się z łatwością. Weszliśmy do środka, zapaliłyśmy światło i zamurowało nas doszczętnie.

Pokój... pardon, nie pokój, apartament gościnny w walącej się baszcie przeszedł wszelkie, najśmielsze oczekiwania. Dywany, telewizor, wazony z kwiatami, lśniący parkiet, szerokie wersalki ze śnieżnobiałą pościelą, kuchnia, w kuchni kredens na wysoki połysk, w kredensie bateria szkieł i kryształów, kuchenka elektryczna, toaleta, umywalka jak basen pływakki, nad nią lustro na pół ściany, szal ciał i uprząży! W osłupieniu oglądałyśmy te luksusy, stanowiące stanowczo zbyt wielki kontrast z wiodącą do nich drogą!

Leć po twoją matkę powiedziała z ożywieniem Lucyna. — Tu jest czajnik, nastawię przez len czas wody na herbatę.

— I jakie czyste to wszystko — zauważyła Teresa, ciągle jeszcze wstrząśnięta. — Świeżutko posprzątane! Czeka, ja też pójdę, same nie dacie rady.

Tutaj lubią silne efekty — oznajmiłam już na dole, wywlekając bagaże z samochodu. Idź na górę — zwróciłam się do mojej mamusi. — Nie bierz tej swojej upiornej torby, wystarczy, jak sama wejdiesz. Król tu mieszka.

Jaki król? — zaniepokoiła się ciocia Jadzia. Żeby jeden! — odparła tajemniczo Teresa. Trzech! Król Zygmunt, król Władysław i król Stefan. Batory chyba, bo innego nie było?

— Ja jestem taka chora, a wy sobie żarty stroicie! — jęknęła moja mamusia, nie pojmując przyczyn naszego radosnego wigoru.

— Żadne żarty, sama zobaczysz po drodze. Czekać, postawię samochód kawałek dalej, zdaje się, że rano będzie tu cień.

Ustawiłam samochód, starając się zorientować w stronach świata i uchronić go przed porannym słońcem, zabrałam resztę tobołów i znów wlałam na górę. Lucyna, która z uwagi na skłonność do zawrotów głowy miała trudności ze schodzeniem z wszelkich schodów, urządziła już gospodarstwo. Moja mamusia położyła się czym prędzej z westchnieniem szczerzej ulgi.

Myśleliśmy się kolejno, potem jadalśmy kolację bez pośpiechu, odpoczywając po rozlicznych emocjach. Moja mamusia drzemała, starałyśmy się więc zachowywać bardzo cicho. Teresa plątała się po kuchni. Lucyna obwąchiwała wędzoną rybę, kupioną wczoraj nad morzem, ciocia Jadzia przyglądała się jej krytycznie.

— Myślisz, że wytrzymała ten upał w samochodzie? — spytała zatroskanym szeptem.

— Myślę, że nie — odszepnęła smętnie Lucyna.

— Ale nie jestem pewna. Niech Teresa powącha. Teresa wyjrzała właśnie z kuchni, czyniąc jakieś gwałtowne gesty. Wzywała nas do siebie, zarazem nakazując milczenie. Zerwałyśmy się, bardzo zaintrygowane, i na palcach pospieszyłyśmy ku niej.

— O co ci... — zaczęła Lucyna i natychmiast zamilkła.

Ktoś był na podeście za drzwiami. Rozlegało się tam lekkie poskrzypywanie desek i ostrożne, skradające się kroki. Odgłosy dobiegały słabo, wydawały się jakoś dziwnie podejrzane i napawały zgrozą. Brzmiały tak, jakby ów ktoś zbliżył się do naszych drzwi i zastygł za nimi w bezruchu.

Na długą chwilę również zastygłyśmy w bezruchu. Coś przerażającego powiało przez gościnną kuchnię i na moment zabłysło mi ponętne przypuszczenie, że być może, w tej baszcie straszny. Zreflektowałam się jednakże, godzina była niestosowna, duchy na ogół pojawiają się o północy. Trwałyśmy wszystkie z zapartym tchem, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Lucyna poruszyła się pierwsza. Pokazała palcem lampę, wyciągnęła rękę w kierunku sufitu za drzwiami i zrobiła pytający wyraz twarzy. Pokręciłyśmy głowami, żadna nie pamiętała, czy światło na podeście zostało zgaszone, czy nie. Zaczęłam z kolei pokazywać palcem tkwiący w

zamku klucz, niepewna zabezpieczenia przed złoczyńcą, bo złoczyńca musiał to być niewątpliwie, nikt porządny tak się nie skrada. Odpowiedzi były podzielone. Za pomocą wyrazistej pantomimy zaproponowałam gwałtowne otwarcie drzwi i nagły wypad na zewnątrz, na co wszystkie gesty w pierwszej chwili odpowiedziały odmownie.

Na podeście ciągle było słyhać jakieś gmeranie, ostrożne, tajemnicze i denerwujące. Zrezygnowałam z pomysłu, uznawszy, iż jeśli to któryś król wlaź na poddasze i szuka czegoś w ciemnościach, wypadanie zniecka i straszenie monarchy będzie co najmniej nietaktem. W Lucynę jednakże wstąpił nagle straceńczy duch. Podsunęła się ku drzwiom, delikatnie i bezszelestnie przekręciła klucz i szarpnęła klamkę. Drzwi ani drgnęły, za to ten ktoś za nimi rzucił się ku schodom. Lucyna zrezygnowała z delikatności, przekręciła klucz odwrotnie i gwałtownie otworzyła drzwi. Żaróweczka pod sufitem przyświecała. Ze schodów ktoś zbiegał, nie starając się już zachowywać cicho i łupiąc kopytami w drewniane stopnie, aż echo szło. Rzuciłyśmy się za nim, lecz niepewne, co czynić, zawahałyśmy się u samej góry i nagle z dołu dobiegł nas straszliwy rumor, jakiś hurgot, głucho łupnięcie i trzask. Schody zadrżały. Sądząc z natężenia dźwięków, tajemnicza osoba zleciała na pysk co najmniej z dwóch zakrętów, a kto wie, czy nie z połowy piętra.

W mgnieniu oka eksplodowała w nas szaleńcza odwaga. Ostatecznie po takim wykorzystaniu schodów najgorszy zbir powinien stać się mało szkodliwy. Skoczyłam do pokoju po latarkę i popędziłam w dół za Teresą i ciocią Jadzią. Dogoniłam je z łatwością, bo w pobliżu pierwszego piętra ciemno już było jak w grobie i musiały mocno zwolnić. Na dole ktoś się kotłował postępując, żył zatem, zmasakrowanych zwłok mogłyśmy się już zatem nie obawiać. Złaziłyśmy do niego pospiesznie, trzymając się ściany i macając stopnie, bo latarka świeciła tyje, co kot napłakał. Królowie musieli być nieobecni, niemożliwe bowiem, żeby nie wylecieli z mieszkania na ten okropny rumor, który wstrząsnął basztą w posadach.

Byłam już prawie na dole. Ofiara schodów pozbierała się widocznie, bo coś miotnęło się tuż przede mną. Usłyszałam szczęknięcie zdezelowanej klamki, runęłam do przodu, narażając się na skręcenie karku, w otwartych drzwiach oświetliłam sylwetkę, która nie fatygując się zamykaniem wypadła na zewnątrz i popędziła w ciemność. Ciocia Jadzia tuż za mną wydała zdławiony okrzyk. Nieco wyżej Teresa trafiła widocznie na nadłamany stopień, zjechała kawałek dość gwałtownie i zatrzymała się z jakimś okropnym jękiem. Przeraziłam się, bo pomyślałam, że co najmniej złamała sobie kręgosłup. Ciocia Jadzia rzuciła się z powrotem do wnętrza z rozpaczliwym krzykiem.

— Moje zęby!!! — jęknęła Teresa straszonym głosem. — Jezus kochany, zgubiłam zęby!

Uspokoiliam się, że nie kręgosłup. Zęby wydały mi się mniej pilne. Sylwetki nie było co gonić, znikła w czerni, wychyliłam się za nią i usłyszałam warkot ruszającego samochodu. Na myśl, że ktoś ukradł mój, porzuciłam bez słowa ciocię Jadzię i Teresę i popędziłam na dziedziniec. Mój samochód stał spokojnie, wróciłam zatem natychmiast. Teresa była w stanie furii, ciocia Jadzia bliska płaczu.

— Uspokójcie się, jak te zęby gdzieś zleciały, to przecież leżą tam nadal — powiedziałam pocieszająco. — Nie róbcie paniki, zaraz poszukamy.

Czyś zwariowała, zostawiasz nas w tej grobowej ciemności, zabrałaś latarkę! — awanturowała się Teresa. — Stłukłam sobie łokieć, załamało się pode mną!

— Stójmy spokojnie, a ona niech poświeci — perswadowała ciocia Jadzia. — Nie przytupuj tak! One gdzieś tu leżą i możesz na nie nadebrać! Gdzie poleciały?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Czy ty sobie wyobrażasz, że ja coś widziałam? Myślisz, że moje zęby świecą?

Z góry dochodziły jakieś jęki, świsty i inne potępieńcze odgłosy. Znow się zaniepokoiłam, że to Lucyna usiłuje zejść na dół i doznaje przy tym krzywd cielesnych i umysłowych, ale nie miałam teraz głowy do Lucyny, bo zajmowałam się Teresą. Pomyślałam, że chyba z nimi zwariuję. Ciocia Jadzia poszukiwała zębów z takim przejęciem i zdenerwowaniem, jakby to co najmniej były jej własne.

W ciemnościach, rozproszonych nieco światłem latarki, macałyśmy zakamarki u podnóża schodów. Leżały tam rozmaite rzeczy, stare trepy, potłuczone skorupy, jakieś szmaty, kości, garnki, żelastwa, wszystko pokryte grubą warstwą kurzu, ale zębów nie było, Teresa popadła w beznadziejne przygnębienie.

Poświeć wyżej — zaproponowała ciocia Jadzia bez przekonania, zmartwiona niebotycznie. — Może nie spadły do samego dołu? Ona je zgubiła wyżej.

Poświeciłam i pierwsze, co ujrzałam, to malutką, skórzaną podkówkę, taką, jaka mogłaby służyć za portmonetkę, gdyby była nieco większa.

— Słuchajcie, to zgubił ten, co zleciał powiedziałam z przejęciem. — Popatrzcie, wcale nie zakurzone. Portmonetka to jest albo co, wyleciała mu, jak się tu kotłował.

— Daj mi święty spokój, na diabła mi cudza portmonetka! rozzłościła się Teresa. Ja chcę znaleźć zęby!

— : Są!!! krzyknęła ciocia Jadzia entuzjastycznie. — Wyżej!

Poderwałam latarkę, zęby Teresy leżały dwa stopnie nad portmonetką. Rzuciła się na nie, omal nie spadając ze schodów ponownie. Poświeciłam jeszcze wyżej.

— Zlecieliście w tym samym miejscu — oznajmiłam. — Tu jest nadłamany stopień i tamten ktoś na to trafił, i ty. Tylko on trafił widocznie z większym impetem, bo dalej poleciał, ale przedmioty gubiliście na tym samym poziomie.

— Żadnych przedmiotów nie gubiłam tylko zęby — odparła Teresa z urazą i tuląc szczękę do łona, ruszyła na górę.

Lucyna czekała na podeście, wbrew moim obawom cała i zdrowa.

— Coście tam robiły tyle czasu, wołam tu i wołam, zejść się boję, próbowałam gwizdać, ale mi nie wychodziło — powiedziała zdenerwowana. Można było chyba coś odpowiedzieć?

— Nie słyszałyśmy żadnego wołania — odparła ciocia Jadzia.

— Staralam się wciąć szeptem, żeby nie robić hałasu...

— Na drugi raz nie wołaj szeptem, bo od tego można dostać ataku serca przerwałam z niejakim rozgoryczeniem. — Myślałam, że też zleciałaś ze schodów i już dogorywasz albo zabiłaś się na miejscu, i od razu zaczęłaś straszyć. Mamy łup.

— Co macie?

— Łup.

— Dwa łupy — poprawiła ciocia Jadzia. — Odzyskane zęby Teresy, to też łup.

Lucyna patrzyła na nas, jakbyśmy całkiem zwariowały.

— Coś wam zaszkodziło? — spytała z troską. — Dostałyście czymś ciężkim po głowie?

Zrelacjonowałyśmy jej wydarzenia. Teresa pieczołowicie obejrzała szczękę, umyła ją i osadziła na właściwym miejscu. Moja mamusia ocknęła się z drzemki i poczuła zdecydowanie lepiej, tak jakby jej wątrobie chodziło tylko o nocleg w zrujnowanej baszcie. Można było obejrzeć znalezisko, co do którego upierałam się, że postradał je tajemniczy osobnik.

— Skąd wiesz, że osobnik, a nie osobnica? — zaciekała się Lucyna.

— Był w spodniach i od tyłu wyglądał mi na faceta.

— Ja też uważam, że facet — przyświadczyła ciocia Jadzia. — Widziałam, jak uciekał. Nie wiem, czy nie należało go gonić, ale osobiście nie czułam się na siłach.

— Szczególnie, że uciekał samochodem — uzupełniłam. Prześladowają nas jakieś osoby, zaopatrzone w pojazd mechaniczny. Nie wiem dlaczego.

Powiedziałam to tylko tak sobie, dla draki, bo do, wszystkich dotychczasowych wydarzeń ciągle odnosiłam się beztrąsko, ale Teresa zdenerwowała się okropnie. Natychmiast ją snuć różne ponure przypuszczenia. Jej zdaniem włoska mafia już się zdążyła dowiedzieć, że wykryliśmy oszustwo z pierścionkiem i teraz usiłuje usunąć ślady przestępstwa, a przy okazji także i ją. Albo nawet nas wszystkie.

— Jeszcze musieliby usunąć parę osób z Orno i Marka — zauważyłam krytycznie. — Dosyć dużo roboty. Poza tym, jeśli są tak poinformowani, powinni wiedzieć, że nie zamierzasz szarpać ich po sądach.

— Pokaż wreszcie to coś, co znalazłaś — zażądała Lucyna. — Może się czegoś dowiemy.

— Chyba trzeba ostrożnie, żeby nie zatrzeć odcisków palców? — powiedziała niepewnie ciocia Jadzia, odczytana w kryminalnych powieściach.

Wyjaśniłam jej, że z tymi odciskami to jest zawracanie głowy, ale na wszelki wypadek zachowałam ostrożność. Portmonetka zawierała sześć pojedynczych złotych i złożony kawałek bibułkowej serwetki, ciasno wetknięty pod złotych. Rozłożyłyśmy go na stole. Narysowana była na nim długopisem mapka.

— Wyspa skarbów! — ucieszyła się ciocia Jadzia.

— Popatrzcie, jest nawet krzyżyk!

— Krzyżyk jest, tylko wyspy brakuje. Według mojego rozeznania to jest suchy ląd — oświadczyłam, przyjrzawszy się obrazkowi. — Przerysowany kawałek sztabówki. Pojęcia nie mam, co to za miejsce.

— Tu jest coś napisane — zauważyła Lucyna. — Nie widzę bez okularów, niech która przeczyta.

Ciocia Jadzia miała okulary pod ręką.

— Wola — przeczytała. — Tu jest litera T, tu S, a obok napisane pr.

— No to już przecież wiecie, gdzie to jest — wtrąciła się moja mamusia słabym głosem, ale bardzo zaintrygowana sytuacją. — Wola. To miejscowość, nie?

— A owszem. Jedna z kilkuset prawdopodobnie — odparła Lucyna. — Tych Wól... czy Woli? Jest w Polsce zatrzęsienie.

— Wola koło prrr i jeszcze wam mało? — zdziwiła się moja mamusia.

— Skąd, całkiem starczy — rzekła Teresa zgryźliwie. — Krzykniemy: prrrrr! i ta Wola sama się koło nas zatrzyma.

— A może da się porównać z twoją mapą? — spytała z nadzieją ciocia Jadzia. — Z tą samochodową? Może tam znajdziemy taki sam kawałek, będzie Wola, będzie coś na T, coś na S i coś na pr?

Pokręciłam głową z powątpiewaniem.

— Moja mapa samochodowa jest mniej dokładna. To mi wygląda na jakieś wsiowe drogi czy coś takiego. To jest szosa, owszem, ale nie wiadomo, jaka to szosa, skąd i dokąd, a tych dróg w bok u mnie nie będzie. Ani tej zabytkowej budowli. Nie znajdziemy tego.

— A można wiedzieć, po co w ogóle mamy szukać? — spytała z niezadowoleniem Teresa.

— Nie wiem — odparłam. — Znalazłszy, mogłybyśmy może stwierdzić, kto nas napastuje, ale też nie wiem, czy nam to potrzebne. Te sześć złotych to nie jest taki majątek, który koniecznie należy oddać. :

— Biedny człowiek, pewnie sobie zbierał na telefon — westchnęła ze współczuciem ciocia Jadzia.

— Gdzie tu masz zabytkową budowlę? — zainteresowała się Lucyna.

Puknęłam widelcem w odpowiedni kawałek.

— Tutaj. To zamazane. Wygląda to na jakąś ruinę. Na sztabówkach takie rzeczy są zaznaczane. Przerysował byle jak, możliwe że to ma trochę inny fason...

Ciocia Jadzia uczyniła przypuszczenie, iż chodzi o skarb zakopany w ruinach i zmartwiła się bardzo, że nie wiemy, gdzie szukać. Moja mamusia zaproponowała, żeby może zwiedzać po drodze wszystkie zrujnowane grobowce. Zwróciłam im uwagę, że ruinę mamy niejako pod ręką, a poszukiwania po części już przeprowadziłyśmy. Zważywszy sumę sześciu złotych, skarb można by uznać za znaleziony.

— Trzeba będzie jeszcze sprawdzić jutro, przy świetle dziennym — stwierdziła Lucyna. — Może zgubił coś więcej? Co ona robi?

Teresa już od dłuższej chwili nie brała udziału w oględzinach. Podniosła się od stołu i obchodziła pokój, węsząc po wszystkich kątach, zaglądając pod wersalki, do walizek i garnków.

— Szuka skarbu— powiedziała moja mamusia.

— Teresa, to nie tutaj, to w piwnicy albo na strychu...

— Na litość boską, co tu tak śmierdzi? — przerwała z irytacją Teresa. — Nic takiego w pierwszej chwili nie czułam, a teraz śmierdzi i śmierdzi coraz bardziej. Może wiecie co?

— Obawiam się, że pewnie ryba — wyznała Lucyna z lekką skruchą i wyraźnym żalem. — Chciałam, żebyś ją powąchała, bo mam wątpliwości, czy się nadaje do jedzenia.

— Co masz? Wątpliwości? Węch straciłaś czy co? Czuć ją w całym domu i jeszcze mam specjalnie wąchać, żeby się zatruć na śmierć?! Jeszcze i ty na mnie dybiesz?

Lucynie najwyraźniej w świecie okropnie trudno było rozstać się z rybą. Ryby stanowiły zawsze jej najukochańsze pożywienie. Teresa zdenerwowała się na nią, twierdząc, że zaśmierdnięta wędzona ryba to — jest najgorsza trucizna świata. Lucyna bąkała coś, żeby może wobec tego zostawić ją i poczęstować następnego złoczyńcę, który przyjdzie z wizytą, ale Teresa zadziałała energicznie. Wydarła jej rybę razem z papierem i wyrzuciła za okno.

— Jak ty się zachowujesz? — zgorszyła się moja mamusia. — Jak ciemna masa z prowincji! Kto to widział śmiecić na zamkowym dziedzińcu!

— Temu dziedzicznemu już nic nie zaszkodzi, jedna ryba mniej czy więcej nie zrobi mu różnicy. Schowajcie te łupy i wyspy skarbów i, do diabła, chodźmy wreszcie spać!.

*

Wędzoną rybę znalazłam nazajutrz na dachu samochodu, słońce ją podgrzało, podsuszyło i przylepiła się na mur. Większą część z papierem oderwałam, ale reszta została. Nie miałam pod ręką wody, postanowiłam zatem zmyć ją gdzieś po drodze, dziwiąc się nieco przemieszczeniu stron świata, bo zdawało mi się wczoraj, że samochód powinien stać w cieniu. U podnóża schodów znalazłyśmy jeszcze 25 centów amerykańskich w jednym kawałku, co wywołało nową lawinę przypuszczeń i wniosków. Teresa obstawała przy mafii, ciocia Jadzia pocieszała ją, że to raczej jakiś współtowarzysz podróży zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i, teraz jeździ za nią, usiłując nawiązać znajomość. Lucyna jadowniczo przyświadczyła, podsuwając myśl, że wielbiciel zaczyna od podrzucania podarków, to sześć złotych, to 25 centów... Usiłuje w ten sposób zjednać ją sobie, tylko patrzeć, jak znajdziemy gdzieś po drodze duży brylant. Moja mamusia, odzyskawszy już siły, proponowała, żeby może wobec tego nie jechać, tylko iść piechotą, pilnie patrząc pod nogi i badając okoliczne rowy, bo szkoda byłoby przeoczyć podarunek.

Podkówkę ze złotówkami i mapką starannie schowałam, owinąwszy ją, w myśl instrukcji powieści kryminalnych, w jedyną posiadaną przy sobie chustkę do nosa. Wetknęłam ją do kieszeni na drzwiach samochodu obok pakunku z filmem. Przyszło mi do głowy, że jak tak dalej pójdzie, wracając do Warszawy będę miała pojazd zapchany po dach tajemniczymi, przedmiotami.

*

W Cieszynie czekał ojciec i Lilka, kuzynka w moim wieku. Swego czasu stanowiłyśmy jedyne dwie sztuki dzieci w całej dorosłej rodzinie, aczkolwiek Lilka też była moją ciotką. Wynikało to stąd, że moja świętej pamięci nieboszczka prababcia miała czternaścioro dzieci, których serdecznie nie znosiła i z których uchowało się dziewięcioro, co nie znaczy, że zde gustowana prababcia pozostała uśmiercała ukradkiem. Siłą rzeczy różniły się od siebie wiekiem do tego stopnia, że młodsza siostra mojej babki urodziła Lilkę dokładnie wtedy, kiedy

moja matka urodziła mnie. W związku z tym Lilka była jej cioteczną siostrą, a zatem moją cioteczną ciotką. Bardzo jej się podobał fakt, że jest babką moich dzieci, szczególnie że tą babką została w nietypowo młodym wieku osiemnastu lat.

— Cieszę się, że was widzę wszystkie w kupie — rzekła radośnie wśród powitań. — Miałam zamiar iść ze Zbyskiem do teściowej i zostawić wam całą chałupę, ale Janek mówił, że wynajął gościnny pokój w “Olzy”. Jeśli dwie sztuki pójdą do “Olzy”, reszta już się łatwo pomieści. Na wszelki wypadek pożyczaliśmy składane łóżko, bardzo dobre.

Dwie sztuki, które poszły nocować do “Olzy”, to była Teresa i ja. Wszystko byłoby idealnie, gdyby nie kłopoty z podziałem bagażu. Byłyśmy w podróży już blisko dwa tygodnie i wszystkie rzeczy przemieszały nam się dokładnie. Trzykrotnie obie, Lilka i ja, każda własnym samochodem, jeździłyśmy tam i z powrotem, przewożąc niezbędne przedmioty z jednego miejsca w drugie, aż w końcu jakoś się to zorganizowało, tyle że Teresa dostała nocną koszulę Lucyny i ręcznik cioci Jadzi, ja zaś zostawiłam w fiacie Lilki ranne pantofle i pastę do zębów. Odzyskałam je dopiero nazajutrz.

Następnego dnia rano przy śniadaniu nastąpiło trzęsienie ziemi, wyszły bowiem na jaw dwa fakty. Jeden związany był z ciocią Jadzią, drugi zaś z ojcem. Ciocia Jadzia zwyczajnie pomyliła daty, trwała w mniemaniu, że dziś jest wczoraj i do Warszawy wybierała się jutro. Tymczasem nagle okazało się, że wczoraj było wczoraj i w Warszawie musi się znaleźć nie jutro, a dziś, mniej z uwagi na skończony urlop, który wykorzystała tylko częściowo i jeszcze dużo jej zostało, a więcej z przyczyny sąsiadów, którzy wyjeżdżając do Rumunii, z jakichś tam powodów zostawili u niej swoje klucze od mieszkania. Nie załatwiła z nikim innym kwestii przekazania kluczy, bo była spokojna, że wróci w terminie. Sąsiedzi również właśnie wracają i lada chwila usiądą na schodach przed własnym, niedostępnym mieszkaniem, czekając na nią wśród szaleńczych obaw i niepokojów. Kto wie, czy nie zawiadomią milicji, że ich sąsiadka z kluczami przepadła bezpowrotnie, zapewne zamordowana.

Ojciec popełnił podobne niedopatrzenie. Zamówił dla nas nocleg w Nysie też nie od jutra, a od dziś. Wbrew pierwotnym zamiarom i planom musimy zatem natychmiast wyjeżdżać.

Dantejskie piekło, które w mgnieniu oka ogarnęło dom Lilki, z konieczności trwało krótko, bo pociąg do Warszawy odchodził za dwadzieścia minut. W ostatniej chwili zdążyłam wepchnąć do niego ciocię Jadzię, która odjechała bez swojego szlafroka, bez parasolki, bez biletu, bez pieniędzy gotówką. Nie zwróciła na te braki najmniejszej uwagi, zajęta innym problemem.

— Mój fiilm!!! — krzyczała rozpaczliwie przez okno, do którego przedarła się po głowach współpasażerów. — Zostawiłam mój film! Mój fiilm!!!

Leciałam za pociągiem, żeby mnie jeszcze mogła usłyszeć.

— Nic się nie bój! — wrzeszczałam. — Upiłnujemy go, oddamy ci w Warszawie!!!

Do cioci Jadzi zapewne dotarło, bo przestała wydawać z siebie to przeraźliwe “iii” i pokiwała potakująco głową, a potem ręką. Zaniechałam gonienia pociągu i wróciłam do Lilki, gdzie grzmiały jeszcze echa awantury o Nysę. Okazało się, że wynajęcie od dziś było niezbędne, na później bowiem pokój jest zarezerwowany. Ojciec zamówił nam dwa noclegi, na dziś i na jutro, i trzeba tam być koniecznie, bo jeśli nie przyjedziemy dziś, pomyślą, że nie przyjedziemy i jutro, i noclegi się wściekną.

— Dlaczego dwa noclegi? — spytała moja mamusia podejrzliwie. — Co ty tam masz takiego w Nysie?

— Pieczywo cukiernicze — odparł ojciec, który dosłyszał niecałe pytanie. — Głównie herbatniki.

— I na te herbatniki tak lecisz?

— Zakłady ostatnio unowocześnili — powiedział ojciec zachęcająco. — Można będzie je zwiedzić. Teresa na pewno nie widziała.

— Mówił dziad do obrazu! — zirytowała się moja mamusia. — Niech która z was go zapyta, po co mamy siedzieć w tej Nysie dwa dni, bo ja nie mam do niego cierpliwości! Znow udaje głuchego!

— Nie dwa dni, tylko dwie noce — sprostowałam.

— Dzień będzie akurat jeden. Sama tak zarządziłam, jeszcze w Warszawie. Zobaczysz, jak późno dziś przyjedziemy, i co? Jutro już mamy wyjeżdżać? A tak będziemy mieć cały dzień na oglądanie okolicy, tam są piękne miejsca, bardzo malownicze, możemy ostatecznie zwiedzić i fabrykę, zanocujemy i spokojnie wyjedziemy następnego poranka. Jak na wycieczkę, a nie jak do pożaru. Bardzo rozsądnie ojciec załatwił.

— No proszę! — ucieszył się ojciec triumfująco. — Ja od razu wiedziałem, że tak będzie rozsądnie!

— Ale ja chciałam posiedzieć chociaż parę dni w Cieszynie!

— Nic się nie martw — powiedziała pocieszająco Lilka. — Przyjedziecie jeszcze raz pod koniec wycieczki i zostanieie na dłużej. I tak musicie wrócić w te strony, bo Teresa chce wstąpić do Częstochowy, więc tylko trochę zbczycie. A ja wtedy wezmę tydzień urlopu.

Pod jej domem zmyłam sobie jeszcze resztki ryby z dachu samochodu i można było ruszać. Zgodnie z przewidywaniami przebycie stu pięćdziesięciu kilometrów drogi do Nysy, rzecz jasna bocznymi trasami przez Racibórz i Głubczyce, zajęło mi cały dzień.

Apartament w Nysie składał się z dwóch pomieszczeń, na szczęście połączonych bezpośrednio szerokimi drzwiami, dzięki czemu pozamieniane rzeczy można było sobie z łatwością oddać. Łazienka tuż obok stanowiła jedną całość z sypialniami, tapczanów i wersalek był wręcz nadmiar, starczyłoby ich na siedem osób, nie tylko na pięć. Teresa odzyskała swój ręcznik i poszła się umyć.

Ojciec grzebał w kącie przy swojej składanej wędce, którą ukradkiem przyniósł z samochodu, jedynej, jaką pozwolono mu zabrać. Moja mamusia miała zdecydowaną awersję do wędek od czasu pewnego powrotu z wakacji w Cieszynie przed wielu laty. Wracaliśmy wszyscy troje, ojciec oczywiście z wędkami, i na dworcu głównym wsiadaliśmy do taksówki. Wędki stanowiły problem straszliwy, były długie i nie chciały się nijak zmieścić. Ojciec spróbował najpierw wzdłuż iomal nie wybił przedniej szyby, spróbował więc w poprzek i zaczął zaczepiać przejeżdżające obok samochody. Ulokował je wreszcie na skos i wetknął mojej mamusi w oko. Nie dość na tym wysiadając jeszcze zrzucił jej tymi wędkami kapelusz z głowy. Moja mamusia dostała ataku furii i zapowiedziała, że je spali, ojciec zatem schował je przed nią tak skutecznie, że przez dwa miesiące sam ich nie mógł znaleźć. Od tamtego czasu wolno mu było zabierać wyłącznie składane.

Bez pośpiechu przygotowywaliśmy się do spożycia posiłku, złożonego z nabytych po drodze produktów. Siedząc przy wielkim, prostokątnym stole moja mamusia wywlekała ze swojej sławetnej torby rozmaite rzeczy jadalne i niejadalne. Za jajkami na twardo natrafiła na obcy przedmiot.

— Co to za ścierka? — spytała rozkładając lnianą płachtę. — Ja takiej nie miałam. Zabraliśmy Lilce?

Znajdowałam się obok i do mnie skierowane było pytanie.

— Skąd mam wiedzieć? — odparłam. — Tyś pakowała, ja myłam samochód. Nie widziałam, co brałaś.

Moja mamusia, rzecz jasna, znalazła ofiarę natychmiast.

— To Janek — zawyrokowała. — Boże, co ja mam z tym twoim ojcem! Janek, zabrałeś Lilce ścierkę?

Ojciec ciągle grzebał przy wędce, pełen cichej nadziei, że uda mu się gdzieś połowić ryby. Nie dosłyszał, a zatem nie zareagował.

— Tato! — wrzasnęłam okropnie. — Mama się pyta, dlaczego zabrałeś Lilce ścierkę?

— Co? — zdziwił się ojciec. — Jaką ścierkę?

— Do naczyń. Całkiem porządną.

— Żadnej ścierki nie zabierałem, nie rozumiem, o czym mówicie. Dlaczego miałem zabrać ścierkę?

— Nie wiem dlaczego, właśnie się pytam!

— Na litość boską, dlaczego tak wrzeszczycie? — spytała z niesmakiem Lucyna, ukazując się z drugiego pokoju. — O jaką ścierkę wam chodzi?

— No popatrz, mam tu cudzą ścierkę, skąd się wzięła? Może to ty zabrałeś Lilce?

Lucyna stanowczo wyparła się jakiegokolwiek kontaktu ze ścierkami. Teresa wyszła z łazienki.

— Co się tu dzieje? — spytała potępiająco. — Co to za krzyki? Jak wy się zachowujecie po nocy?

— A co, potrafisz z ojcem porozmawiać szeptem? — spytałam ją zgryźliwie. — Widzisz przecież, że nie nosi okularów, to niby jak ma słyszeć?

— Nie rozumiem, co mówisz. Albo ty oszalałaś, albo ja. A jakby nosił okulary, to by lepiej słyszał? Oczami słyszy czy co?

Nie, ale w okularach ma ten aparat dla głuchoniemych, chciałam powiedzieć nie dla głuchoniemych, tylko to takie coś, co wzmacnia. W okularach słyszy wszystko i twierdzi, że okropnie krzyczymy.

— No pewnie, że krzyczycie, sama słyszę. A dlaczego tych okularów nie nosi?

— Bo mówi, że mu ugniatają ucho i bardzo ich nie lubi.

Moja mamusia twardo obstawała przy pierwotnym temacie, nie wypuszczając ścierki z rąk.

— Może ty mi wreszcie powiesz, co to za ścierka i skąd się wzięła. Ktoś przecież musi to wiedzieć, sama mi tu nie wlaźła.

Jak to? — zdziwiła się Teresa. — A to nie twoja?

— No pewnie, że nie moja, znam ostatecznie swoje ścierki, nigdy w życiu takiej nie miałam. Nie zniosłabym w domu ścierki w żółto–zielone paski! Nienawidzę żółtego z zielonym.

Teresa jakby się nagle zachłysnęła.

— Boże! — krzyknęła i chwyciła się dłonią za twarz pod nosem, co zawsze było u niej objawem przestrawienia, zakłopotania i innych dusznych perturbacji.

— Naprawdę, to nie twoja?

— No jak ci mówię, że nie moja, to nie!

— Boże drogi! Myślałem, że twoja! Słowo daję!

— A co, wiesz coś o niej?

— To ja ją włożyłam do twojej torby. Ale naprawdę myślałam, że twoja...

— No dobrze, a skąd ją wzięłaś? Od Lilki? Teresa była pełna bezgranicznego przygnębienia.

— Z tego pokoju gościnnego w fabryce — wyznała po chwili żałości. — Wisiała na krześle i myślałam, że twoja. Takie było zamieszanie z wszystkimi rzeczami...

— Rąbnęłaś ścierkę z gościnnego pokoju! — wykrzyknęła Lucyna z nieopisaną uciechą. — Niech pękne, majątek nam się powiększa! Bardzo porządna ścierka, jeszcze parę fabryk i porośniemy w pierze!

Moja mamusia ze zgrozą patrzyła na obie swoje siostry.

— Naprawdę ukradłaś im tę ścierkę? — spytała niedowierzająco.

— No ukradłam, co na to poradzę — jęknęła ze skruchą Teresa i nagle rozzłościła się. — Oj, zgłupiałyście chyba, wcale nie ukradłam! Zabrałam, bo myślałam, że twoja, przecież ci mówię!

— Jezus Mario, Józefie święty! I co my teraz zrobimy? Ładnie wyglądamy, oni nam wynajmują pokój, a my im kradniemy ścierki! Coś trzeba zrobić! Janek! Nie wytrzymam z nim, on znów nie słucha! Janek! Teresa ukradła ścierkę!

— Może ukradłaś coś więcej? — dopytywała się z nadzieją Lucyna. Przyznaj się lepiej od razu, po co mają cię szarpać wyrzuty sumienia?

— To lniana — zauważyłam niewinnie. — Polski len zdobi ciebie — i twoje mienie. Tam u nich to jest bardzo drogie...

Teresa zdenerwowała się już do szaleństwa. Ojciec, pojawiwszy wreszcie, co się stało, wszystkie siły poświęcił na uzyskanie informacji, po co jej była ta ścierka. Doprowadzona do ostateczności moja mamusia wymyślała mu od głuchych pni i zmurszałych kłód, wszystko na bazie leśnictwa, żądając zarazem twórczych pomysłów. Lucyna natrzasała się z Teresy, snując projekty rozlicznych dalszych kradzieży, na pierwszy ogień proponując wiszący nad stołem wielki, mosiężny żyrandol. Ojciec walnął w żyrandol wędką, nie po to, żeby ją poprzec, a wyłącznie dlatego, że zapomniał, co trzyma w ręku.

— Uspokójcie się! — wrzasnęłam przekrzykując ogólny hałas. — Po pierwsze, może nie zwrócą uwagi, tam było więcej ścierek, może padnie na tego, kto zamieszkał po nas! A po drugie, ojciec napisze list z uprzejmym podziękowaniem za gościnę, wyjaśni omyłkę i razem z listem wyśle się im ścierkę. Ładnie uprzną.

— Niech siada i pisze od razu — zażądała Teresa.

— No i co ci z tego, przecież nie upierzesz jej tutaj. Umazana jest masłem, trzeba ją wygotować. Odeślemy z Warszawy.

— A do tego czasu będą mnie uważali za złodziejkę?

— Skąd wiesz, że ciebie, może mnie? Ja też tam byłam. Mnie mogą uważać, nic mi to nie przeszkadza.

— Pewnie, bo to nie ty ukradłaś, tylko ja! Ja w ogóle nie wiem, czy tak będzie dobrze? Mnie jest głupio, może lepiej wrócić tam i podrzucić im po cichu?

— Ryzykowne — stwierdziła Lucyna ostrzegawczo i złośliwie. — Mogą już wiedzieć, że ukradłaś, i w ogóle nie wpuszczą cię do środka.

— To Janek podrzuci.

— Już to widzę. Wejdzie ze ścierką jak ze sztandarem w dłoni i wtryni ją dyrektorowi osobiście. A jak mu zaczniesz wyjaśniać, skąd ją ma, to już wolałabym nie być na twoim miejscu...

Stało wreszcie na tym, żeby przyjąć moją propozycję, chociaż Teresa ciągle była pełna wahań, czy nie należy natychmiast wracać. Popełniła kradzież pierwszy raz w życiu i czuła się wstrząśnięta. Moja mamusia zażądała, żeby ktoś zabrał od niej tę ścierkę, bo z kradzionymi przedmiotami nie życzy sobie mieć nic wspólnego. Teresa schowała ją zatem do swojej torby, w ramach ekspiacji oświadczając, że sama upierze. Ku żalowi Lucyny żyrandol zostawiliśmy w spokoju...

*

Zatrzymania się akurat na środku wiaduktu nad jeziorem Otmuchowskim odmówiłam z wielką stanowczością, chociaż widok stamtąd był nader malowniczy. Nie jestem przesadna, ale w tak jaskrawe konflikty ze Służbą Ruchu wolę nie popadać. Podążyłam do Polanicy, gdzie wprawdzie nie było żadnych zakładów cukierniczych, ale za to na uboczu stał domeczek jednego z owych zaprzyjaźnionych z ojcem dyrektorów. Rodzina dyrektora udała się właśnie do Bułgarii, sam dyrektor siedział w Kłodzku, w domeczku zaś przebywała gosposia, spędzająca w ten sposób urlop w spokoju i samotności. Już z góry zastanawialiśmy się, czy i jak uda nam się zrekompensować jej zakłócenie owego błogiego wypoczynku.

— Co to jest to coś, co ty tam masz na środku? — spytała Teresa za Paczkowem, wskazując palcem moją tablicę rozdzielczą.

— Radio — odpowiedziała za mnie moja mamusia.

— Zepsute?

— Cóż znowu — odparłam ze zdziwieniem. — Dlaczego ma być zepsute? Działa całkiem dobrze.

— To dlaczego nie gra?

— Bo mnie hałas denerwują, szczególnie w czasie jazdy.

— Ale od czasu do czasu mogłabyś je włączać. Na przykład przy wiadomościach o pogodzie. Wiedziałybyśmy, jaka będzie.

— Chciałaś powiedzieć, że wiedziałybyśmy, jakiej nie będzie — rzekła z naciskiem Lucyna.

— Pewna korzyść jest nawet i w tym — zauważyłam filozoficznie. — Przynajmniej jedną możliwość miałybyśmy wyeliminowaną. Jeśli powiedzą, że gdzieś będzie upał i nieskalane słońce, wiadomo, że nie należy tam jechać, bo niewątpliwie trafimy na ulewę i wichur.

— Zawsze mówią odwrotnie? — zainteresowała się Teresa.

— Prawie. Czasem się mylą i trafiają trochę obok.

— No to włącz je może na chwilę, bo dochodzi dwunasta. Posłuchamy, co powiedzą.

Do dwunastej było jeszcze daleko, mój zegarek spieszył się jak zwykle. Posłusznie włączyłam radio. Bóg raczy wiedzieć, na co było nastawione, ale od razu zagrzmiały w nim gromko pomoce naukowe dla młodzieży. Przyciszyłam nieco, wytrzymałam jakiś czas, po czym przyciszyłam bardziej.

— No i sama widzisz — powiedziałam z rozgoryczeniem. — Czy to można znieść?

— Owszem, dość hałaśliwe — przyznała Teresa. — A co to w ogóle jest?

— Kontrowersyjne dźwięki. Dorośli od tego dostają nerwic, a młodzież w upojeniu się uczy. Rzecz jest niepojęta, im większy hałas, tym lepiej im ta nauka idzie. Nie wiem, po co to nadają teraz, skoro już jest po egzaminach i wszyscy mają wakacje.

Ryki w radio umilkły i po chwili okazało się, że nadawany jest właśnie koncert życzeń. Wszystkie trzy siostry zareagowały natychmiast, wymieniając rozmaite utwory, milczał tylko ojciec. Teresa popukała go w ramię.

— Jest koncert życzeń! Ty sobie czego życzysz?

Ojciec oderwał się od rozmyślań, w których pogrążył go widok obszaru wodnego pod Otmuchowem. Zastanawiał się bardzo krótko.

— Iść na ryby — oznajmił. — Ja sobie tak pójdę, że nawet nie zauważycie. Tam podobno jest potok i nawet pstrągi się trafiają.

— No i po co mu o tym przypominacie? — obruszyła się z niezadowoleniem moja mamusia. — Pójdzie i zginie. Zawracanie głowy z rybami!

— Przecież sam słyszałem, że powinnaś jeść ryby — rzekł z wyrzutem ojciec. — Jesteś na— diecie czy nie? Tyle wody tu było, już ja się postaram coś złapać. Koniecznie musisz jeść ryby.

Moja mamusia pomamrotała pod nosem na temat tego, czego się może spodziewać w miejsce ryb, używając różnych niecenzuralnych słów. Lucyna wyjątkowo siedziała cicho, nie chcąc ojca zniechęcać, bo aczkolwiek jego sukcesy wędkarskie nie były imponujące, to jednak zawsze coś tam mogło mu się przytrafić. Ciągle jeszcze nie zdołała przeboleć tej ostatniej, wyrzuconej przez okno ryby. Ojciec przestał się sprzeczać z mamusią, ale widać było, że postanowienie pójścia na ryby twardnieje w nim na granit.

Gospośi dyrektora znudziły się już widocznie spokój i cisza, bo powitała nas z otwartymi ramionami. Mieliśmy do dyspozycji cały domeczek, pokoje czekały przygotowane. Najwyraźniej nasze towarzystwo uszczęśliwiło ją do tego stopnia, że z własnej inicjatywy przygotowała uroczysty obiad. Uniemożliwiło nam to radykalnie natychmiastowe rozpoczęcie zwiedzania okolicy, realizację turystycznych planów musieliśmy przesunąć o jeden dzień.

Zdecydowana usatysfakcjonować Teresę bocznymi drogami, z Wambierzyc do Kudowy jechałam trasą niezwykle dziwną. Z początku wydawało mi się, że jadę według mapy, ale potem widocznie przeoczyłam jakiś rozjazd, bo droga całkowicie zmieniła charakter. Nie wiem, co to mogło być, pieszy szlak turystyczny, łożysko potoku, czy może jeszcze coś innego, w każdym razie samochód ciągnął z niejakim wysiłkiem. Pocieszałam się myślą, że z całą pewnością nie jest to trasa pni drzewnych, spychanych po wyrębie, brakowało bowiem drewnianego koryta.

Wyjechałam na górę, znalazłam się na szczycie i odetchnęłam nieco lżej, bo droga jęła iść prawie poziomo. Usłana była wyłącznie kamieniami luzem, gdzieniegdzie porośnięta trawą, i stanowiła ciąg łagodnych dołków i górtek, układających się przede mną w poprzeczne fale. Jechało się po tym nawet dość przyjemnie, tyle że szybkość nie mogła przekraczać dwudziestu kilometrów na godzinę. W jednym miejscu spróbowałam dojść do trzydziestu i od razu jęknęło mi podwozie.

Okolica była prześliczna. Przy drodze rozciągały się łąki z wysoką, piękną trawą, urozmaicał ją bliżej rosnący kępami, a dalej zwartą ścianą malowniczy las, słońce świeciło, panował spokój i cisza, żywego ducha nigdzie nie było widać. Za to pokazała się sarna. Wskoczyła z lasu, popatrzyła na nas z trwożliwym niesmakiem i oddaliła się bez pośpiechu. Zakwitła we mnie niepokojąca myśl, że teren chyba nie jest przystosowany do ruchu kołowego i kto wie, czy nie będę musiała zjechać stąd tą samą drogą, którą wjechałam. Na litość boską, gdzie my jesteśmy — spytałam dość beznadziejnie.

Jak to gdzie, w Górach Stołowych — odparła moja mamusia, błogo uszczęśliwiona. — Na mapie jest wyraźnie napisane, że to są Góry Stołowe.

— No dobrze, ale dokąd jedziemy?

— No przecież sama mówiłaś, że do Kudowy.

— Boże wielki, miałam zamiar do Kudowy, ale nie sądzisz chyba, że to jest właściwa droga? Pojęcia nie mam, dokąd to prowadzi, i w ogóle obawiam się, że chyba zaraz się skończy!

— Nic nie szkodzi, tu jest przepięknie! — stwierdziła Teresa zachwycona. — Zatrzymaj się chociaż na chwilę!

Zatrzymałam się posłusznie, nie gasząc silnika i nie ruszając się z samochodu. Teresa zaczęła wypychać ojca.

— Wsiądźmy tu! Mogłybyśmy pochodzić trochę po lesie! Tu tak ładnie!...

— Pochodzenie od razu wybij sobie z głowy — przerwała Lucyna ostrzegawczo. — W tej trawie jest pełno wążów i żmij.

Teresa gwałtownie zaniechała wypychania ojca.

— Czego proszę...?

— Nie rozumiesz po polsku? Wążów i żmij. Gdzie nie stąpniesz, same węży. Nie radziłabym ci próbować.

Poparłam Lucynę, też wiedziałam, że w tych okolicach jest pełno węży, a i żmije się przytrafiają, podobnie jak w Bieszczadach. Nie byłam pewna, gdzie ich jest więcej, tam czy tu, ale do ukąszenia którejs z nas w zupełności wystarczyłaby nawet jedna. Teresa uwierzyła nam na słowo, z żalem zrezygnowała z przechadzki po lesie i zgodziła się jechać dalej.

Jechałam zatem dalej, zrezygnowana, zdając się na wolę Opatrzności. Droga istotnie skończyła się na podwórzu jakiegoś budynku, być może leśniczówki. Przy parkanie stało dwóch facetów, gapiąc się na nas z zainteresowaniem. Wydali mi się wysłańcami niebios.

— Czekaście, spytam tych ludzi, czy istnieje jakiś przejazd stąd do Kudowy — rzekłam z nadzieją, wycofując się tyłem z podwórza.

Zanim do nich podjechałam, jeden z wysłańców niebios zepchnął z podnóżka stojący obok motor, zapalił, usiadł na nim i nasunął na twarz gogle. Stał obok drugiego, warcząc silnikiem i na coś czekając. Drugi poinformował mnie chętnie i życzliwie, aczkolwiek gromkim krzykiem. Droga, owszem, istniała, prowadziła dalej, aż do szosy na Kudowę, zaczynała się tuż za podwórzem, tyle że odgradzał ją wielki rów. Ale i przez rów można było przejechać, tylko nieco boczkiem, między drzewami. Furmanki się mieściły, to i ja powinnam się zmieścić, potem zaś będzie już łatwiej.

— Kamienie tam są i doły, ale można przejechać — pocieszył mnie. Tu już kiedyś jeden samochód raz przejechał.

Facet na motorze wrzucił bieg i odjechał bez słowa. Ruszyłam dalej w charakterze drugiego samochodu, który pokonał tę prześliczną trasę. Wcale nie trafiłam na główną szosę do Kudowy, dojechałam do drogi od jakiejś dziwnej strony po wielkich kałużach i błotnistej mazi.

— Miałyście mi pokazać jakiś grobowiec z ludzkich piszczeli — przypomniała sobie nagle Teresa. — Nic takiego w tych Wampirzycach nie widziałam. Wampirzyce, bardzo stosowna nazwa dla grobowca z piszczeli.

— Jakie Wampirzyce, to nie w Wampirzycach, tylko w Czermej — odparła Lucyna. — I nie z piszczeli, tylko z czaszek. Nie mam pojęcia, jak się tam jedzie, ale Joanna pewnie znów trafi od tyłu.

— Zaczynam się przyzwyczajać do bocznych dróg — oznajmiłam jadowicie. — Tylko że do Czermej jest zwyczajna szosa i nawet autobusy tam jeżdżą.

— Jedźmy za autobusem — zaproponowała moja mamusia.

— Przestańcie się kłócić — powiedział nagle ojciec z dezaprobatą. — Tu tak ładnie, a wy się kłóćcie i kłóćcie.

Zbaraniałyśmy wszystkie cztery.

— My się kłócimy? — zdumiała się Lucyna.

— Kto się kłóci, co cię napadło? — zdziwiła się moja mamusia. — Ja tylko zaproponowałam, żeby jechać za autobusem, ale jak one nie chcą, to nie. Wcale się nie upieram.

— No przecież słyszę, że sobie wymyślacie. Wampirzyce i wampirzyce! Dajcie spokój, Teresa jest gościem, trzeba jej ustąpić.

— Tato, one sięgnie kłóć, one mówią o tych Wampirzycach, w których byliśmy! — wrzasnęłam do ojca.

— W żadnych Wampirzycach nie byłem — odparł ojciec stanowczo i poniekąd miał rację. Pełen potępienia dla naszego awanturnictwa, złożył Teresie deklarację ustępowania jej na każdym kroku. Teresa deklarację przyjęła łaskawie.

Do podnóża słynnego masywu Szczelińca dotarłam po obiedzie. Drogę od parkingu z knajpą do stóp schodów przebyliśmy na piechotę wszyscy razem. Tu jednak ujawniła się sprzeczność życzeń i potrzeb.

Wejścia ha owe 665 stopni odmówiłam kategorycznie i stanowczo, czemu nikt się nie sprzeciwiał, bo zasługami w dziedzinie bocznych dróg zdobyłam sobie prawo do grymasów. Wiadomo też było z góry, że nie wejdzie i Lucyna, to znaczy wejść by weszła, tylko Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem moglibyśmy ją stamtąd sprowadzić na dół. Moja mamusia, która pierwotnie z entuzjazmem rwała się ku szczytom, teraz znów zapadła na swoje dolegliwości

wątrobowe. Wprawdzie nie bardzo ostre, ale dostateczne, żeby wycieczka przestała ją bawić. W rezultacie do towarzystwa Teresie został tylko ojciec, który nie sprzeciwił się niczemu, i od razu ruszył za nią po kamiennych stopniach. Szybko znikli nam z oczu.

Co nam strzeliło do głowy, żeby na Szczeliniec wysłać z Teresą ojca, tego nigdy nie udało mi się pojąć. Musiałyśmy zapewne wszystkie razem popaść w jakieś zaćmienie umysłowe. W normalnych warunkach byłby to błąd, a jeszcze teraz, po dziwnych wydarzeniach, jakie nam się przytrafiły, było to istne szaleństwo. Inna rzecz, że o wydarzeniach żadna z nas w tej chwili nie pamiętała. Wdzięczny, słoneczny pejzaż napelniał dusze błogością i wykluczał jakiekolwiek ponure jasnovidzenia.

Po dwóch godzinach Lucyna wróciła z lasu.

— Jeszcze ich nie ma? — spytała. — To ja sobie pójdę w drugą stronę.

— Tylko nie za daleko, bo za jakąś godzinę powinni już zejść — ostrzegłam.

Lucyna uwielbiała błąkać się samotnie po lesie, wyruszyła zatem znów na przechadzkę. Moja mamusia siedziała na fotelu z dmuchanego materaca, który przezornie zabrałam z samochodu. Ulokowana na podwyższeniu terenu, nieco opodal wejścia na schody, żeby nie włożyły jej na głowę wszystkie wycieczki, oglądała sobie krajobraz. Było jej bardzo przyjemnie i dolegliwości wątrobowe stopniowo ustępowały. Pętałam się w pobliżu, zbierając co ciekawsze zielska i badyle, które to zajęcie zawsze należało do moich ulubionych czynności.

Ujrawszy ponownie Lucynę, spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że od chwili wyruszenia ojca z Teresą na górę minęły już trzy godziny. Znałam te góry i troszeczkę mnie to zaniepokoiło.

— Jak to, jeszcze ich nie ma? — zdziwiła się Lucyna. — To może ja sobie znów pójdę...

— Nigdzie nie pójdziesz — zaprotestowała moja mamusia. — Siedź tu przez chwilę spokojnie — jak człowiek, a nie jak latawica. Oni powinni zaraz wrócić.

Z góry zeszła kolejna, już trzecia, wycieczka rozbawionych osób różnej płci i w różnym wieku. Spojrzałam za ostatnią osobą i obejrzałam tę ilość stopni, jaka była widoczna z dołu.

— Ona ma rację, siedź spokojnie — przyświadczyłam. — Według mojego rozeznania wchodzili właśnie z tą wycieczką i pewnie trochę odczekali, bo mieli jej dosyć. Powinni się zaraz pokazać.

Czas mijał, schody były puste.

— Może poszli z następną wycieczką? — powiedziała z niezadowoleniem Lucyna. — Nie wiem, po co mam tu siedzieć, pochodziłabym sobie jeszcze trochę.

— Teraz już naprawdę powinni zejść — odparłam, usiłując związać swój bukiet kawałkiem trawy. — Nie lataj nigdzie, a jak masz latać, to tylko po skraju lasu, żeby nas widzieć. Zejdą pewnie okropnie głodni.

— Coś ty, tyle czasu ich nie ma, że chyba poszli na podwieczorek do schroniska. My będziemy głodne, a nie oni.

— Słuchajcie?— a może oni zabłądzili? — zaniepokoiła się nagle moja mamusia. — Tam bardzo łatwo zabłądzić!

— No! — przyświadczyła Lucyna. — I niedźwiedź ich zeżarł...

— Na podwieczorek.

— Wy sobie robicie głupie żarty, a ja się naprawdę boję, że zabłądzili!

— Nie poszli chyba bez przewodnika? — zauważyłam krytycznie.

Lucyna, wzruszywszy ramionami, oddalała się już ścieżką wzdłuż zbocza. Na moje słowa zatrzymała się raptownie i pokiwała ręką. Pospieszyłam ku niej.

— Niech twoja matka nie słyszy — szepnęła niespokojnie, pokazując palcem jakieś zielsko. — Udawaj, że ci pokazuję twoje ulubione roślinki. Słuchaj, czyś się zastanowiła, że tam poszedł twój ojciec?

Przez chwilę patrzyłam na nią bezmyślnie, po czym przykucnęłam przy roślinkach z wyjątkową ochotą, aczkolwiek były to pokrzywy, ugięły mi się bowiem nogi w kolanach. Rzeczywiście, przecież z Teresą poszedł ojciec...

— Rany boskie, masz rację! — jęknęłam szeptem.

— Ojcu przewodnik nie przyjdzie do głowy, Teresie też nie, bo nie zna ani tych gór, ani tutejszych obyczajów! Chryste Panie, poszli sami i rzeczywiście zabłądzili!

— Jedyna pociecha to ta, że tam pilnują wariatów — rzekła Lucyna z posępną troską. — Zdaje się, że nie pozwalają chodzić samopas, wyłapują i przydzielają przewodnika przemocą...

— Co wy tam szepczecie? — zawołała podejrzliwie moja mamusia. — Słuchajcie, ja się zaczynam denerwować! To już naprawdę za długo, dawno powinni wrócić! Czy im się coś nie stało?

Popatrzyłyśmy z Lucyną na siebie, niepewne, co czynić. Podsycić obawy mamusi, na wszelki wypadek przygotowując ją na najgorsze, czy też raczej uspokoić, narażając na ewentualny wstrząs. Wybrałam drogę, która wydała mi się pośrednia.

— Stać, to im się z pewnością nic nie stało — rzekłam stanowczo, porzucając pokrzywy. — Gdyby im się coś przydarzyło, już byśmy tu widziały sanitarny helikopter. Warczy jak szatan i trudno go przeoczyć. Ale zabłądzić mogli, owszem, to jest nawet dość proste. Mam nadzieję, że w końcu wpadną na pomysł, żeby wleźć na punkt triangulacyjny, stamtąd widać drogę do

schroniska, sama ją kiedyś w ten sposób znalazłam. Też zabłądziłam i, jak widzisz, nic mi się nie stało.

Moją mamusię te argumenty podniosły z materaca.

— : Boże drogi! — zdenerwowała się. — Mogli wlecieć w jakąś dziurę! Zabłądzili na pewno, ja to czuję, że zabłądzili! Ten twój ojciec specjalnie robi takie rzeczy, żeby mnie wykończyć!

— I popatrz, jak długo mu się to nie udaje — szepnęła Lucyna.

Minęły cztery godziny, była szósta. W głębi duszy rozkwitał mi niepokój, zaczęłam się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Istniała możliwość, że weszli na górę, zmęczeni się i od razu poszli odpocząć do schroniska, napić się kawy albo herbaty. Zajęło to razem godzinę, względnie nawet półtorej. Poszli z którąś wycieczką, łazili znów przez godzinę, chociaż przewodnicy w okresie szczytu turystycznego potrafią obskoczyć całość w dwadzieścia pięć minut, ale założmy, że Teresa dała napiwek w postaci dolara... To już dwie i pół godziny. W schronisku znów odpoczęli, mamy trzy godziny, poszli w dół, po kwadransie powinni dotrzeć do nas. Cztery godziny to już doprawdy przesada...

O wpół do siódmej moja mamusia zaczęła dostawać hysterii. Z najwyższym trudem obie z Lucyną hamowałyśmy jej chęci udawania się na górę, wzywania pomocy, Organizowania ekspedycji ratunkowej i polowania na grubego zwierza, bo ten niedźwiedź Lucyny jednak się przyplątał. Właśnie kiedy zaczęła odsądzać nas od czci i wiary jako bezduszne, wredne żmije, ukazał się ojciec. Patrzyłam za nim na schody, ale Teresy nie było.

— Teresa jest tutaj? — spytał odrobinę niespokojnie.

— Gdzie Teresa? — krzyknęła moja mamusia strasznym głosem, rzucając się ku niemu.

Ojciec był nieco zakłopotany i zmartwiony.

— No właśnie myślałem, że zeszła sama i już jest z wami. Zgubiliśmy się zaraz na początku i nie mogłem jej znaleźć. Nie wiem, gdzie ona się podziała...

— Przewodnika mieliście? — przerwała Lucyna energicznie.

— Jakiego przewodnika? A, mieliśmy, oczywiście, jaki przewodnik, chciałaś powiedzieć, mieliśmy, mam tu, przy sobie.

Lucyna wydała z siebie jakiś okropny jęk.

— Gdzie?

— W kieszeni...

Ojciec zaczął wyciągać z kieszeni ciasno upchnięty przewodnik po Ziemi Kłodzkiej i Górach Stołowych w postaci niewielkiej książeczki. Powstrzymałam go.

— Tato, my się pytamy, czy mieliście przewodnika, a nie przewodnik, takiego faceta, co zna teren i oprowadza turystów! Faceta, mówię! Czyście mieli przewodnika w ludzkiej postaci!

— W jakiej ludzkiej postaci, po co nam ludzka postać! — zdenerwował się ojciec. — Ja mam kompas! Bardzo dobry, wszędzie się z nim trafia, on doskonale pokazuje...

Z drugiej kieszeni wygrzebał kompas i zaprezentował nam. Odruchowo spojrzaliśmy na drżącą strzałkę, poczułam, jak robi mi się cokolwiek słabo.

— I nie poszliście z wycieczką? — spytała Lucyna dziwnym głosem.

— Nie, bo Teresa chciała sobie sama ‘Spokojnie wszystko obejrzeć. Przeczekaliśmy wycieczkę i poszliśmy za nimi.

— I dlaczego nie wróciliście z nimi? — spytała moja. mamusia cicho i złowieszczo.

— Nie szepcz do ojca w tej sytuacji! — zirytowałam się. — Wprowadzasz tylko jeszcze większe zamieszanie! Tato, dlaczego nie wróciliście z tą wycieczką?

— Bo oni nam od razu zniknęli z oczu. Sami chodziliśmy, ale krótko, bo Teresa zaraz poszła z drugiej strony takiego wielkiego kamienia i już jej więcej nie widziałem. Chciałem ją znaleźć, jedno miejsce poznałem, byłem tam cztery razy, potem znalazłem drogę do schroniska, potem chciałem pójść dalej albo w inną stronę, ale już mi się nie udało. Nie wiem dlaczego, bo kompas pokazywał bardzo dobrze. Szedłem przed siebie i za każdym razem wracałem do schroniska. Próbowałem siedem razy.

Nie miało sensu dłużej dyskutować. Spojrzałam na zegarek, była za kwadrans siódma, rozejrzałam się po okolicy, która daleko przed nami leżała jeszcze w słońcu. Na górze musiało być widniej, mieliśmy przed sobą dobrą godzinę dnia.

— Trudno, nie ma siły — powiedziałam z westchnieniem. — Nie uniknę tych schodów. Zawracaj, tato, idziemy!

Moja matka bez słowa oderwała się od pnia drzewa, który służył jej za podpórę, i ruszyła ku kamiennym stopniom. Rzuciłyśmy się za nią obie z Lucyną, w sukurs pospieszył nam ojciec, wszyscy niezwykle zgodnie podzieliliśmy się na głosy.

— Masz tu zostać i przestań się wygłupiać! — awanturowała się Lucyna. — Dużo pomożesz, jak się też przelecisz siedem razy dookoła kamienia! Niech idą sami!

Popierałam ją bardzo stanowczo.

— Nigdzie nie pójdziesz! Lucyna, trzymaj ją tu, przywiąż ją do drzewa, niech mi nie bruździ na górze tą swoją wątroba!

— Dokąd ty się wybierasz, słuchajcie, niech ona tu zostanie, już za późno na takie wycieczki — perswadował ojciec bezradnie, usiłując powlec małżonkę w kierunku fotela z materaca.

— Jeszcze i córkę stracę! — krzyknęła moja matka rozdierająco.

Rozzłościłam się, bo czasu było mało.

— Żadnej córki nie stracisz— nie zawracaj głowy! Nie będziesz mi przysparzała kłopotów, siadaj spokojnie i czekaj! Nie tu, tu leży krowie łajno! Macie tu kluczyki od samochodu, chłodno się robi, weźcie sobie swetry, a najlepiej idźcie do tej restauracji koło parkingu. Nie zgubcie tych kluczyków, na litość boską! I nie zostawiajcie materaca!

Drogę na górę przebyłam w rekordowym tempie. Ojciec leciał za mną posapując, chociaż chodzenie po schodach nigdy nie sprawiało mu trudności. Gryzłam się trochę brakiem latarki, bo wiedziałam, że wracać będziemy już po ciemku, ale miałam nadzieję, że w schronisku coś mi pożyczą.

W sali restauracyjnej siedziała jeszcze jedna, ostatnia wycieczka. Dwóch przewodników ruszyło z nami od razu, oblecieliśmy cały labirynt skalny w pół godziny, co jakiś czas wydając rozmaite okrzyki. Przewodnicy z początku wołali “Pani Tereso”, potem przestali zważać na formy i tak jak my darli się; “Teresa! Teresa!”. Świeciliśmy w głąb jam i rozpadlin potężnym reflektorem, zaglądałiśmy w każdą dziurę i w każdą szczelinę, bezskutecznie. Teresy nigdzie nie było.

— Niemożliwe, proszę pani — powiedział jeden z przewodników. Ja te góry znam jak własną kieszeń, nie ma tu takiego miejsca, gdzie ta pani mogłaby leżeć na przykład ranna i nieprzytomna. Nawet gdyby spadła w przepaść, zaklinowałaby się w połowie, a sama pani widziała, że nigdzie nic takiego nie było. Nie ma jej tu, to wykluczone.

— Gdyby to był portfel, to jeszcze — dodał drugi. —Portfela faktycznie moglibyśmy nie znaleźć tak od razu, trzeba by szukać ze trzy dni. Człowieka musi się zauważyć.

— Nie więc co, na litość boską, wyparowała czy jak? — spytałam, zdenerwowana makabryczną wizją zaklinowanej Teresy. — Bo wejść, weszła na pewno.

— Mogła faktycznie zabłądzić i wyjść na drugą i stronę, tam jest zejście. Trochę trudne, ale nic specjalnego, woda w tym roku wymyła takie uskoki, że można zejść. Skoczymy i sprawdzimy, bo tam rzeczywiście nogę da się złamać. A na górze krzyków z dołu nie byłoby słychać.

Zainteresowana sensacją wycieczka porzuciła wszelką myśl o powrocie na dół, twardo siedziała i czekała rezultatów poszukiwań. Przewodnicy poszli sami, twierdząc, zapewne słusznie, że ja bym im tylko przeszkadzała. Piliśmy z ojcem kawę, którą, wśród licznych objawów współczucia, dostaliśmy wyjątkowo dobrą. Wycieczka szeptała z przejęciem, gapiąc się na nas niczym wół na malowane wrota.

Przewodnicy wrócili z informacją, że drugie zejście jest puste, nie leży tam żadna ofiara ze złamaną nogą, na krzyki nikt nie odpowiada, a ogóle to sprawdzili bardzo dokładnie. Przyszło

im to bez trudu, bo to jest północna strona i słońce tam jeszcze przyświecało. Przyświecało wprawdzie tylko wyżej, a niżej było już ciemno, ale za to niżej jest łatwa droga i nikt tam sobie nic nie złamie. Teresy tutaj nie ma i koniec.

Zdenerwowało mnie to już zgoła niebotycznie, bo gdzieś ta Teresa musiała się przecież podziewać. Pojęcia nie miałam, co zrobić. Siedziałam, patrząc na obu przewodników w tępym przygnębieniu. Jakaś pani, z kąta podniosła się i podeszła do nas.

— Ja przepraszam, ale słyszę, że tu zginęła jakaś pani — powiedziała nieśmiało. — Nie wiem, ale możliwe, że ja tę panią widziałam.

Poderwało mnie od stolika. Wycieczka wstrzymała oddech.

— Gdzie pani widziała? Kiedy?

Przewodnicy zainteresowali się również. Pani wyjaśniła, że była właśnie tam, gdzie jest to drugie zejście. Siedziała na kamieniu i widziała, jak dwie osoby schodziły, a przedtem minęła się z tymi osobami i to była jakaś pani i jakiś pan.

Trochę mi się to wydało skomplikowane, głównie przez jakiegoś pana, więc poprosiłam, żeby odwróciła kolejność. Najpierw niech powie kogo, kiedy i gdzie minęła, a potem co ten ktoś zrobił. Pani zgodziła się, wytłumaczyła bardziej przewodnikom niż mnie, że tam, gdzie jest ciasno i taka żelazna rura wystaje ze ściany, minęła się z dwiema osobami. Przepuściła je, osoby nadeszły od innej strony niż ona. Przewodnicy kiwali głowami, najwyraźniej w świetle mając w oczach wszystkie szczegóły topograficzne terenu. No i te osoby poszły w dół, a ona została na kamieniu.

— Kiedy to było? — spytałam pełna napięcia.

— Chyba koło piątej — odrzekła pani z wahaniem.

— Może trochę wcześniej, ale niewiele.

To się mogło zgadzać mniej więcej. Ojciec zgubił Teresę prawdopodobnie około wpół do czwartej. Jakiś czas błądziła... Tylko czy to była na pewno ona? Skąd pan...?

— Jak te osoby wyglądały? — spytałam zachłannie.

— Nie wiem — odparła pani z zakłopotaniem.

— W ogóle na nie nie patrzyłam.

— Jak to? — oburzył się jeden z przewodników.

— Minęła się pani z nimi w tej ciasnej dziurze, tam jest przecież cholernie mało miejsca, i nawet pani na nich nie spojrzała?

— Nie...

Po słuchającej w napięciu sali przeleciał szmer nagany. Zakłopotanie pani wzrosło. Poczuli się zmuszona wyjawic coś więcej pod presją opinii społecznej.

— Bo ja patrzyłam na coś innego — wyznała po chwili z niejakim oporem. — No dobrze, to już powiem, ostatecznie skąd ja miałam wiedzieć, że ta pani zginie, czy to człowiek może przewidzieć...?

— Na co pani patrzyła? — spytał jeden z przewodników zimno i surowo.

— Na pierścionek. Ta pani miała pierścionek... Jeszcze przez moment nie doceniałam informacji, po czym nagle rzuciłam się na nią jak harpia na ofiarę.

— Jaki? Na litość boską, niech pani opisz! Widziała go pani przecież, skoro pani na niego patrzyła!

— No pewnie, że widziałam—odparła pani z lekką urazą. — I doskonale pamiętam. Był przepiękny, nadzwyczajnie mi się podobał i dlatego tak patrzyłam, bo myślałam, skąd ta pani go ma. W sprzedaży tego nie widziałam. Był dość duży, owalny, ze srebra, oksydowanego chyba, nie? Bo tu jasny, a tu czarny. I miał pięć czerwonych kamieni, takich nieregularnych, nie wiem, co to było. Nie przezroczyste, tylko matowe. To znaczy świecące, ale matowe. Przyjrzałam się dokładnie, bo akurat ta pani trzymała za rurę ręką z pierścionkiem i chciałam zapamiętać, żeby sobie zrobić taki sam. Z jednej strony ten owal był grubszy, a z drugiej więcej wydłużony...

Pierścionek Teresy! Miała na palcu wyłącznie obrączkę i ów pierścionek z Orno, który był przedmiotem rodzinnego sporu, pieczołowicie odremontowany, poprawiony, odebrany tuż przed samym wyjazdem z Warszawy! Srebrny owal, a w nim pięć czerwonych kamieni...

— To ona! — powiedziała gorączkowo. — Drugiego takiego pierścionka nie ma na świecie. Mogę pani od razu powiedzieć, że identycznego pani nie zrobią, ale może dostanie pani podobny. Na litość “f boską, po jakiego diabła ona zeszła tamtędy?! I z kim?

Śledztwo trwało dalej. Wycieczka porzuciła miejsca przy stolikach i otoczyła nas ciasnym kręgiem. Pani po namyśle oświadczyła, że towarzyszący osobnik był młody, wyraźnie młodszy od damy. I szczupły. Po skałach schodził z wielką zręcznością, pomagając owej pani, która większą część trasy przebywała tyłem i na czworakach. Z góry widziała ich już prawie w połowie drogi i jej zdaniem zeszli szczęśliwie. Po jeszcze głębszym namyśle dodała, że pani miała na sobie coś czerwonego.

Miała, owszem. Czerwoną bluzkę, wypuszczoną na czarne spodnie. Niewątpliwie była to Teresa, co jej, do wszystkich diabłów, strzeliło do głowy, żeby schodzić w przeciwną stronę, zostawiając całą rodzinę w rozterce, przerażeniu i skrajnej rozpacz? Skąd taki szatański pomysł?

Obaj przewodnicy bardzo zgodnie pocieszyli mnie, że ta pani znajdzie się dopiero jutro. Z tamtej strony nie ma żadnej komunikacji, na piechotę będzie jej głupio iść po ciemku, a w ogóle to tam jest granica państwa. Zanocuje we wsi. Są tam jakieś chałupy, a rano wróci.

Spytałam, czy można tam dojechać. Można, owszem, ale droga nie najlepsza. Zażądałam wskazówek, jak na tę nie najlepszą drogę trafić. Udzielono mi ich życzliwie, zabrałam ojca i ruszyłam w dół. Wielce przejęta wycieczka podążyła za nami.

Po drodze wyjaśniłam ojcu wszystko to, czego nie dosłyszał, z rozgoryczeniem dopytując się, dlaczego ! uległ Teresie i nie przyłączył się do wycieczki z przewodnikiem. Ojciec odparł mi na to, że ustępował jej życzeniom, żeby zrekompensować nasze grubiaństwo. Uczestnicy wycieczki dopadali mnie kolejno, składając deklaracje dowiadywania się o tę panią z pierścionkiem i udzielania mi wszelkich wieści. Rozgłosiłam, że chwilowo mieszkamy w Polanicy i mniej więcej sprecyzowałam adres, na wszelki wypadek podałam też adres Lilki w Cieszynie. Przemknęło mi przez głowę, że Teresa oszaleje, jeśli na każdym kroku obcy ludzie będą ją łapać za rękę i oglądać ozdoby, i kto wie, czy w końcu tego pierścionka nie schowa, ale w każdym razie jakieś wiadomości o niej w ten sposób uzyskamy. Lucyna i moja matka siedziały, rzecz jasna, u podnóża kamiennych stopni, szczękając zębami nie wiadomo od czego bardziej, z zimna czy ze zdenerwowania. Pogoniłam je ostro do restauracji, chociaż mnie osobiście gorąco było jak piorun. Kazałam czekać w knajpie, aż wrócę z objazdu, protestowały wprawdzie, ale dały się przekonać, kiedy uczyniłam przypuszczenie, że Teresa, zszedłszy już dawno, mogła jeszcze za dnia obejść ten masyw bocznymi ścieżkami i lada chwila tu przybyć. Przyjdzie, rozsądnie zajrzy do knajpy, nie znajdzie nikogo i co?

— Ojciec może poczekać, a my pojedziemy z tobą — powiedziała Lucyna.

— Aha — przyświadczyłam zjadliwie. — Znów ojciec, co? I gdzie ich będziemy szukać następnym razem?

Lucyna czym prędzej zaniechała protestów. Jeden z przewodników zszedł razem z wycieczką, przyszło mi na myśl poprosić go, żeby mi towarzyszył. Zgodził się bardzo chętnie, bo tak osobliwego urozmaicenia dawno tu nie było. W ogóle, jak dotąd, jeszcze nikomu z turystów nie wpadło do głowy złązić ową północną stronę, różne rzeczy robili, ale takiej głupoty nie.

W ciemnościach dopchałam się do owych chałup przy samej granicy. Droga istotnie zaliczała się do tych gorszych, nawierzchnię miała różną, to szuter, to ubity grunt, to dziury, to kocie łby, udało mi się jednak nie rozwalić podwozia.

We wsi panowała ciemność i cisza. Przejeżdżałam powoli, świecąc reflektorami, ale żywego ducha nigdzie nie było widać. Przewodnik zaproponował, żeby może stanąć i pokrzyczeć, bo

jeśli ta pani tu jest, z pewnością śpi, a na krzyk się obudzi. Zatrzymałam samochód, zgasiłam silnik, wysiedliśmy i zgodnie rozdarliśmy się pełną piersią:

— Teresaaa!!!

Skutek był natychmiastowy, mianowicie rozszczeły się potwornie wszystkie okoliczne psy. Nie tylko w tej wsi, ale także w pozostałych, w promieniu co najmniej pięciu kilometrów. Z olbrzymiej odległości niosło się echo przeraźliwego, psiego jazgotu, piekło wybuchło nie z tej ziemi, wzmogłam je klaksonem, wygrywając na nim rodzinny sygnał. Psy wpadły w szal absolutny.

— Niemożliwe — oświadczył kategorycznie przewodnik. — Gdyby ta pani była tu gdzieś w okolicy, musiałaby usłyszeć. Umarłego by to poderwało. Może już lepiej przestańmy, bo te psy wściekлизny dostaną.

Wycofałam się spośród chałup i zatrzymałam przed wsią.

— Poczekajmy chwilę, może ona skądś leci — powiedziałam raczej beznadziejnie. — Niech mnie zobaczy z daleka. Głupio byłoby, gdybym jej odjechała sprzed nosa.

Poczekaliśmy z pół godziny, psy wreszcie umilkły. Przez pół godziny dobrym galopem można przelecieć co najmniej pięć kilometrów, a z dalszej odległości Teresa i tak by nie zgadła, że źródłem piekielnego hałasu jestem właśnie ja. Wróciliśmy do knajpy, pilnie bacząc, czy jakaś postać nie wylazi z rowu i nie macha rękami. Nie wylazła i nie machała.

W knajpie Teresy również nie było.

— No i co teraz? spytała Lucyna. — Co robimy?

Moja matka miała tragiczny wyraz twarzy i nieruchomym wzrokiem patrzyła w dal. Dal wypadła jej akurat na krowie, którą prowadził drogą wsiowy chłopaczek, widoczny w świetle latarni. Wiadomo , było, że od mojej mamusi możemy usłyszeć najwyżej propozycję popełnienia zbiorowego samobójstwa i nic więcej. Ojciec czynił herkulesowe wysiłki, żeby ją jakoś uspokoić i niczym innym nie był w stanie się zajmować.

— Nie mam pojęcia — odparłam z ciężkim westchnieniem. — Zjadłabym coś, bo czuję się wyczerpana, a w kwestii Teresy, to nie wiem. Teoretycznie powinniśmy czekać na nią w tym samym miejscu, w którym nas zostawiła, ale wątpię, czy to wyjdzie w praktyce. Nie jestem pewna, czy ma to być początek schodów, czy ten kamień, przy którym zgubiła ojca. Najchętniej odwozłabym was do Polanicy, a sama spokojnie bym tu sobie i wróciła i doczekała dnia przy ognisku pod lasem.

— Ja się stąd nie ruszę — oznajmiła moja matka j z dramatycznym uporem.

— Owszem, ruszysz się — odparła bezlitośnie Lucyna. — Wyrzucą cię, jak będą zamykali tę knajpę.

— To będę siedzieć na dworze.

— I można wiedzieć, co zamierzasz wysiedzieć? Czego się wygłupiasz, wiemy, że Teresie nic się nie stało. Nawet jeśli zablądziła drugi raz, znajdzie za dnia kogoś, kto pokaże drogę.

— Dlatego właśnie trzeba na nią czekać.

— Gdzie? Pod lasem? Do rana? W charakterze bandy Cyganów? I ty będziesz grała na tamburynie, a Janek pójdzie ukraść konia?

— Może niech lepiej ukradnie krowę — zaproponowałam. — Jakaś spóźniona krowa dopiero co przeszła. Musimy wrócić do Polanicy, bo tylko tam dostarczą nam ewentualnych wiadomości. Rozgłosiłam powszechnie, że mieszkamy w Polanicy.

— W porządku, wracamy do Polanicy, a rano znów tu przyjedziemy.

— Ja i tak nie będę spała — uparła się moja mamusia.

— To nie śpij, kto ci każe? Ale przynajmniej będziesz leżała i nie zaczniesz nam jutro zapadać na wszystkie choroby świata.

Moja mamusia poddała się w końcu, głównie z tej przyczyny, że ojciec, który połowy naszego gadania w ogóle nie słyszał, oddzielnie molestował ją o wyrażenie zgody na powrót. Oświadczyła, że dłużej tego nie zniesie, że nie ma córki i siostry, tylko dwie jadowne żmije, wyhodowane na łonie, i że będziemy miały na sumieniu tak ją, jak i Teresę. Sumienie ojca obciążała dla odmiany ciocia Jadzią i Tadeuszem, mężem Teresy, rozpaczającym w Kanadzie. Wyjaśnienia, dlaczego Tadeusz ma już rozpaczać, skoro jeszcze o niczym nie wie, z godnością odmówiła.

Nazajutrz wyrwała nas ze snu o czwartej rano, stanowczo twierdząc, że Teresa, głodna, zmarznięta i narażona na jakieś tajemnicze straszliwe niebezpieczeństwa, siedzi właśnie pod lasem i czeka. Poddaliśmy się tej wizji i już o piątej, też głodni, aczkolwiek na nic nie narażeni, znaleźliśmy się znów u stóp cholernych, kamiennych schodów. Przepowiednia się nie sprawdziła, po Teresie ciągle nie było śladu ni popiołu...

*

— Są tylko dwie możliwości — oświadczyła Lucyna, grzejąc się w słońcu. — Albo przez pomyłkę przekroczyła granicę i poszła do Czechosłowacji, albo poderwał ją ten facet, który z nią schodził. Innymi słowy, znalazła sobie gacha i spędza z nim upojne chwile, a my tu czekamy jak stado półgłówków.

— Małe stado — zauważyłam krytycznie. — Cztery sztuki, cóż to jest...

— Trzeba natychmiast zawiadomić milicję! — przerwała moja mamusia z nadzwyczajną energią.

— Zwariowałaś! — zaprotestowała Lucyna. — Ładnie byśmy ją urządzili! W jednym wypadku komplikacje polityczne, przekroczyła przecież tę granicę nielegalnie, a w drugim rozeszłoby się o gachu!

— Ale o jakim gachu, głupia jesteś, co ci do głowy przychodzi! — rozłościła się moja mamusia, która w godzinach porannych czuła się zawsze jak pierwiosnek i wykazywała niezwykłą żywotność. — Ten bubek, który z nią schodził, mógł ją napaść i obrabować!

— Obrabowana też by chyba wróciła? — powiedziałam niepewnie.

— Ciekawe, z czego obrabować — mruknęła Lucyna z niesmakiem. — Nic przy sobie nie miała, parę dolarów drobnymi i ścierkę z Cieszyna.

— Mógł ją zamordować przez zemstę, że nic nie ma!

— To byłby głupi — zawyrokowałam, ziewając okropnie. — Na litość boską, o której otwierają tę restaurację, może już jest otwarta, niech ja wreszcie dostanę herbaty! Za próbę rabunku przyłupują jakieś tam nędzne parę lat, a za morderstwo wręcz przeciwnie. Tylko kretyn mógłby się wygłupić ze zbrodnią.

— A skąd wiesz, czy to nie był kretyn?...

Jasne, że nie mogłam wiedzieć z pewnością, czy był to kretyn, czy nie, uważałam jednak, iż obecność kretyna na górze zostałaby dostrzeżona i coś bym o nim usłyszała. W atmosferze starannie kultywowanego przez moją mamusię zdenerwowania udaliśmy się do restauracji, po czym znów wróciliśmy pod las, przestawiając się stopniowo coraz bardziej na koczowniczy tryb życia. Pojęcia nie mieliśmy, co robić, i trwaliśmy w rozpaczliwej nadziei, że Teresa lada

chwila się pokaże, nie dopuszczając do siebie myśli, iż nadzieja może okazać się złudna, Lucyna proponowała rozpoczęcie budowy szałas.

Sprawa zaginięcia damy z pierścionkiem rozeszła się po okolicy w mgnieniu oka i już po paru godzinach byliśmy powszechnie znani. Przychodziły nas oglądać wsiowe dzieci, zatrzymywali się dorośli, wycieczki ruszały na kamienne stopnie z głowami obróconymi do tyłu i z utkwionym w nas roziskrzonym wzrokiem, aż załęgła się we mnie nadzieja, że któraś z nich zleci na zbity pysk, a wówczas i my będziemy mieli co oglądać.

Wreszcie podjechał chłopak na rowerze i zatrzymał się przed nami.

— To wasza ta kobita, co się zapodziała? — spytał z zainteresowaniem.

— Nasza — odparłam mało życzliwie.

Rodzina wrogo milczała, Lucyna odwróciła się tyłem, moja mamusia z urażoną godnością przypatrywała się obłokom na niebie. Chłopak obejrzał nas wszystkich bardzo uważnie.

— Ja ją widziałem — rzekł po namyśle. Kazali mi tu podjechać i wam powiedzieć. Wczoraj pod wieczór ją widziałem.

Nasz stosunek do niego uległ błyskawicznej odmianie. Moja mamusia i Lucyna poderwały się z miejsc, któraś z nich kopnęła termos z mlekiem. Również zrywając się z kamienia, na którym siedziałam, kopnęłam ten termos jeszcze dalej, termos poturlał się i wpadł ojcu pod nogi. Ojciec, dotychczas w zadumie wpatrzony w przestrzeń, przestraszył się, zapewne w przekonaniu, iż nie dosłyszał jakiegoś życzenia swojej żony, która w ten sposób okazuje mu niezadowolenie. Czym prędzej podniósł termos.

— Już ci daję, już — powiedział pospiesznie i pojednawczo. Czy to zaraz trzeba rzucać, zamiast powiedzieć głośniej?

Chłopak, oparty piersią i ramionami o kierownicę roweru, przyglądał nam się z narastającym zainteresowaniem. Ojciec zbliżył się i zaczął odkręcać termos.

— : Gdzie ją widziałeś, syneczku? — spytała słodko Lucyna.

Chłopak wykonał gest brodą w kierunku nieokreślonym, ale tak jakby wprost w środek górskiego masywu.

— Tamoj. Kole Pasterki. Na drodze.

Usunęłam Lucynę, bo lepiej znałam teren. Oglądałam go co prawda po ciemku, ale jednak oglądałam. Ojciec uporał się wreszcie z termosem i zaczął wtykać mojej mamusi zakrętkę do ręki.

— Na której drodze? — spytałam rzeczowo. — Tej przy skałach czy tej pod lasem?

— Czego ty chcesz ode mnie, po co mi to wypychasz? — fuknęła z furią moja mamusia. — Odczep się. Słyszysz, że widzieli Teresę!

— Przecież chciałaś mleka — zdziwił się ojciec^

— Co mówisz? Gdzie Teresa?

— W nosie! — wrzasnęła moja mamusia i chłopak przestał zwracać uwagę na moje pytania. Z pewnym trudem skłoniłam go do kontynuowania rozmowy.

— Jechała z jakimś na motorze — rzekł z roztargnieniem. — Podobnież miała pierzcionek, ale ja nie widziałem. Takie coś miała na plecach, żółte i zielone. I czerwone buty. Czarna była. Minęli mnie, aż w piach musiałem z rowerem zjechać.

Moi rodzice wspólnym wysiłkiem wylali sobie na nogi połowę mleka z termosu. Chłopak cykał wiadomościami po kawałku, obserwując ich z szalonym zaciekawieniem. Pomyślałam, że dla wygrania tej konkurencji będę chyba musiała stanąć na rękach.

— W którą stronę jechali?! — ryknęłam trzeci raz.

— Co? A tak jakby do szosy. A gdzie dalej, to nie wiem, znaczy się mogli na Karłów, mogli na Radków...

— Słuchaj no, syneczku, a skąd wiesz, że to była ta pani, co nam zginęła? — spytała przytomnie Lucyna.

— Ja tam nie wiem, ale kazali, żebym powiedział. Innej tu nie było. Obca jechała, to ja tam nie wiem...

— A kto z nią jechał? — spytałam szybko, wykorzystując przerwę w popisach mamusi i ojca. — Znasz go?

— E tam. Tyż obcy. I motor miał nie nasz, znaczy się nikogo od nas. Całkiem obcy.

— Numeru przypadkiem nie zauważyłeś?

— Co by nie? Na pierwszą literę miał W, a na końcu trójkę.

— A jak on wyglądał?

— Zwyczajnie, jak motor...

— Nie, ten facet, co jechał. Mówiłeś, że jechała z jakimś?

— Nijak nie wyglądał, garnek miał na łbie i okulary. Ale widzi mi się, co nie bardzo stary.

Pod wpływem świeżych wieści wstąpiła we mnie nowa energia. Zażądałam dopilotowania mnie do miejsca, gdzie jechała para na motorze. Chłopak zgodził się chętnie, zapewne w nadziei, iż moi rodzice pokażą jeszcze parę sztuk. Cała rodzina z pośpiechem wepchnęła się do samochodu.

Nie ulegało wątpliwości, że na owym motorze istotnie jechała Teresa. Wygląd zewnętrzny się zgadzał, rzeczywiście była czarna, nie miała ani jednego siwego włosa, jej czerwone pantofle mogły być widoczne z daleka. Niepokoilo nas tylko to coś żółte i zielone, co miała na plecach. Męczyliśmy się tym okropnie, aż wreszcie Lucyna zgadła pierwsza.

— O rany boskie, nad czym my się zastanawiamy?! Ścierka z Cieszyna! Swetra przy sobie nie miała, ochłodziło się, ubrała się w tę ścierkę! W żółto–zielone paski, pamiętacie ją chyba?

— No i proszę, jak jej się kradzież przydała — zauważyłam filozoficznie. — Kolorystycznie powinna się wszystkim rzucić w oczy. Wygląda na to, że granicy nie przekroczyła, jeden problem nam odpada, ale co do faceta, zaczynam nabierać wątpliwości. Może ją faktycznie poderwał?

— No chyba że poderwał — przyświadczyła Lucyna.

Moja matka była wściekła zarówno na ojca, który uniemożliwił jej słuchanie chłopaka, jak i na nas, za gędzenie o poderwaniu. Z jakichś przyczyn ta myśl okropnie jej się nie podobała. Przestała w końcu protestować, ale za to nabzdyczyła się i zacięła w urażonym milczeniu.

Nagle zniknięcie Teresy wydawało nam się kompletnie niepojęte i w najwyższym stopniu zagadkowe. Dokonywanie poszukiwań wymagało jakiegoś punktu zaczepienia. Miałam nikłą nadzieję, że po owej wiejskiej drodze nie jeździ zbyt wiele pojazdów mechanicznych i uda się odróżnić ślady opon motocykla. Potem zaś, być może, zdołamy stwierdzić, w którą stronę skręciły na rozwidleniu dróg i odgadniemy cel podróży. Nadzieja okazała się złudna, ogumione furmanki zatarły wszystkie ślady, natomiast orgia barw na Teresie istotnie, jak przewidywałam, okazała się pomocna.

Pasażerka krowy osoba w nieokreślonym wieku przyświadczyła, że w dniu wczorajszym, kiedy właśnie zawracała żywinę ku domowi, jakieś ludzie na motorze spłoszyli jej cielątko. Pogroziła za nimi pięścią, ale i tak cielątko musiała wyganiać z cudzej koniczyny. Jedno na tym motorze miało łeb jak bania, drugie było pstrokate. Widziała, gdzie skręcili, owszem, bo skręcili właśnie, jak wygrażała im pięścią. Na lasy skręcili, może i do Radkowa jechali, a może gdzie indziej, kto ich tam wie...

Zabijcie mnie, nie wiem, co robić — oświadczyłam, zatrzymawszy samochód u brodu nad potoczkiem, w lesie, na malowniczej drodze, praktycznie pozbawionej nawierzchni. — Według mapy tu nie ma w ogóle nigdzie żadnego przejazdu, ale motorem mógł się przepchać. Może ją wywiózł do Batorowa, przenocowała byle gdzie, a dziś rano wróciła do Polanicy?

— Myślisz...? — spytała Lucyna niepewnie.

— Myślę. To znaczy, nie wiem, czy myślę, ale wszystko jest możliwe. Diabli nas wynieśli z tej Polanicy już o wpół do piątej rano, dawno mogła tam wrócić.

— No to co, wracamy?

Zastanowiłam się, rozważając równocześnie kwestię manewru zawracania. Wyszło mi, że powrotną drogę będę musiała odbyć tyłem.

— No, nie wiem, chyba wracamy, ale uważam, że powinniśmy na wszelki wypadek pokręcić się tu trochę po okolicy i popytać. Bo może zrobiła jeszcze coś innego, co nam do głowy nie przyjdzie.

— Jedyne, co jeszcze mogła zrobić, to jechać ze ścierką do Cieszyna — rzekła Lucyna stanowczo. — I mówię wam, że pojechała. Wykorzystała pierwszą okazję, kiedy nie mogliśmy jej w tym przeszkodzić.

Moją mamusię odblokowało nagle i przychyliła się do zdania swojej siostry. Teresę gryzło sumienie, ścierkę miała przy sobie, kradzież spędzała jej sen z powiek, mur beton pojechała ją zwrócić. Obie upierały się przy tym cieszyńskim wojażu tak sugestywnie, że w końcu sama zaczęłam weń wierzyć. Niemniej jednak ruszyłam w objazd okolicznych dróg, chałup i

jednostek ludzkich, dopytując się o osobę ubraną w czerwone pantofle i żółto–zieloną, lnianą ścierkę.

Plon poszukiwań był beznadziejnie nędzny. Jakiś chłop, niezupełnie trzeźwy i może dzięki temu rozmowny, wyjawiał nam, że widział motor, który jechał drogą tak jakby na Batorów. Chłop kosił trawę w przydrożnym rowie zarówno wczoraj, jak i dziś i motor przejechał akurat w chwili, kiedy już skończył pracę i wyłaził z rowu. Nie zwróciłby pewno uwagi, ale motor na niego zatrafił. Dlatego spojrział. Dwie osoby na nim jechały.

Okrężnymi drogami udałam się do Batorowa, kilkakrotnie usiłowałam skręcić w las, robiłam rozmaite sztuki, obie z Lucyną obeszłyśmy wszystkie chałupy, dowiadywałyśmy się na wszystkie strony, ale więcej informacji nie udało nam się zdobyć. Chłop z kosą okazał się ostatnią osobą, która widziała Teresę, i można było tylko żywić nadzieję, że w przyływie żartobliwego nastroju nie wykonał tą kosą zamachu.

Śmiertelnie wyczerpani i dokładnie ogłupieni wróciliśmy do Polanicy późnym popołudniem. Teresy tam również nie było, ale za to powitała nas do szaleństwa zdenerwowana gospośnia dyrektora.

— Proszę państwa, tu był jakiś pan! — krzyknęła już od progu ze łzami w oczach. — Ja go chyba, Jezusie Maryjo, niepotrzebnie wpuściłam! Jak, nie daj Boże, państwu coś zginęło, to nie wiem, co zrobię!

Wiadomość zaskoczyła nas niewymownie, ale po krótkiej chwili oceniliśmy ją jako pod każdym względem sensacyjną. Zanim jeszcze weszliśmy do swoich pokoi, na werandzie i w holu wydusiliśmy z nieszczęsnej kobiety szczegóły wydarzenia, uspokoiwszy ją przedtem z dość dużym trudem. Relacja gospośni wyglądała następująco:

Dziś rano przyszedł jakiś pan w średnim wieku, tak około czterdziestki. Niegruby, niechudy, niełysy i niebrodaty. Przyszedł krótko po ósmej, wyglądał bardzo porządnie, spytał o nas i powiedział, że ma jakieś ważne wiadomości o naszej kuzynce, która zginęła. Gospośnia nie była w stanie odgadnąć, kiedy możemy wrócić, pan jednakże zdecydował się poczekać. Wyglądał tak przyzwoicie, że wpuściła go do pokoju, nie naszego oczywiście, tylko takiego ogólnego, w którym nikt nie mieszka. Z początku dotrzymywała mu towarzystwa, ale potem musiała odejść na chwilę, jakoś jej zeszło i kiedy wróciła, zastała pana w naszym pokoju. Nic nie robił, stał na środku i tak jakoś patrzył w jeden punkt, okropnie zamyślony. Powiedział, że chyba napisze do nas kartkę i nawet coś pisał w notesie, kartkę zostawił na stole pod wazonem, a z nią jeszcze rozmawiał. Dopytywał się, czy pojechaliliśmy może na wycieczkę, czy zabraliśmy ze sobą jakieś rzeczy, może walizkę albo co, bo po tym można by się zorientować, kiedy wrócimy. Gospośnia nie umiała mu nic odpowiedzieć, nasz wyjazd nastąpił bowiem tak rano, że jeszcze

spala. Ale tak się jakoś dziwnie dopytywał, że coś ją tknęło i ledwo wyszedł, popędziła spojrzeć na tę kartkę. Kartka była pusta. Całkiem pusta, kompletnie, nic na niej nie było napisane. Jeszcze tam leży i możemy sami sprawdzić. I dlatego wydało jej się to podejrzane, i dlatego wyleciała za nim, ale już go nie dogoniła, bo chyba odjechał samochodem. To znaczy, widziała, jak z tamtej strony, w którą poszedł, ruszył zza krzaków taki czerwony samochód, nie, nie czerwony, taki buraczkowy...

W dzikim galopie popędziliśmy spojrzeć na kartkę pod wazonem, przy czym ojciec popędził niejako wtórnie. Z relacji gosposi usłyszał tylko połowę, tę wykrzyczaną w przyływach większego zdenerwowania, o kartce zaś ani słowa, to bowiem mówiła głosem przyciszonym i tajemniczym. Popędził zatem wyłącznie dlatego, że myśmy popędziły.

Kartka była zwyczajną kartką w kratkę, wydartą z małego notesu, zupełnie czystą. Popatrzyliśmy pod światło, obwąchaliśmy ją, po czym rozejrzeliśmy się dookoła podejrzliwie i nieufnie.

— Przyszedł podłożyć bombę? — spytała Lucyna z wyraźną, zachłanną nadzieją.

Moja mamusia z niepojętych powodów nagle się uspokoiła.

— Musiałby być półgłówkiem, żeby marnować bombę na nas — oświadczyła stanowczo.
— Podobno to bardzo droga rzecz.

— No to po co przyszedł?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Możliwe, że próbował coś ukraść, i proszę, same popatrzcie, jak się głupio narwał. Niech kradnie, ciekawe, co mu przyjdzie z tych naszych rupieci.

— Słuchajcie, a może to był ten król, który ukradł Teresie zęby w Świebodzicach? — spytał nagle ojciec z głęboką troską. — Słyszałem przecież, jak mówiłyście, że tam był jakiś król, który jej ukradł zęby...

Oszołomienie, wywołane tą supozycją, minęło nam po kilku sekundach. Nie brałam udziału w prostowaniu kwestii, zastawiając ojca na pastwę dwóch harpii, bo pod wpływem jego słów rozjaśniło mi się znienacka w przytępionym dotychczas umyśle. Eksplozja intelektu wstrząsnęła mną do głębi. Jak mogłam tak przeraźliwie zidiociec! Jak mogłam do tej pory w ogóle nie skojarzyć sobie wydarzeń i nie zwrócić uwagi na ich złowieszczy sens! Zgłupiałam chyba, to te boczne drogi tak mnie otumanily... Co za szczęście, że mam w sobie dokładnie wyrobiony odruch zamykania samochodu!

— Cisza! — wrzasnęłam przeraźliwym głosem. — Skończcie wreszcie z tymi królewskimi zębami! Niech każdy sprawdzi, czyjego rzeczy leżą na miejscu i czy mu nic nie zginęło. Każdy swoje, prędzej!

Rodzina przesiała się klócić, spojrzeli na mnie i posłusznie rzucili się spełniać polecenie. Ojciec był pierwszy.

W porządku oświadczył z zadowoleniem, obejrawszy uważnie wędkę. Nic nie ruszone i nic nie zginęło.

— To już wszystko sprawdziłeś? — zirytowała się na niego Lucyna. — Nic więcej nie masz? Obejrzałeś swoje koszule, skarpetki, gacie?

— A na co komu moje gacie? — zdziwił się ojciec, ale przystąpił do dalszych oględzin.

Moja mamusia i Lucyna gorączkowo grzebały w rzeczach. — Buty są, żakiet jest, szalik jest, spódnica jest — mamrotała Lucyna, zaglądając do szafy.

— .Jest! — zawołał odkrywco ojciec. — Tu mi guzika brakuje u koszuli.

Moją mamusię poderwało znad walizki.

— Ten bandyta ci urwał? — spytała ze zjadliwością.

— Jaki bandyta? Sam się urwał. Ale brakuje...

— Jeżeli ja z tym twoim ojcem nie oszaleję...

— Nie czepiaj się ojca — przerwałam stanowczo.

— Jedyny rozsądny człowiek w całej rodzinie, odkrył to, na co patrzymy jak ślepe komendy i nic nam do głowy nie przychodzi. Ojcu jednemu przyszło, trochę na odwrót, ale jednak przyszło. Co wam wychodzi?

Rewizja trwała jeszcze przez chwilę.

Moja walizka była otwierana — powiedziała Lucyna, najwyraźniej pojawiając już istotę rzeczy.

— Nic nie zginęło, ale otwierana była.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie. Popatrz, tu się ten kawałek odkleił, zawsze zamykam tak, żeby go przycisnąć w środku, a teraz wystawał na zewnątrz. Mogę ci ręczyć, że przycisnęłabym go w środku nawet w czasie pożaru.

— Jakiś łobuz wywlekł mi igłę z nitki, nie, nitkę z igły — powiedziała z oburzeniem moja mamusia. — Miałam tu wpiętą w szlafrok igłę z nitką...

— To daj mi tę igłę z nitką przerwał ojciec ze smętną rezygnacją. — Już znalazłem ten guzik, przyszyję sobie.

— No przecież ci mówię, że ktoś wywlekł! Możesz dostać samą igłę.

Obie z Lucyną popatrzyłyśmy na siebie i zgodnie pokiwałyśmy głowami.

— Gdzie miałaś ten szlafrok? zwróciłam się do mojej mamusi. — W walizce czy na łóżku?

.— W walizce. Na wierzchu. Specjalnie mam igłę z nitką, żeby nie nawlekać za każdym razem, bo mi się nie chce szukać okularów. Nie ma jej. Na litość boska, dajcie mu jakąś nitkę, bo on mnie dobije tym swoim guzikiem!

Zajrzałam do neseseru. Wiedziałam już, co sprawdzam i czego szukam, dlatego znalazłam to łatwo. Na samym dnie, pod plastikową torbę z halkami, leżał nowy, nienaruszony, kupiony przed samym odjazdem; z Warszawy raphacholin, we flakonie i tekturowym opakowaniu. Tekturowe opakowanie było niedokładnie zamknięte...

Wyprostowałam się i popatrzyłam na pozostałe osoby, być może z lekką zgrozą. Lucyna usiadła na łóżku, podparła się rękami z tyłu i przyglądała mi się z zaciekawieniem, moja mamusia przytuliła do łona torbę z bułkami, ojciec zaniechał nawlekania igły.

— No to, proszę rodziny, nie ma siły — oznajmiłam grobowo i uroczyście. — Moim zdaniem z tego wszystkiego robi się potężna draka. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy...

*

Gospozię dyrektora uspokoiłiśmy do reszty z największą łatwością, powiadomiwszy ją, że nic nie zginęło. Sami byliśmy znacznie mniej spokojni. Dybanie na Teresę okazało się faktem, cała sprawa zaczynała wyglądać podejrzanie, tajemniczo i bardzo niepokojąco. Należało rozważyć ją wreszcie spokojnie i dojść do jakichś twórczych wniosków, nie lekceważąc wydarzeń, głupawych tylko pozornie.

Równocześnie przystąpiliśmy do posiłku i do narady rodzinnej.

Nie ulegało wątpliwości, że podejrzany osobnik w średnim wieku wdarł się podstępnie do 'domku dyrektora w poszukiwaniu dwóch rzeczy: mianowicie zgubionej na schodach w królewskiej baszcie podkówki i filmu cioci Jadzi. —Z jakichś powodów oba te przedmioty musiały być dla niego szalenie ważne, być może nawet niebezpieczne, przy czym nie wiadomo, który bardziej. Z pewnością jednak zależało mu na obydwóch.

Osobnik najprawdopodobniej przybył tu i odjechał buraczkowym samochodem. Od chwili przyjazdu Teresy płące się wokół nas wiśniowy peugeot, istnieje zatem możliwość, że to ten sam, szczególnie iż ten tutaj był trochę inny niż samochód pana dyrektora, który, jak nam wiadomo, posiada fiata. Film cioci Jadzi usiłowano rąbnąć już w Kołobrzegu, tajemniczą i raczej pozbawioną sensu wizytę złożono nam w Świebodzicach, teraz zaś ukradziono Teresę. Na owej pięknej trasie wśród zmij i węży koło leśniczówki, gdzie udzielono mi informacji, znajdowało się dwóch facetów. Jeden rozmawiał jak człowiek, drugi natomiast ukrył głowę pod goglami, głowę pod hełmem, siedział na motorze i słuchał. Darliśmy się do siebie, więc słyszał

dobrze i dowiedział się, dokąd jedziemy. Motor miał warszawski numer rejestracyjny, co wpadło mi w oko przypadkiem i w tym numerze z całą pewnością była trójka.

— Ale z Teresą schodził z góry jakiś młody! — zaprotestowała Lucyna.

— Ale tu był stary, pardon, w średnim wieku. Ten na motorze też był w średnim wieku. Zjechał do Kudowy czy gdzieś tam i oddał motor młodemu.

— A skąd wiesz, że szukał filmu? Podkówki owszem, to się samo nasuwa, ale filmu?

— Gmerał tam, gdzie mógł być właśnie film. Rozpakował mój raphacholin. Po diabła? Podkówka by tam nie weszła.

— Może go wątroba bolała i chciał zjeść lekarstwo? — wtrąciła moja mamusia z odrobiną współczucia.

— No właśnie — podchwyciła Lucyna. — Sprawdziłaś, czy nic nie zeżarł?

Zirykowałam się nieco, westchnęłam, wyciągnęłam raphacholin i policzyłam pigułki. Było 30, jak trzeba.

— Same widzicie rzekłam z wyrzutem. Nie o pożywienie mu chodziło. Za tym filmem latają od początku, zaczajali się na niego, zanim jeszcze zgubili podkówkę...

— No dobrze a skąd mogli wiedzieć, że to my mamy ten film, a nie Jadzia? przerwała moja mamusia niedowierzająco. — Powinni go szukać u niej w Warszawie.

Westchnęłam jeszcze ciężiej.

— Jak odjeżdżała, wrzeszczałyśmy do siebie na ten temat, aż echo szło po górach — odparłam z głębokim rozgoryczeniem. — Całe miasto wiedziało, że go zostawiła.

— Jeśli nas pilnują, wiedzą także, że nie oddałyśmy go do wywołania — zauważyła przytomnie Lucyna.

— Wiedzą, że musimy go mieć przy sobie i że jeszcze nie wiemy, co na nim jest...

— To dlaczego nie zakradli się także w Nysie? — przerwała znów moja mamusia z wyraźną naganą dla niedbalstwa naszych prześladowców.

A skąd wiesz, czy się nie zakradli? Może próbowali, tylko im nie wyszło? Przez tę ścierkę nie zwracaliśmy na nic uwagi, mogli wtykać gęby w okna i tupać za drzwiami, nic byśmy nie zauważyli.

— No rzeczywiście. Możliwe. To co teraz?

— Moim zdaniem należy zawiadomić milicję — powiedziałam stanowczo. — Pojęcia nie mam, o co tu chodzi i co ta Teresa narozrabiała, ale znaleźć ją musimy koniecznie. Wątpię, czynami damy radę.

Reakcja rodziny była zdumiewająco zgodna i niezwykle gwałtowna. Wszyscy jak jeden mąż stawili opór, protestując kategorycznie, żarliwie, z oburzeniem, mówiąc równocześnie jedno przez drugie i wykrzykując jakieś pogroźki pod moim adresem. Zdziwiłam się trochę.

— Czekaście, co was napadło, nie mówcie wszyscy razem! Nic nie rozumiem! Istnieją jakieś tajemnice rodzinne, o których nic nie wiem? O co chodzi? Dlaczego nie możemy jej szukać w normalny sposób?

— Dla mnie to wcale nie jest normalny sposób — oświadczyła z urazą moja mamusia. — Żadnej milicji nie będę wplątywać w nasze rodzinne sprawy, wypraszam sobie jakieś ciągnięcie mnie po komisariatach. Przedtem myślałam, że Teresę ktoś napadł w tych górach, ale teraz już widzę, że jej się nic nie stało. Ona się sama znajdzie i potem będzie miała pretensję, że napuściliśmy na nią milicję. Ona jest z Kanady.

— No to co, że jest z Kanady? Tych z Kanady wyłapują i od razu pchają do lochów?

— Nie możemy zawiadomić milicji powiedziała ostrzegawczo Lucyna. — W tym coś jest, Teresa się czegoś bała, denerwowała się okropnie tymi wizytami...

— Jedną wizytą!

— Nie wiadomo, czy jedną. Coś mi się widzi, że ona wplątała się w jakąś aferę, pewnie przypadkiem, ale to bez różnicy. Jak to sobie wyobrażasz, nie daj Boże, okaże się, że wplątała się rzeczywiście i co? Resztę pobytu spędzi na składaniu zeznań? A jak ją zamkną? Ona ma reumatyzm, pogorszy jej się...

— Ale gdzie zamkną, jakie zamkną, u nas się wcale tak nie rwą do zamykania!

— Nawet jeśli nie zamkną, mogą jej na zawsze zabronić przyjeżdżać. Masz pojęcie, jak ci za to podziękuje i jak cholernie się ucieszy? Nie wiem, nic znam się, ale wiesz w tym coś podejrzanego.

— Ja się do tego w ogóle nie będę wtrącał — oznajmił ojciec z głębokim niesmakiem. Wyście tu coś mówiły o jakimś facecie, który ją uwiódł, dobrze słyszałem. Teresa może sobie robić, co chce, ale ja jestem oburzony. Żadnej milicji nie będę zawiadamiał, od razu się z tego zrobi międzynarodowa afery i dojdzie do Tadeusza. A jemu będzie przykro.

Zaczęłam bez mała rwać włosy z głowy.

— Co was napadło, Chryste panie! Jakim sposobem może to dojść do Tadeusza?! — krzyknęłam z rozpaczą, zgłupiawszy już widać kompletnie i uwierzywszy we wszystko, co do mnie mówili.

— Dadzą ogłoszenie w prasie, a on czyta polskie gazety...

Zrobił się z tego czysty obłęd. Teresa dokonała równocześnie kilku sprzecznych ze sobą czynów, wdała się w kryminalną aferę, nawiązała romans, uciekła dobrowolnie i została

porwana. Każda z tych możliwości musiała zostać zatuszowana z rozmaitych przyczyn, zarazem jednak należało je wyjaśnić. Jakim sposobem, nikt nie wiedział.

— Znaleźć ją musimy koniecznie — zdecydowała energicznie moja mamusia, rozmazując po bułce biały ser. — To jest moja najmłodsza siostra, nie pozwolę jej się wygłupiać!

Lucyna odruchowo stanęła okoniem.

— Ona jest pełnoletnia — mruknęła.

— No to co? Ale głupia. Nie będzie mi tu romansowała z byle bubkiem! Niech sobie romansuje w Kanadzie, ale nie tu! Do Kanady ja się nie wtrącam, tam niech się Tadeusz martwi!

— Przecież wyraźnie widać, że to nie żaden romans, tylko podejrzana afera! — jęknęłam rozdzierająco.

— W podejrzane afery też jej się wdawać nie pozwolę!

Obląkany melanz zwiększał się z minuty na minutę. Nie sposób było nic wyjaśnić i dojść do jakiegokolwiek porozumienia. Każdy upierał się przy swoim, a wszyscy byli przeciwko mnie.

— Sama wiesz, jak to jest z tym zegarkiem — przedkładała Lucyna. — On ukradł czy jemu ukradli.. Może ktoś... Czekaj! Już wiem! Ktoś coś przemycał i podrzucił jej do walizki, a teraz chce odebrać!

— I co to coś zrobiło, zdematerializowało się samo? Czy wylazło z walizki i poszło gdzie indziej? Teresa wypakowała wszystko zaraz po przyjeździe! Na naszych oczach!

— Mogło być małe. Za podszewką. Pod dnem...

— Gdzie walizka Teresy? — zainteresowała się nagle moja mamusia.

— W Warszawie...

— Wracamy do Warszawy, znajdziemy to i od razu wyrzucimy!

— A jak wybuchnie? — spytała Lucyna. Moja mamusia przyjrzała jej się z wyrzutem.

— To uważasz, że lepiej, żeby mi wybuchło w domu? Wyrzucimy z mostu do Wisły.

— A Teresę zarzną za to, że zniszczyła przemycany towar.

— Przestańcie bredzić! — zdenerwowałam się. — To już prędzej ma to w torbie, przy sobie, przecież nie do walizki się zakradli, tylko tutaj! Skoro jeżdżą za nami i śledzą nas, widzieli, co Teresa brała!

— Jak ma w torbie, to już jej zabrali i będzie spokój

— zawyrokowała moja mamusia.

Ojciec od dłuższej chwili usiłował się wtrącić.

— Powiedźcie mi wreszcie, dlaczego Jadzia ukradła film... Nie, nie tak. Dlaczego mówicie coś o filmie Jadzi, co ten film tu robi, czy to Jadzia komuś ukradła, czy podrzuciła, czy co? O co tu chodzi?

Wypowiedź ojca znów mnie nieco otrzeźwiła.

— Lucyna, uspokój się, nie wprowadzaj dodatkowego zamieszania! — zażądałam z irytacją. — Jaki tam przemyt za podszewką! Cudzą walizkę wzięła?

— Ona taka gruba... — rzekła skromnie Lucyna.

— Teresa? — zdziwiła się moja mamusia.

— Nie, walizka. Mogłaby mieć ze trzy podwój, dna...

— Uspokoicie się wreszcie czy nie? Ojciec ma rację, trzeba wywołać ten film cioci Jadzi i zobaczyć, co na nim jest! Może się połapiemy, jaka to afera!

— No to na co czekamy? Oddajmy do wywołania.

— Teraz zaraz, w nocy?

— Jutro rano...

— Rano można, ale przecież nie tu! Tu się kręcą ci aferzyści i tylko na to czekają! Trzeba oddać do wywołania w bezpiecznym miejscu.

— W Cieszynie — zaproponowała moja mamusia.

— Lilka tam zna wszystkich i będzie wiedziała, kto porządny, a kto nie.

— Bardzo słusznie, w Cieszynie — przyświadczyła natychmiast Lucyna. — Afera aferą, a swoją drogą ja wam mówię, że niezależnie od afer pojechała tam ze ścierką. Możliwe, że od razu wykorzystała tego faceta na motorze, kazała się tam zawieźć i koniec.

Poczułam, że dostaję kołowaczyny i do reszty już straciłam rozeznanie, co z tym fantem robić. Lucyna na zmianę to traktowała rzecz poważnie, to wpadała w nastrój frywolny. Ojciec uczeplił się hipotetycznego gacha jak rzep psiego ogona i pełen oburzenia i dezaprobaty użalał się nad losem nieszczęśliwego Tadeusza.

Moja mamusia, skończywszy jeść kolację, przypomniała sobie nagle, że powinna się przecież denerwować, natrafiła jednak na trudności przy wyborze przyczyny. Nie była w stanie podjąć decyzji, czy denerwuje się niebezpieczeństwem zagrażającym jej najmłodszej siostrze, czy też neodpowiedzialnymi teźże siostry wyglupami. Ze swej strony trwałam jak granit przy współpracy z milicją, która, jak dotąd, nigdy jeszcze mnie osobiście nie zawiodła.

Po bardzo długim czasie udało nam się wreszcie osiągnąć coś w rodzaju mizernego porozumienia. Rodzina zgodziła się zawiadomić organa MO o zniknięciu krewnej pod warunkiem wszakże, że pominiemy wszystkie podejrzane szczegóły. O żadnych okolicznościach towarzyszących nie wspomnimy ani słowem, powiemy tylko, że zginęła i

koniec. Sami zaś na wszelki wypadek spróbujemy się skontaktować z Lilką w Cieszynie, bo możliwe, że Teresa już tam jest i gimnastykuje się ze ścierką. ‘

— W życiu bym nie przypuszczała, że moja własna rodzina będzie się zachowywać jak grono przestępców

— oświadczyłam z ciężką urazą i rozgoryczeniem.

— Zataić przed milicją podstawowe rzeczy! Jeżeli po tym, co im powiemy, znajdą Teresę, to ja kaktusami porosnę.

Porozumienie z Lilką okazało się niewykonalne.

Dodzwonić się do niej nie było sposobu, oczekiwanie na połączenie miało trwać jakąś nicsprecyzowaną ilość godzin, po ósmej wieczorem w ogóle odpadało. Tekstu depeszy nie udało nam się uzgodnić. Lucyna upierała się przy swoim zgoła maniacko. Co ją napadło z tą ścierką, Bóg raczy wiedzieć, ścierka i ścierka, jakby już nic innego na świecie nie istniało, sensu w tym nie widziałam za grosz, ale w końcu uległam. Ostatecznie nie można było wykluczyć, że wyrzuty sumienia wywołały u Teresy zaćmienie umysłu, poza tym ów cymbał na motorze mógł ją wywieźć nie wiadomo dokąd, może do Prudnika, może do Opoła, a może do Raciborza? Stamtąd miałyby już blisko... Poddałam się i wczesnym rankiem wyruszyłam w drogę.

Kłodzko wybraliśmy sobie jako największe miasto w pobliżu. W komendzie MO wysłuchał mnie uprzejmie sam zastępca komendanta. Zanotował personalia zaginionej, datę wyjazdu z Warszawy, dzień, godzinę i okoliczności zaginięcia, okiem nie mrugnął usłyszawszy, że ubrana była w lnianą ścierkę, przy młodym facecie natomiast spojrzał na mnie dziwnie.

— A ta pani nie miała czasem takich... romansowych skłonności? — spytał nieco podejrzliwie.

— Nie miała — odparłam bardzo stanowczo.

— A pieniądze miała?

— Niewiele. Parę dolarów i ze trzysta złotych.

— Bizuterię jakąś miała?

Opisałam z detalami sławetny pierścionek. Zastępca komendanta wypytał mnie jeszcze troskliwie o nastrój Teresy, stosunki rodzinne, ilość i jakość ewentualnych nieporozumień oraz plany na przyszłość. Miał pełen powątpiewania i jakby niesmaku wyraz twarzy, obiecał jednak wszcząć poszukiwania.

Wróciłam do samochodu, powiedziałam rodzinie, co o nich wszystkich myślę, i ruszyłam dalej. Pomiędzy Nysą a Prudnikiem wyprzedziłam autobus pospieszny PKS. Fakt sam w sobie nie stanowił nic niezwykłego, niejednokrotnie wyprzedzałam na szosach rozmaite autobusy,

tym razem jednakże odbyło się to nietypowo. Autobus zachował się dziwnie, na moment przyhamował, zaryczał klaksonem, po czym ruszył za mną, gwałtownie przyspieszając. Pomyślałam, że zapewne zachodzi tu zjawisko opisywane przez pana Zasadę, mianowicie normalna reakcja kierowcy–mężczyzny na wyprzedzanie go przez kierowcę–kobietę, podobno oni bardzo tego nie lubią. Wzruszyłam ramionami, docisnęłam nieco i oddaliłam się bez trudu, droga wiodła bowiem pod górkę, co dla autobusu stanowi różnicę, dla mojego volkswagena zaś nie. Potem jednakże zrobiło się z górki, zwolniłam, bo z przeciwka jechali, a przede mną była furmanka i w rezultacie autobus, trąbiąc okropnie i migając światłami, zaczął mnie doganiać. Przestraszyłam się, że wariat, i znów docisnęłam.

Sytuacja wytworzyła się niepokojąca. Jednym okiem patrzyłam przed siebie, drugim zaś we wsteczne lusterko. Autobus grzmiał za mną z góry, aż gwizdało, niewątpliwie był w pełni sprawny, trąbił i świecił jak oszalały cały czas. Zaczęła mnie ogarniać lekka panika i po dość krótkim czasie przepuszczenie go do przodu stało się szczytem moich marzeń. Nic już więcej nie chciałam, tylko żeby sobie jechał do wszystkich diabłów, bałam się jednakże zwolnić, bo jego droga hamowania z całą pewnością była znacznie dłuższa od mojej. Prułam przed siebie, wyciskając z volkswagena wszystkie siły i modląc się o przystanek PKS. Górka skończyła się, szosa odzyskała układ poziomy, ale za to ukazał się zakręt i wieś. Nie lubię brać zakrętów we wsiach z szybkością 130 kilometrów na godzinę, jakoś nie mam serca do tego, zaczęłam zatem z duszą na ramieniu subtelnie dotykać hamulca i błyskać stop–światłem, w napięciu czekając chwili, kiedy mnie ta rozpędzona machina trzaśnie w kuper.

Ryczący potwór apokaliptyczny znalazł się tuż za mną i wtedy wreszcie we wstecznym lusterku dostrzegłam znaki kierowcy. Znaki wydały mi się dość zagadkowe, odniosłam wrażenie, że grozi mi pięścią, obok jakiejś osoby machały rękami, przeraziłam się ostatecznie, że może mam z tyłu coś podejrzanego, nie wiem, zwłoki mi wystają z bagażnika czy też wlokę za sobą niewypał na sznurku, w każdym razie podjęłam desperacką decyzję. Zatrzymać się za wszelką cenę!

Decyzję wprowadziłam w czyn dobry kawałek za wsią, już prawie blisko następnej, bo ciągle mi było za wąsko jak na to monstrum, lecące za mną. Zwolniłam wreszcie dostatecznie, żeby odzyskać zaufanie do jego hamulców, i zatrzymałam się na poboczu. Autobus zatrzymał się za mną.

Zanim zdążyłam się ruszyć, otoczył mnie tłum pasażerów. Kierowca był pierwszy, zapewne dlatego, że sam decydował o kolejności otwierania drzwi.

— Ale pani leci, jak rany! — powiedział z niezadowoleniem. — Macham i macham, a pani nic, tylko premio Argentyna! Tu jedna pani koniecznie chciała państwa dogonić.

— Teresa! — krzyknęła z nadzieją moja matka, całkowicie nieświadoma niebezpieczeństwa, któremu świeżo uszła.

Przez kupę ludzi przepchnęła się jakaś młoda osoba, wielce poruszona i tak ładna, że bez trudu zdołałaby nakłonić nawet stu kierowców do najdziwniejszych wybryków.

— Ach, proszę pani, to ja! — zawołała z ożywieniem. — Ja widziałam tę panią, która zginęła! Czy ona się znalazła?

Zaprzeczyłam. Czyniłam właśnie usilne starania, żeby ochłonąć nieco po straszliwej pogoni. Kierowca ustąpił miejsca młodej osobie, która wetknęła głowę w moje okno. O tym, żeby wysiąść, nie było mowy, ludzie z autobusu oblepili mi samochód ze wszystkich stron, dociskając drzwiczki.

— To ja ją widziałam! — powiedziała z przejęciem prześliczna dziewczyna. — Wie pani, ja tam byłam na górze, jak pani jej szukała, i potem zapamiętałam pani samochód i w ogóle wszystko. Miałam zamiar napisać kartkę do Polanicy pod ten adres, który pani podała, ale zobaczyłam właśnie, że pani jedzie, i pan kierowca zgodził się panią dogonić. Niska dosyć, taka średnia, niegruba i niechuda, czarna, krótko ostrzyżona, prawda? Miała czarne spodnie, czerwoną bluzkę, czerwone pantofle i ten pierścionek, nie? To ona była?

— Ona — przyświadczyłam. — Powinna mieć jeszcze torbę, czarną, z czerwonymi ozdobami.

— Torby nie widziałam...

— A ścierkę? — przerwała nagle Lucyna.

— Proszę? — zdziwiła się dziewczyna niepewnie.

— Lucyna, odczep się od tej ścierki, na litość boską! Widocznie było ciepło! Gdzie ją pani widziała i kiedy?

Dzisiaj rano! Na campingu koło Jeziora Otmuchowskiego. Ja tam nocowałam, a ta pani wyszła z jednego domku, akurat, jak leciałam do autobusu, tuż koło mnie wyszła, prawie na nią wpadłam, ten pierścionek mignął mi w oczach i dopiero potem pomyślałam, że to przecież ta pani, nawet się za nią obejrzałam, stała tam ciągle, ale już nie mogłam wracać, bo musiałam zdążyć na autobus! W Nysie miałam przesiadkę... Wie pani, ja czytam wszystkie kryminalne powieści i dlatego od razu sobie skojarzyłam. Co za szczęście, że pani akurat jechała!

— To musiała być Teresa — powiedziała stanowczo Lucyna. — Niemożliwe przecież, żeby akurat na tych terenach znalazła się druga baba, wyglądająca identycznie jak ona, tak samo ubrana i w dodatku — z takim samym pierścionkiem. Teresa, z pewnością! Przyznałam jej słuszność, czując się cokolwiek oszołomiona. Co, u diabła, Teresa robiła na campingu koło jeziora i na którym campingu?! Jest ich tam dookoła zatrzęsienie!

Młoda osoba mniej więcej określiła drogę, jaką odbyła od owego domku do przystanku autobusowego. Należało po prostu zapamiętać ją odwrotnie i od razu pojawiała się szansa trafienia. Kierowca usiadł na zboczu rowu, oświadczając, że nadrobił trochę za dużo czasu i musi go teraz zmarnować. Pasażerowie życzliwie udzielali nam rad i czynili pocieszające uwagi. Zawróciłam i ruszyłam z powrotem w kierunku Nysy.

Campingi nad Jeziorem Ótmuchowskim zwiedziliśmy wszystkie z nadzwyczajną „dokładnością. W żadnej administracji, w żadnym biurze zakwaterowań, w żadnym punkcie rozdziału i wynajmu domków nie było po Teresie najmniejszego śladu. Późnym wieczorem, zmęczeni i zrezygnowani, zdecydowaliśmy się zostać tu na noc. Wynajęto nam jedyny chwilowo wolny domek, na samym skraju pola campingowego, po drugiej stronie jeziora, blisko wody, ale bardzo daleko od parkingu, a i to tylko pod warunkiem, że opuścimy go nazajutrz rano.

— Pojąć nie mogę, co ta Teresa wymyśliła, gdzie ją diabli zanieśli? — powiedziała z irytacją Lucyna, wytrząsając piasek z pantofli przed schodami ganeczku. — Była tu w końcu czy nie?

Przesunęłam deskę, leżącą nie wiadomo po co przy schodkach na sypkim piasku. Zapewne w czasie deszczów piasek zamieniał się w błoto.

— Była z pewnością — zawyrokowałam. — Specjalnie przyglądałam się, czy nie ma jakiejś baby podobnej do niej, ale nie. Ani jednej sztuki. A zauważ, że mieliśmy przegląd absolutnie wszystkich obecnych tu wczasowiczów, sensacja się rozeszła i dobrowolnie odbyli prezentację.

— A owszem, oglądali nas jak małpy w klatce.

— Co ci szkodzi, my ich też...

— Chodźcie prędzej zjeść kolację — przerwała nam moja mamusia. — Mam już dosyć tego śledztwa, chcę się wreszcie położyć. Wilgotno tu, ciągnie od wody.

— Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, że brunetki są dwie na całe jezioro — kontynuowałam już przy posiłku. — Obie młodsze ode mnie i z długimi włosami. Ona jest nietypowo uczesana i musi wpadać w oko. Mam pomysł, ale teraz spać mi się chce, więc zastanowię się nad nim jutro.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem — powiedziała moja mamusia wyraźnie niezadowolona. — Jeżeli ją porwali, powinna siedzieć gdzieś zamknięta i związana. Tymczasem okazuje się, że chodzi na wolności. Może to jednak wcale nie ona?

— Może uciekła? — powiedziała Lucyna w zadumie. Nad pomysłem zastanowiłam się istotnie jutro, tyle że znacznie wcześniej, niż miałam zamiar. W środku głębokiej nocy wyrwał nas ze snu przeraźliwy krzyk, pełen śmiertelnej grozy i mrozący krew w żyłach. Okna były

otwarte, poderwałam się, w pierwszej chwili nie pojmując, co się dzieje. Jakaś osoba, płci niewątpliwie żeńskiej, darła się z całej siły, bez słów, wyłącznie na literę aaa. Zaczynało już świtać, ale widoczność jeszcze była zerowa.

W jednej chwili cała okolica stanęła na nogi. Jezioro Otmuchowskie jest dość duże, głos po wodzie niesie i krzyk poszedł w plener aż do horyzontu. Z domków zaczęli wyskakiwać zaspani ludzie w dezabilu, błyskały światła latarek, podniósł się ogólny wrzask, potężny i niezrozumiały. Krzyki, które wybuchły gdzieś daleko, zmierzały jakby w naszą stronę, ktoś pędził po omacku między domkami wprost ku nam. Zaniepokoiłam się, że źle trafi, runie na nasz apartament, całość zawali się i przygniecie ojca, który, jeden jedyny, nic nie słyszał i spał błogim snem. Moja mamusia i Lucyna przepychały się na ganeczku, wydając jakieś niezrozumiałe okrzyki. Nie miałam czasu szukać teraz latarki, zlazłam na piasek, macając nogą stopnie, za mną zaś, nie wiadomo po co, zlazła moja mamusia, ominęła mnie i wysunęła się do przodu. W tym samym momencie z ciemności wypadła pędząca postać, bardziej słyszalna niż widoczna, potknęła się o coś i runęła niemal tuż u naszych nóg. Za postacią trochę niemrawo nadlatywała hałaśliwa pogoń. Moja mamusia przede mną zachybotła się gwałtownie, po czym zapewne zdrętwiała kompletnie, bo zamarła w bezruchu. Postać jęknęła, poderwała się z przekleństwem i wystartowała dalej w ciemność, za to pogoń właśnie do nas dotarła i zgodnie z moimi przewidywaniami runęła na domek, aż ziemia stęknęła. Domek wytrzymał, ale za to obudził się ojciec. Wyskoczył na ganek z latarką dokładnie w chwili, kiedy jakiś osobnik wpadł na moją mamusię, chwycił ją w objęcia i wrzasnął:

— Mam go!!! Jest!!!

— Won, pętaku! — wrzasnęła na to moja mamusia z najśmiertelniejszą w świecie urazą, wrywając mu się z całej siły.

Ojciec, rzecz jasna, natychmiast wkroczył do akcji. Przygruchał mamusi latarką w ucho, co prawdopodobnie nie leżało w jego zamiarach, ale za to wpłynęło na nią dopingująco. Ze straszliwą mocą strząsnęła z siebie obu napastników, wyrznęła osobnika łokciem w dołek i wydarła się ojcu z rąk z pełnym furii okrzykiem:

— Odczep się! Stary piernik!

Od strony jeziora dobiegł warkot motorówki. Wśród pogoni rozległy się wołania i głosy, świadczące, iż tajemniczej postaci udało się zbiec wodą. Ojciec kotłował się z osobnikiem przed gankiem, obaj wzajemnie usiłowali się to trzymać, to odpychać, ojciec, machając latarką, oświetlał migawkowo coraz to inne części terenu i fragmenty roślinności, powracająca pogoń rzuciła wreszcie snop światła na to niezwykle widowisko. Osobnik, który napadł moją

mamusię, okazał się panem w wieku powyżej średniego, dość korpulentnym. Stwierdził swoją pomyłkę, okazał skruchę, ale ciągle był urażony. Ojciec wyrazów skruchy nie dosłyszał.

— Pan złapał moją żonę! — wołał z oburzeniem.

— Przecież przeprosiłem! — powarkiwał osobnik. — W ciemnościach każdy się może omylić! On leciał tutaj, tu był! A ta pani mnie obraziła! Zaraz pęta! I piernik!

— Piernik mówiłam do mego męża — rzekła moja mamusia z godnością i usunęła się ze sceny.

Siedziałyśmy obie z Lucyną na schodkach ganeczku, tarzając się w konwulsjach ze śmiechu, niezdolne do niczego. Moja mamusia przelazła przez nas z niejakim trudem.

— No i czego się śmiejecie jak głupie do sera — powiedziała z urazą. — Powiedzcie Jankowi, żeby się przestał wygłupiać, bo ja z nim nie rozmawiam. Próbował mnie zabić!

Ojciec poniechał wreszcie krwawej zemsty na korpulentnym osobniku. Należało jeszcze wyjaśnić przyczyny całego przedstawienia. Uspokoiliłam się w końcu trochę, włożyłam szlafrok i ranne pantofle, zabrałam swój reflektorek i udałam się na rekonesans. Na campingu nikt nie spał, wokół domków pętało się mnóstwo ludzi, główna kupa jednakże zgromadzona była w środku. Przedarłam się przez tłum bez wielkiego trudu, — bo młodymi laty codziennie jeździłam komunikacją w godzinach szczytu i do tej pory mam jeszcze wprawę. “Spodziewałam się ujrzeć zwłoki, ale zwłok nie było. W drzwiach dwuosobowego domku siedziała na krześle jakaś szlochająca spazmatycznie pani w kwiciastej piżamie, popijała podawaną zewsząd wodę i inne napoje, chwytala się za gors i oddychała głęboko.

— Runął na mnie — mówiła słabym, przerywanym łkaniami głosem. — Runął na mnie! Nagle! Trzeszczał i szemrał, i szurał, i nagle runął na mnie!

W tłumie rozległy się pełne zgrozy szepty i przypuszczenia co do zamierzonego przez złoczyńcę gwałtu. Pani dosłyszała.

— Ależ nie! — wyszlochała. — Nic podobnego! Wcale nie chciał mnie gwałcić! Chciał coś ukraść! Ja mam słabe serce...

— To po co runął na panią, skoro nie chciał pani gwałcić? — spytała z niedowierzaniem dama, podająca wodę.

— Potknął się. Wlazł w miskę! Namoczyłam sobie przepierkę...

— Pewnie, przepierka zamiast gwałtu, nic dziwnego, że ta pani płacze — powiedział filozoficznie jakiś pan za mną.

Pani miała znakomity słuch, dostało do niej i to.

— Brutal! — wyłkała. — Mój mąż miał przyjechać dzisiaj! Nie zdążył! Ten potwór wiedział, że jestem sama! Chciał mnie okraść! Dwie noce jestem sama!

Zabrzmiało to jakoś osobliwie. Naturalny w sytuacji tej pani tragizm dźwięczał w okrzyku, więcej w nim jednak było nacisku. Zdziwiło mnie to nieco, przyjrzałam się uważniej i w jednej z osób udzielających pomocy rozpoznałam administratorkę ośrodka. Mój wieczorny, mglisty pomysł nabrał nagle wyraźniejszych barw. r

— Ma pani coś cennego? — pytała administratorka z wyraźną naganą. — Trzyma pani przy sobie pieniądze, biżuterię?

— Ach, nie, ale miała... On myślał... On mógł myśleć, że mam...

Co on myślał, to ja już wiedziałam. Porzuciłam zbiegowisko, bardzo zadowolona z uzyskanych informacji, i wróciłam do naszego domku. Panowała w nim atmosfera wielce ożywiona. Gromkim echem odzywały się pretensje mojej matki do ojca, którego utożsamiała ze wszystkimi napastnikami równocześnie. Pierwszy był zupełnym idiotą, już się nie miał gdzie przewracać, tylko akurat przed nami.

— A po coś mu podstawiała nogę? — spytała Lucyna z jadowitą uciechą. — Trzeba się było nie wtrącać.

— Ja mu podstawiałam nogę? — oburzyła się moja mamusia. — Zwariowałaś chyba, nie mam co robić, tylko podstawiać nogi jakimś chuliganom! Zeszłam, bo chciałam stanąć na desce, a nie na piasku.

— No i stanęła na desce, tej przed schodkami, i w ten sposób podniosła jej drugi koniec — wyjaśniła mi Lucyna, chichocząc. — On się właśnie o to przewrócił. I mówi teraz, że mu nie podstawiała nogi!

— Bo nie podstawiałam...

— Bardzo źle — oznajmiłam karcąco. — Trzeba było nie tylko podstawić mu nogę, ale jeszcze rzucić się na niego.

— Akurat! — zirytowała się moja mamusia. — Rzucać się na jakichś bandytów, jeszcze czego! Rozpędziłam się! Drugi bandyta niech się rzuca!

Skierowane to było do ojca tak wyraźnie, że Lucyna na nowo zaczęła chichotać. Ojciec mamrotał pod nosem coś o czaplach chodzących po desce, zarazem był skruszony i zdegustowany, ale głośno wolał swojego zdania nie precyzować. Moja mamusia demonstracyjnie przykładła sobie do ucha mokrą chustkę do nosa.

Do Lucyny dotarło nagle to, co powiedziałam.

— Co mówiłaś? Dlaczego ona miała się na niego rzucać? A w ogóle co tam się stało?

— Najlepiej było rzucić się na drania całą rodziną w komplecie i przytrzymać — powtórzyłam z wyrzutem. — To był ten, który ukradł Teresę. Albo jego współnik. Już wiem, gdzie ona była ostatniej nocy i dlaczego nam tego nie chcieli powiedzieć. On też wiedział i

przyszedł tu w przekonaniu, że jeszcze ciągle jest. Jutro wyjaśnię resztę, bo teraz jest za duże zamieszanie. Przy ludziach nic z tego nie wyjdzie.

Jak było do przewidzenia, nie pozwolili mi na tym poprzestać i musiałam wyjawić, na czym polega moje epokowe odkrycie. Mogliśmy sobie pozwalać na długie nocne rodaków rozmowy, bo co do zerwania się ze snu o świcie na moją mamusię można było liczyć bez pudła. Nie istniał nawet cień obawy, że ktokolwiek z nas zaśpi.

— Ona nie mogła zatrzymać się tu i zameldować oficjalnie — wyjaśniłam. — Myślcie logicznie, ile by ją to kosztowało? Ma przy sobie swój paszport i tylko trzysta złotych, nie starczyłoby jej nawet na tę jedną noc, nie mówiąc o tym, że pewnie już coś wydała...

— Ma dolary — zauważyła Lucyna.

— No to co? Po pierwsze ledwie parę, a po drugie nawet gdyby miała dziesięć tysięcy, nie puści ani jednego ze strachu, że to nielegalne. Innymi słowy, nie ma czym płacić. No i nie płaci. Zanocowała tu na waleta z jedną babą, która ma domek dwuosobowy i czeka na męża. Mąż miał przyjechać wczoraj i dlatego Teresa wyjechała, a przedtem widocznie dogadała się jakoś z tą babą. To była właśnie ta, która się darła Mąż nie przyjechał, za to przyszedł prześladowca szukać Teresy. Jutro dowiem się od niej, jak to lam było dokładnie.

— No i dlaczego nam tego od razu nie powiedziała? — spytała z lekkim niedowierzaniem moja mamusia.

— Przecież pytaliśmy o Teresę kogo popadło, na wszystkie strony!

— Pytaliśmy głównie w administracjach i w ogóle publicznie, a ta baba za skarby świata nie przyzna się przecież, że przyjęła kogoś na waleta. Wyrzuciliby ją z campingu. Dopadnę ją jutro po cichu, w cztery oczy.

— Dziś, nie jutro — poprawiła Lucyna.

— Dziś, niech będzie. Na wszelki wypadek sprawdzę jeszcze we wszystkich administracjach, czy istniało więcej domków, do których ktoś nie przyjechał albo w ogóle zajmowanych przez jedną osobę, chociaż mają miejsce na dwie. Ale widzi mi się, że to była ta.

— To właściwie co to znaczy? — powiedziała moja mamusia nieufnie. — Co się z nią dzieje? Dlaczego błąka się tutaj, zamiast wracać do domu?

— To by znaczyło, że Teresa zginęła także i tym porywaczom — zauważyła Lucyna w zadumie. Bo jestem pewna, że ją porwali. Szukają jej z jednodniowym opóźnieniem, identycznie jak my.

Zgodziłam się z nią, bo również byłam zdania, że Teresa została porwana, następnie uciekła, następnie zaś ją popelniać czyny całkowicie niepojęte i sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Po jakiego diabła przyjechała nad Jezioro Otmuchowskie, zamiast wrócić do Polanicy? Po jakiego diabła w ogóle ją porywali?

Coś mi zaświtało w umyśle i tknął mnie nagły niepokój.

Słuchajcie, nic jestem pewna, czy nie robimy głupstw powiedziałam z obawą. Ci bandyci mają nieco lepsze rozeznanie. Możliwe, że Teresa się ich boi i szuka nas. Chyba niepotrzebnie wyjechaliśmy z Polanicy, bez sensu to było, ogłupiłyście mnie idiotyczną ścierką i teraz już sama nie wiem, gdzie ją znajdziemy. W Polanicy powiedziała moja mamusia i odjęła chustkę od ucha. Ona tam pojechała, wracamy natychmiast...

— Mowy nie ma, po nocy nigdzie nie jadę!

— To jednak musi być jakaś podejrzana afera — stwierdziła Lucyna. Niepotrzebnie zawiadomiłaś milicję, Teresa doskonale daje sobie sama radę. Nie daj Boże, wyjdzie coś na jaw...

Moja mamusia zdenerwowała się okropnie.

— Jaka znów podejrzana afera, co ci ma wychodzić na jaw, zwariowałaś czy co? Teresa i podejrzane afery...

— Musiała się w coś wplątać, nie ma innego wytłumaczenia...

— No więc trzeba ją znaleźć! Jedziemy do Polanicy! Niepotrzebnie w ogóle ruszyliśmy się z tych Gór Stołowych, trzeba tam było siedzieć na schodach i czekać, a nie pętać się byle gdzie! Ona tam już przyjechała i czeka!

— Nie czeka, tylko śpi — skorygowała z rozgoryczeniem Lucyna. Jeżeli dotarła do Polanicy, to już jej nic nie grozi. Znajdziemy ją tam jutro... To znaczy dziś.

— Od rano wyjeżdżamy!

— Przedtem sprawdzimy, co się z nią działo tutaj

— powiedziała ostrzegawczo. — Na wszelki wypadek, bo nigdy nic nie wiadomo. Wcale nie wiem, czy ta afera tak się łatwo skończy, nawet jeśli już ją znajdziemy...

*

Moje dedukcje okazały się bezbłędne. Co prawda upatrzona dama w pierwszej chwili w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać, popłakiwała i chwytła się za klatkę piersiową, udało mi się jednak w końcu trafić jej do przekonania. Zastosowałam zwyczajny szantaż. Oznajmiłam, że fakt przyjęcia na noc jakiejś osoby jest już powszechnie znany, a zatem niech robi, jak uważa. Albo przyzna się i udowodni, że była to Teresa, albo jej mąż poweźmie podejrzenia, iż był to osobnik odmiennej płci. Dama miała słaby charakter, złamała się i wyznała prawdę.

Teresa zaczepiła ją po drodze między administracją a przydzielonym domkiem. Musiała zapewne być gdzieś w pobliżu i słyszeć, jak owa pani załatwiała sprawę i mówiła o mężu, który przybędzie z opóźnieniem, bo już o tym wiedziała. Był późny wieczór, ale Teresa przytomnie wybrała dobrze oświetlone miejsce, nie przestraszyła jej, od razu pokazała paszport, powiedziała, że ją okradli i że znajduje się w głupiej sytuacji. Na podróż do rodziny jej starczy, ale na nocleg wykluczone. Pani uwierzyła we wszystko, po bardzo krótkim wahaniu przyjęła ją do swego domku po cichu, tak żeby nikt nie widział, i prawie się z nią zaprzyjaźniła. Zorientowała się, że Teresa jest zdenerwowana i jakby czegoś się boi, ale kładła to na karb przykrych przeżyć. Wydawało jej się, że chyba Teresa wpadła w złe towarzystwo, któremu uciekła i które usiłuje ją znaleźć, zapewne po to, żeby okraść do końca. Złodziej, który był w nocy, niewątpliwie sądził, że Teresa ma gdzieś jeszcze ukryte dolary, i usiłował nimi zawładnąć. Odjechała niezupełnie rano, trochę później, bo zrobiła sobie pranie i musiała czekać, aż jej rzeczy wyschną. Torbę owszem, miała, taką czarną z czerwonymi wypustkami, miała także szczotkę do zębów i taki mały, lniany ręczniczek. Mówiła, że jedzie do Polanicy...

— Ścierka z Cieszyna zmieniła charakter — oznajmiłam czekającej w napięciu rodzinie. — Pełni teraz funkcję ręcznika. Wracamy galopem do Polanicy, a nad całością imprezy zaczniemy się zastanawiać, jak już ją znajdziemy. Grunt, że jej się nic nie stało.

— A ja nie wiem, czy nie trzeba się dowiedzieć, co ona zrobiła z tą łodzią — zauważył znieacka ojciec, lokując się w samochodzie.

Powstrzymałam przekręcenie kluczyka w stacyjce i obejrzałam się do tyłu. Moja matka i Lucyna również spojrzały na ojca w zupełnym oszołomieniu. Przez chwilę w ogóle nie mogliśmy zrozumieć, co mówi.

— Z jaką łodzią? — spytała ze zdumieniem Lucyna.

— No przecież wszyscy mówili, że Teresa uciekła łodzią przez jezioro. Motorówką. Ja w ogóle nie wiem, po co my za nią jeździmy, skoro ona od nas ucieka. Może sobie wcale nie życzy naszego towarzystwa?

Jeszcze przez kilka sekund żadna z nas nie była w stanie zareagować na te słowa, w których ojciec zawarł stanowczo zbyt dużo treści. Potem, jak zwykle, obie szanowne siostry rzuciły się na niego z pazurami, na mnie zaś spłynęło kolejne natchnienie.

— Tato, to nie Teresa uciekła motorówką, tylko bandyta! — wrzasnęłam, przekrzykując awanturę. — Ale masz rację, trzeba się dowiedzieć, skąd ją wziął!

— No proszę! — ucieszył się ojciec. — Mówiłem, że nie można odjeżdżać stąd tak na olaboga. Ja mogę obejść to jezioro z kompasem. Tu są ryby.

— I na kompas będziesz je łowił? — zainteresowała się zjadliwie moja mamusia.

— Nie na kompas, tylko na robaki. Mam nakopane...

— Ciekawe, po co mu kompas nad jeziorem — mruknęła Lucyna. — Nie widzi wody? Zobaczy, jak w nią wpadnie.

Nie wiem, co wy tu jeszcze chcecie robić, to bez sensu. Co nas obchodzi łódź jakiegoś łobuza? Teresa tam czeka w Polanicy...

— Krzywda jej się nie dzieje — przerwała Lucyna. — Do południa poczeka na pewno, gosposia da jej coś do jedzenia, a my przez ten czas może się czegoś dowiemy? To niegłupia myśl, żeby sprawdzić.

Kiwnęłam głową.

— Jasne. Im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej, kto wie, czy się nie przyda. Najpierw trzeba się przekonać, kto tu ma jakieś łodzie i gdzie. Podjedziemy, dokąd się da, a dalej się przejdzie. Nie zostawię przecież tej całej hecy bez rozwikłania...

W trzech wypożyczalniach sprzętu złożono nam uroczystą przysięgę, że żadnej łódki w nocy na jeziorze nie było. Motorówki w ogóle są dwie, jedna w remoncie, a druga zamknięta na kłódkę, od której kluczyczek cztery dni temu wpadł do wody i właśnie przemyśliwa się nad przepiłowaniem łańcucha. Straż wodna swojej łodzi nie wypożycza nikomu za żadne skarby świata, w dodatku tej właśnie nocy, akurat w jej cieniu tutejsza bufetowa romansowała ze swoim narzeczonym, wykorzystującym trzy dni wolne z wojska. Krzyk oderwał ich od romansu, siedzieli w łodzi i z daleka obserwowali zamieszanie. Ktoś tam jeszcze podobno ma prywatną motorówkę blisko miejsca, gdzie rzeka wpływa, czasem przyjeżdżają turyści z własnymi, ale akurat żadnego nie ma, a w ogóle to po jeziorze pływają prywatne krypy na pagaje. Motorówkę w nocy wszyscy słyszeli, ale nikt jej nie widział i nikt nie wie, skąd się wzięła.

Pytałam dyplomatycznie i po większej części w cztery oczy, więc uzyskiwane informacje można było uznać za prawdziwe. Udałam się ku miejscu, gdzie rzeka wpływa. Polnymi drogami, a częściowo na durch przez łąkę udało mi się dojechać tak daleko, że widać już było koniec zalewu. Dalej ani w ząb. Ojciec wysiadł i zgodnie z zapowiedzią bardzo ochoczo udał się na zwiady na piechotę. Żadna z nas nie zwróciła uwagi na to, że zabrał ze sobą wędkę.

Mniej więcej po półtorej godzinie łącząca po łące Lucyna zawróciła i pokiwała na mnie. Oderwałam się od kontemplacji wodnego obszaru. Obie równocześnie dotarłyśmy do mojej mamusi, siedzącej obok samochodu na materacu, w cieniu drzewka.

— Czy myśmy już zupełnie zgłupiały? — spytała Lucyna zrezygnowanym tonem. — Czy już naprawdę nie było kogo wysłać, tylko Janka? Jak wam się zdaje, ile czasu będziemy tu na niego czekać?

Moja mamusia, oddająca się dotąd w spokoju dzierganiu bluzki szydełkiem, poderwała się jak rażona gromem.

— No oczywiście, że musiałyśmy zgłupieć! — wykrzyknęła energicznie. — Przecież on łowi ryby! Trzeba natychmiast iść go szukać!

— Lucyna, znowu wprowadzasz ferment — powiedziałam z wyrzutem. — Skąd wiecie, gdzie on jest?

— Przy brzegu jeziora — odparła Lucyna. — Ewentualnie rzeki. Ta rzeka musi już być blisko, wszystko razem nie ma więcej niż jakieś osiem kilometrów. Idę go szukać, przy okazji spytam o tę motorówkę, bo on pewno zapomniał.

Oddaliła się w tym samym kierunku, w którym zniknął ojciec. Moja matka, jakby nieco uspokojona, wróciła do szydełka i bluzki. Zaczęły mnie tykać złe przeczucia.

Po dwóch godzinach nie wytrzymałam.

— Na litość boską, nie potopili się chyba? — powiedziałam z irytacją, zwiększoną coraz liczniejszymi uwagami mojej mamusi, której spokój nikł w dość szybkim tempie. — Siedź tutaj, a ja pójdę ich szukać.

Złe przeczucia podgryzały mnie coraz bardziej. Teresa mogła wrócić do Polanicy, owszem, ale jak długo będzie tam na nas czekać? Ci ludzie, którzy prześladowali ją z takim uporem, najwyraźniej w świecie byli zdecydowani na wszystko, mogli ją tam znaleźć, mogli jej zrobić coś złego... Afera wydawała mi się coraz bardziej podejrzana...

Szłam ciągle brzegiem zalewu, krajobraz wskazywał, że zbliżam się do rzeki, po ojcu i Lucynie nie było najmniejszego śladu, za to zarośla zgęstniały. Teren, wszędzie suchy, tu zrobił się dziwnie bagnisty, w wodzie rósł pas szuwarów, zasłaniający widok. Leciałam wzdłuż tego kurcgalopkiem, miotana narastającym niepokojem, nie mogąc pojąć, gdzie obydwójce się podzieli.

Lucynę najpierw usłyszałam, a potem zobaczyłam. Stała wśród trzciny i krzaków na małym podwyższeniu terenu, odgradzona ode mnie wąskim strumyczkiem.

— Ogłuchłaś, czy co? — wołała do mnie zniecierpliwiona. — Chodź mi tu pomóc, nie mogę się stąd wydostać!

— A jak tam wlaźłaś? — spytałam zdumiona, sapiąc nieco po nerwowej galopadzie.

— Tu była poręcz. Odłamała się akurat, jak przeszłam. Daj mi rękę albo co.

Przez strumyczek, pełen raczej grząskiego błota niż wody, przerzucona była wąska kładka z dwóch desek, której poręcz, zbita z paru cienkich żerdzi, smętnie zwisała nad bagienkiem. Lucyna, przechodząc, musiała oprzeć się na niej cokolwiek za mocno. Wspomniałam czasy,

kiedy po dziesięciocentymetrowych beleczkach chodziłam nad świeżym betonem, i przedostałam się do niej z niezbyt wielkim trudem.

— Trochę to się giba i śliskie — zauważyłam krytycznie. — Dziwię ci się, że się tu wpakowałaś. Naprawdę nie wiem, jak wrócisz, chyba na czworakach.

— Gorzej, że nie znalazłam twojego ojca — odparła Lucyna. — Poszłam bardzo daleko wzdłuż tego rowu, nigdzie go nie było, więc wróciłam i przeszłam tutaj. Nie wiedziałam, że to się złamie. Chodź, spróbujemy.

Pierwsza próba doprowadziła do tego, że omal nie znalazłam się w strumyczku, druga wypadła podobnie. Pomyślałam, że trzeba się do tego zabrać jakoś inaczej.

— Albo poczekaj tutaj, albo chodź ze mną — powiedziałam do Lucyny. — Zobaczymy, co jest dalej. Może istnieje jakieś zwyczajne przejście na suchy ląd.

— Z tamtej strony jest woda — odparła Lucyna, machnąwszy ręką ku wschodowi. — A z tej nie wiem, jeszcze nie sprawdziłam. Właśnie miałam zamiar, kiedy nadeszłaś.

Z tej również była woda. Wszystko wskazywało na to, że znalazłyśmy się na bagnistym i porośniętym szuwarami brzegu rzeki, oddzielnym od reszty lądu parszywym, małym, prawie wyschniętym strumyczkiem, przez który nie można było przejść inaczej, jak tylko po owej zdemolowanej kładce. Co gorsza, dotarłszy do wschodniego krańca owej grząskiej wyspy, ujrzałyśmy widok przygnębiający.

W niejakim oddaleniu od nas, na małej kępcie roślinności stał ojciec, jedną ręką trzymał się rachitycznego drzewka, a drugą machał. Ścisnął w niej swoje buty.

— Halo! — wołał. — Halo, słyszycie mnie? Rzućcie tu jaką deskę, bo nie mogę przejść! Tu jest bagno!

Przez długą chwilę stałyśmy w milczeniu, przyglądając mu się i nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Marynarkę miał narzuconą na ramiona, spodnie podwinięte do kolan i kompletnie czarne nogi. Kępka razem z rachitycznym drzewkiem kiwała się i uginała pod nim podejrzanie.

— No tak — odezwała się wreszcie Lucyna dziwnym tonem. — Po prostu cudownie. My jesteśmy tu, twój ojciec tam, a twoja matka siedzi na łące i nie może odejść od samochodu, bo kluczyki prawdopodobnie masz przy sobie. Nie zamknie go, a otwartego nie zostawi.

— I tak jeszcze jest w najlepszej sytuacji — odparłam melancholijnie. — Ma żarcie, napoje, materac i swobodę ruchów. Nie wiem, czy nie poczekamy, aż Teresa znajdzie nas tu i uwolni...

Ojciec ciągle machał i pokrzykiwał, uspokoiliśmy go zatem potężnym rykiem, że słyszemy, po czym spytałyśmy, co tam robi. Ojciec wyjaśnił, że z tego miejsca, gdzie jeszcze można dojść, próbował zarzucić wędkę na czystą wodę, ale akurat coś go okropnie ugryzło, źle machnął i haczyk zaczepił mu się koło drzewka. Bardzo dobry haczyk, koniecznie chciał go

odzyskać, więc przeszedł, coś tu leżało twardego, ale utonęło, jak przechodził, i już nie może wrócić.

Pomyślałam, że chyba jakaś klątwa nad nami zawisła.

— W ogóle nie wyobrażam sobie, jak możemy wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji — powiedziała Lucyna. — Myślę, że twój ojciec w końcu się utopi. Widzisz jakieś wyjście?

— Widzę — odparłam z westchnieniem. — Ale cholernie pracochłonne. Narobimy się jak dzikie osły. Wracamy, obawiam się, że będziesz musiała mi pomóc...

Ile wysiłku kosztowało nas wyrwanie jednej deski z kładki i przewleczenie jej do ojca, tego ludzkie słowo nie opisze. Żadnego innego twardego przedmiotu nigdzie wokół nie było. Zdjęłam pantofle i wlałam w bagno, uprzedziwszy przedtem Lucynę, co będzie, jeśli dopadnie mnie bodaj jedna pijawka. Tej rozrywki jednakże los nam zaoszczędził, co mnie nawet nieco zdziwiło. Ojciec czekał cierpliwie przy rachitycznym drzewku, za to potem omal nie utopił nam deski, co ostatecznie wykluczyłoby powrót na suchy ląd.

Wspólnymi siłami ulokowaliśmy ją na poprzednim miejscu i z kolei we dwoje z ojcem przewlekliśmy Lucynę przez kładkę bez poręczy. Butów ojciec nie zgubił, natomiast marynarka wleciała mu do strumyka.

— Tato, dlaczegoś jej nie włożył na siebie normalnie? — spytałam z wyrzutem, kiedy wyciągaliśmy ją za pomocą dragów, patyków i wędki.

— Ręka mnie boli nad łokciem — odparł ojciec. — Coś mnie ugryzło i nie mogę włożyć rękawa.

Brudni byliśmy po tych wszystkich operacjach niczym stado wyjątkowo niechlujnych wieprzy. Ojca, jak się okazało, ugryzła osa, od razu zaczął puchnąć. Moja mamusia na łące pokazała wielką klasę i wobec awantury, jaką nam urządziła, utopienie się w bagnie mogło stanowić samą przyjemność. O wejściu do samochodu bez uprzedniego umycia się chociażby z grubsza w ogóle nie było mowy. Wyglądało na to, że kataklizmu, który stał się naszym udziałem, nie uda się opanować do skończenia świata.

Wszystko razem sprawiło, że do Polanicy dotarliśmy dopiero bardzo późnym popołudniem. Gospośia dyrektora powitała nas życzliwie, chociaż zdziwił ją nieco nasz tak szybki powrót. Od razu udzieliła nam informacji, że nic nie wie, co się działo, bo wróciła dopiero przed godziną. Wczoraj w ogóle jej nie było, dostała bowiem depeszę, że jej siostra jest ciężko chora, pojechała więc do siostry, ale siostra właśnie odzyskała zdrowie, więc wróciła. Mnóstwo ludzi podobno pytało o nas i nawet milicja była.

— Ale zostawiłam tu w ogródku jedną taką — rzekła na zakończenie relacji, dumna z siebie i pełna satysfakcji. — I ona wszystkim odpowiadała, że państwo pojechali do Cieszyna. Co to się stało, że państwo już z powrotem?

— Naszej siostry tu nie było? — spytała na to moja mamusia niespokojnie.

— A tego to ja nie wiem, bo mnie nie było. Tu jedna taka siedziała w ogródku i ona mówiła, że było dużo ludzi.

Może ktoś zostawił jakąś wiadomość? A nie wiem, możliwe, że zostawił, ona mi nie mówiła.

Zaczęło nam się robić na przemian zimno i gorąco. Zażądaliśmy bezpośredniego kontaktu z jedną taką z ogródka. Okazało się, że jest to dziewczyna w nieokreślonym wieku, tak między 14 i 20 lat, średnio rozgarnięta. Przybiegła z sąsiedztwa, wielce przejęta pełnią przez półtora dnia funkcją, i zdała nam relację ze wszystkich wizyt. O milicjancie, który pytał o nas, mówiła głosem pełnym zgrozy, wyraźnie zdziwiona, a nawet wręcz zgorzozna, że nie okazujemy strachu. Zaraz potem bez najmniejszego trudu udało jej się potężnie nami wstrząsnąć, opowiedziała bowiem o babie. Baba mianowicie jakaś była, raz wczoraj, a raz dzisiaj, złościła się, że nikogo nie ma, a jeszcze gorzej złościła się na wieść, iż pojechalibyśmy do Szczecina.

— Dokąd? wyrwało się równocześnie mojej mamusi i Lucynie.

— Do Szczecina — powtórzyła dziewczyna dobitniej i ciągnęła relację dalej.

Baba owa wyglądała bardzo dziwnie. Chustkę miała na głowie całkiem jak ścierka, a na twarzy wielkie, czarne okulary. W spodniach była i w czerwonych butach...

Z piersi całej rodziny wydarł się zbiorowy jęk. Ojciec nie stanowił wyjątku, dziewczyna opowiadała bowiem krzykliwie, a zatem wszystko doskonale słyszał. Upewniliśmy się jeszcze raz, czy dobrze rozumiemy.

— I tyś jej, moje dziecko, powiedziała, że pojechalibyśmy gdzie? — spytała Lucyna głosem elegancko wychowanej jaszczurki. — Do Szczecina?

— No tyż mówię, do Szczecina.

— Do Szczecina, a nie do Cieszyna?

— No do Szczecina, tyż mówię.

— Ale miałaś mówić, że do Cieszyna!

— Przecież to wszystko jedno — zdziwiła się dziewczyna, najwidoczniej dość słabo obeznana z geografiją ojczystego kraju.

Dopiero po dość długiej chwili udało nam się jako tako opanować wstrząs i przyjąć do wiadomości dalsze informacje. Dwa razy był jakiś młody, a dwa razy stary, a raz jeszcze jedna baba, wielka i gruba, w spodniach i w bluzce w grochy. Grochy były zielone. A raz był jeszcze

jeden młody, ale inny niż ten, który był dwa razy. Wszyscy bardzo się martwili, że nas nie ma, a najwięcej to się złościła ta w chustce co. była jak ścierka.

— Ona też tak myślała. Szczecin czy Cieszczyń, czy jakoś tam — dodała dziewczyszyna, pełna wyraźnej dezaprobaty dla wad naszej dykcji.

— Jedyna nadzieja, że Teresa domyśliła się, że to chodzi o Cieszczyń, a nie o Szczecin — powiedziała ze smętną rezygnacją Lucyna, kiedy już zakończyliśmy indagację i zmywaliśmy z siebie resztki zaskorupiałego błota.

— No i co ci z tej nadziei, w Cieszczyń też nas nie ma — zauważyłam krytycznie. — To zawsze tak wychodzi, jak się w połowie zmienia plany.

Moja mamusia konsekwentnie kontynuowała awanturę. Ona jedna nie taplała się w mokradłach i dysponowała pełnią wigoru.

— Gdybyśmy tu byli wcześniej, spotkalibyśmy ją wreszcie! To nie, zachciało wam się gdzieś latać! Kto wam kazał topić się w bagnie, wszystko przez Janka, wymyślił sobie idiotyczne ryby! Będziemy się tak szukać do sądnego dnia!

— Miałas przecież jeść ryby, jesteś na diecie, chciałem ci złapać rybę — tłumaczył się ojciec, bardzo zmartwiony.

— No i złapałeś, rzeczywiście, całego rekina! Jedźmy do tego Cieszczyń wreszcie, ona już tam na pewno jest!

— A jeżeli uwierzyła w ten Szczecin? — powiedziała Lucyna ostrożnie. — I pojechała do Szczecina?

— To jedźmy do Szczecina! Zaprotestowałam bardzo kategorycznie.

— I uważasz, że co, siedzi tam na rynku i czeka na nas? Czy może na dworcu kolejowym? Jak ją tam chcesz znaleźć?! Musiałaby upaść na głowę, żeby jechać do Szczecina!

— Może upadła... — podsunęła Lucyna.

Sytuacja gmatwała się coraz bardziej. Teresa najwyraźniej w świecie usiłowała znaleźć nas tak samo jak my ją. Znów nam zniknęła niejako sprzed nosa, w dodatku teraz już zupełnie nie było wiadomo, dokąd mogła się udać. Na domiar złego dopytywał się o nią dwa—razy młody i dwa razy stary. Nieobecna gosposia nie mogła stwierdzić, czy ów stary był tym samym podejrzanym osobnikiem, którego niepotrzebnie wpuściła, czy też był to ktoś inny, co do pojazdów zaś dziewczyszyna twierdziła, że owszem, dużo ich warczało.

Po namyśle uznaliśmy, iż logika wskazuje na Cieszczyń. Teresa niewątpliwie odgadła, że z tym Szczecinem to pomyłka, dowiedziała się, że pojechalibyśmy do Cieszczyń i siłą rzeczy powinna była podążyć tam za nami. W zaistniałej sytuacji — przed nami. W każdym razie konsekwentnie musimy również tam się udać. Nazajutrz rano ponownie wyruszywszy w tę

samą trasę, znów po drodze wstąpiłam na milicję w Kłodzku, nie bacząc na protesty rodziny, która uważała, że teraz już nie warto. Odszukałam zastępcę komendanta, znanego mi z poprzedniej rozmowy. Zastępca komendanta spojrzął na mnie dziwnie, spieszenie oznajmił, że nie ma ani chwili czasu, bo musi natychmiast wyjść, i odesłał mnie do starszego sierżanta, przydzielonego do tej sprawy. Starszy sierżant dla odmiany wcale na mnie nie patrzył, starannie omijał wzrokiem miejsce, w którym się znajdowałam, za to informacji udzielił ściśle i konkretnej.

— Ta obywatelka żyje i jest w najlepszym zdrowiu — rzekł zimno. — Turystykę uprawia, wolno jej i nie ma żadnej potrzeby jej szukać. Wykroczeń nie popełnia, rodzinę ma dużą, pełnoletnia jest, nikt tu jej nie będzie łapał i nigdzie sprowadzał. Zaburzeń umysłowych nie stwierdzono, także samo z pamięcią u niej w porządku. Przyjdzie czas i będzie chciała, to wróci, a nie, to nie.

Wypowiedź, acz dokładna, wydała mi się dziwnie zagadkowa. Mimo najszczerzych wysiłków nic więcej nie zdołałam z niego wydębić. Z milicją na ogół bywam w jak najlepszych kontaktach, uzyskuję wszelką pomoc i spotykam się ze zrozumieniem, ale tym razem najwyraźniej w świecie zostałam zbyta byle czym. Miejsce pobytu Teresy nie zostało mi wyjawione, starszy sierżant w kółko powtarzał to samo, z wyrazem twarzy pełnym już nie niesmaku, ale wręcz wstrętu i obrzydzenia. W żaden żywy sposób nie mogłam dojść, co ta Teresa namieszała, i nie wiadomo, jak długo trwałabym w stanie śmiertelnego zdumienia i niepokoju, gdyby nie przypadek, który nagle wyjaśnił osobliwe stanowisko milicji.

Opuszczając komendę, doszłam do wniosku, że skoro już tu jestem, budynek zaś robi przyzwoite wrażenie, mogę wykorzystać to miejsce wszechstronnie. Zawróciłam od wyjścia i w miarę możliwości dyskretnie odszukałam damską toaletę. W momencie kiedy zamierzałam ją opuścić, na korytarzu tuż pod uchylonymi drzwiami usłyszałam rozmowę. Uczestniczył w niej mój starszy sierżant i jakiś jego kolega.

— Co za cholerne ludzie — mówił starszy sierżant. — Jak już mają krewnego z Ameryki, pazurami by go rozszarpali. Kobita im się urwała, pewno nie wytrzymała, zaraz rejwach robią na całe województwo. Pewno chce sobie spokojnie pojechać, gdzie jej się podoba, a ci by na łańcuchu ją trzymali.

— Możliwe, że ją dorwali przed jaką inną rodziną i pilnują, żeby i tamci czego nie uszarpali — zauważył filozoficznie kolega. — Nieraz się zdarza, że o takiego zagranicznego krewniaka o mało się nie pozabijają.

— Pazerne to wszystko niemożliwie. Wcale im nie powiem, gdzie ona jest, niech się pomartwią.

— A co? Jeździ sobie?

— A jeździ. Co i raz to gdzie indziej. Niech ma kobita trochę spokoju, wszystko z nią w porządku, tyle że nerwowa, a ja tym pijawkom pomagał nie będę.

Jest rzeczą oczywistą, że nie opuściłam pomieszczenia, dopóki rozmówcy nie oddalili się spod drzwi. Dowiedziałam się jeszcze, że kolega starszego sierżanta ma kłopoty, bo uciekł jedyny trzeźwy świadek kraksy samochodowej i teraz nie sposób mu udowodnić, że był na miejscu i coś widział. Starszy sierżant z niejakim rozgoryczeniem powiedział, co myśli o świadkach jako takich. Nie brzmiało to pochlebnie. Rodzina czekała opodal komendy w samochodzie.

— Krwiopijcy — powiedziałałam wsiadając. — Pijawki.

— Kto? — zainteresowała się moja mamusia. — Milicja?

— Nie, my. .Odczepmy się wreszcie od tej nieszczęśliwej Teresy, która z nami nie wytrzymała i dała nogę.

— Masz gorączkę? — zatroskała się ze zdumieniem Lucyna.

— Milicja jest zdania, że szukamy jej po to, żeby ją dalej doić — wyjaśniłam. — Dobrze wiedzą, gdzie jest i co robi, ale nam nie powiedzą, bo jest pełnoletnia i zdrowa na umyśle. Krzywda jej się nie dzieje, może robić, co chce, a my nie mamy prawa wywierać na nią presji.

— O wszyscy święci! — powiedziała Lucyna z jękiem, odzyskawszy głos po dość długiej chwili. — Naprawdę nie było tam nikogo, z kim byś się mogła porozumieć?!

— Nie było. Komendant w ogóle nieobecny, jego zastępca uciekł na sam mój widok, a sierżant dostał instrukcje, żeby ukrócać te pasożytnicze zapędy chciwych rodzin. Musiałabym im opowiedzieć szczegółowo o wszystkim, inaczej nie uwierzą, że ona nie uciekła nam dobrowolnie. A nie wiadomo, co by z tego wynikło. W Warszawie znalazłabym kogoś odpowiedniego w pięć minut, ale tu nie znam ludzi.

Zdopingowany obelżywymi posądzeniami umysł Lucyny ruszył pełną parą i jeszcze przed Paczkowem wyklął się projekt włączenia w sprawę pewnego faceta.

Lucyna знаła go średnio, ale wiedziała, że on pracuje albo w MSW, albo w kontrwywiadzie, albo w czymś podobnym, jest tam jakąś ważną figurą i możliwości ma olbrzymie. Powinien go znać bliżej Zbyszek, mąż Lilki, bo facet miał zawsze wielką namiętność do siatkówki. Swego czasu w wolnych chwilach grywał i sędziował, możliwe że robi to do tej pory tak samo jak Zbyszek, możliwe że grywali razem w jednej drużynie, możliwe że są nawet zaprzyjaźnieni, chociaż Zbyszek pewnie nie wie, kim on jest naprawdę. Za to Lucyna wie, bo przed piętnastu laty ów facet niejako porastał w ważność na jej oczach. Należy go dopaść, wtajemniczyć, dobrze usposobić i poprosić o pomoc.

— Najpierw musimy się dowiedzieć, czy nie grywali ze Zbyszkiem przeciwko sobie — zauważyłam ostrzegawczo. — W takim wypadku mogliby—się bardzo nie lubić.

— A czym go można dobrze usposobić? — spytała z zainteresowaniem moja mamusia.

— Zdaje się, że dobrą wyzerką — odparła Lucyna konfidencjonalnie. — O ile pamiętam, on bardzo lubił podróbki.

— Jakie podróbki?

— No, różne. Wątróbkę, cynaderki, ozór...

Dyskusja na tematy spożywcze trwała aż do Cieszyna. Podsluchana w komendzie rozmowa wskazywała wyraźnie, że Teresa nie została zaarrestowana i milicja nie ma do niej żadnych pretensji, ale zarazem odbierała nam nadzieję na oficjalną pomoc. Prześladowanie przez tajemniczą szajkę było faktem niezbitym, pomoc zatem mogła okazać się niezbędna. Facet od podróbek stopniowo stawał się naczelną postacią naszego życia i przy cieszyńskim cmentarzu wyszło nam, że egzystencja bez niego jest w ogóle niemożliwa. Pocieszyłam moją mamusię, że byłoby znacznie gorzej, gdyby gustował w langustach, homarach i befsztykach z polędwicy.

Na miejsce dotarłam równocześnie z Lilką, która właśnie wróciła z pracy. Spotkaliśmy ją przy furtce ogródka i razem weszliśmy do mieszkania.

Po Teresie nie było w Cieszynie najmniejszego śladu.

— No więc co, naprawdę pojechała do Szczecina?

— powiedziała Lucyna niedowierzająco.

— Musiałaby dostać pomieszania zmysłów — odparła trzeźwo Lilką, której przypadłości rodzinne nie zdążyły jeszcze ogłupić. — Wół by się połapał, że to miał być Cieszyn, a nie Szczecin.

— Idzie piechotą, bo zabrakło jej pieniędzy na autobus — podsunęła desperacko moja mamusia.

— E tam! — odparłam ze zniecierpliwieniem.

— Przyjechałaby na gapę. Tyle chyba potrafi?

— Ale starczyłoby jej na znaczek pocztowy, nie?

— powiedziała równocześnie Lilką krytycznie. — W ogóle złoty pięćdziesiąt mogła użebrać. Przysłałaby kartę.

— Co robimy? — spytała Lucyna, stawiając torbę na kuchennym stole. — Nie wiem jak wy, ale ja się czuję przez tę Teresę kompletnie ogłuszona.

Zadecydowałam, że należy działać metodycznie. Najpierw zjeść obiad, a potem przystąpić do akcji. Uwaga Lilki nasunęła mi jedyną naprawdę rozsądną myśl i postanowiłam natychmiast wysłać ekspres do Marka z opisem wydarzeń. W razie gdyby Teresa istotnie udała się do

Szczecina, on jeden mógł dogadać się jakoś z milicją i spowodować odnalezienie jej tam w sposób taktowny i dyskretny. Nawet gdyby zamknięto ją za włóczęgostwo...

Do twórczości przystąpiłam od razu i po obiedzie korespondencję miałam gotową. Rozpoczęliśmy metodyczną działalność. Lucyna udała się na poszukiwanie Zbyszka, który trenował zawodników w jakimś klubie, Lilka wytłumaczyła jej, gdzie to jest, ojciec uciekł i poszedł na ryby, moja mamusia uparła się, że pójdzie z nami na pocztę, a potem do zakładu fotograficznego, należało bowiem wreszcie wywołać film cici Jadzi.

Tej podkówki ze schodów w baszcie lepiej nie dotykajmy — powiedziała ostrzegawczo, grzebiąc w kieszeni na drzwiach samochodu. — Bóg raczy wiedzieć, jakich odkryć może dokonać fachowa ekspertyza, niech tam nie będzie za dużo naszych śladów. Zamażą się inne. Lilka, czy ten zakład fotograficzny to ty znasz?

— Chodziliśmy razem do szkoły — odparła Lilka. — To znaczy z właścicielem. Do jednej klasy. Już wtedy był bardzo porządnym kumplem.

Porządny kumpel Lilki zobowiązał się wywołać film na jutro i nawet obiecał zrobić odbitki. Po jednej sztuce. Ekspres do Marka wysłałam. Lucyna ogłupiała Zbyszka gruntownie, wydebiła od niego nie tylko aktualny adres owego znajomego z MSW czy też kontrwywiadu, ale także zaproszenie go na obiad. Przypilnowała, żeby Zbyszek zadzwonił, stojąc nad nim jak kat i podsłuchując, co mówi osobnik z drugiej strony drutu. Osobnik wydawał się cokolwiek zdziwiony, ale zaproszenie przyjął, tyle że nie wcześniej jak za trzy dni. Nie mogliśmy od niego zbyt wiele wymagać, zważywszy, iż mieszkał w Katowicach i bez żadnych racjonalnych przyczyn miał się oderwać od zwykłych zajęć wyłącznie po to, żeby przyjechać na obiad do Cieszyna. Przez telefon, rzecz jasna, nikt nie wspominał o prawdziwej przyczynie zaproszenia.

Nazajutrz, jak wygłodniałe hieny na padlinę, rzuciłyśmy się na film i odbitki.

Było tego 72 sztuki. Ciocia Jadzia miała aparat ustawiony na slajdy i na każdej klatce robiła dwa zdjęcia. Wykonawszy z tego negatyw i odbitki, zniszczyłyśmy jej bezpowrotnie wszelką możliwość zrobienia slajdów, ale ostatecznie Teresa była ważniejsza. Ułożyłyśmy całość kolejno, według filmu.

Cztery pierwsze zdjęcia istotnie prezentowały cudownej piękności białego, angorskiego kota. Pozostałe relacjonowały wiernie przebieg naszej podróży. Wydzierając sobie wzajemnie lupę filatelistyczną ojca, którą zawsze nosił przy sobie, gapiliśmy się na nie jak wół na malowane wrota. Sześć zdjęć w ogóle nie wyszło, niektóre z pozostałych zaś zdziwiły nas niezmiernie, bo wyobrażonych na nich scen w żaden sposób nie umiałyśmy sobie przypomnieć. Zaczęłyśmy się zastanawiać, czy nie wezwać cici Jadzi, żeby wyjaśniła, co właściwie fotografowała i z jakiego miejsca. Tylko ojciec oglądał w milczeniu.

— Przypatrujmy się, co jest w tle — zaproponowałam. — Ona mogła złapać coś zupełnie przypadkowo.

— Tutaj w tle jest to miejsce, gdzie jacyś ludzie oglądali was przez lornetkę — rzekła Lucyna. — Na pierwszym planie moja siostra kuca, a na dalszym dzieją się podejrzane rzeczy.

— Nie wiem, czy nie kazać zrobić powiększenia — rzekła Lilka. — Na tym dalszym planie nic nie można rozpoznać. Moim zdaniem podejrzane rzeczy dzieją się w żywopłocie.

W Malborku tło stanowiły mury zamkowe, w Oliwie zaś napis Fabryka Czekolady “Bałtyk”. Żaden z tych elementów nie wydał nam się podejrzany. Więcej materiału do rozważań dostarczył Sopot.

— Na froncie jest twój samochód, a w głębi jakieś dwie zmazy — oznajmiła Lilka z przejęciem. — Chyba tyłem. Odłożyć do powiększenia?

Odebrałam jej zdjęcia i lupę.

— Nie potrzeba, te dwie zmazy to Teresa i ja. Natomiast za moim samochodem widzę kawałek podejrzanego peugeot. Nie ma go tam gdzieś jeszcze?

— Jest — odparła Lucyna. — To chyba Władysławowo. Peugeot w całości i coś dziwnego, ale nie wiem co.

— Kurczę blade — powiedziałam z rozgoryczeniem, obejrzawszy zdjęcia. — Ta ciocia Jadzia nie ma pojęcia o czynnościach śledczych. Zobaczcie, jest peugeot, ale tak., żeby, broń Boże, nie można było odczytać numeru. A to coś dziwnego, to jest jego wewnątrz z kraciastą torbą. Trochę ciemne.

Zdjęcia i lupa zostały mi natychmiast wydarte. Po licznych wspólnych wysiłkach udało nam się stwierdzić, że na tylnym siedzeniu peugeot istotnie widać podobiznę kraciastej torby, przy ręczce torby zaś wisi coś jakby wizytówka w ramkach. Na wizytówce zapewne jest napis, być może nazwisko właściciela. Odkryłyśmy, iż następne zdjęcie prezentuje peugeot skosem, tak że numer od biedy mógłby być widoczny, gdyby nie nazbyt wielka odległość. Ani na wizytówkę, ani na numer żadna lupa nie pomagała. Tylko fachowcy mogliby odczytać na tych zdjęciach nierozpoznawalne dla nas elementy.

Zapatrzona w przedmioty, przeoczyłyśmy ludzi, ale zwróciła na nich uwagę Lilka.

— Ja tu widzę jakieś obce osoby — stwierdziła. — Nie znam ich, ale się płaczą. Wy znacie? Ten facet w żółtej koszuli już trzeci raz się powtarza.

Zmieniłyśmy kierunek zainteresowań i po pewnym czasie udało nam się odgadnąć, że obce osoby z żółtą koszulą na czele znajdowały się w Mielnie. Ciocia Jadzia w swoim nieopanowanym szale fotografowała, nie tylko nas, ale także cały tłum dookoła, w tłumie zaś istotnie pętał się młody facet w żółtej koszuli i to w kilku miejscach. Wpatrzyłam się pilnie.

— Ha! — wrzasnęłam triumfująco. — Jest baba w zielone grochy!

Znów mi wyszarpały zarówno zdjęcia jak i lupe. Wyteżywszy wzrok i wyobraźnię, można było rozpoznać między samochodami grubą babę w spodniach i w bluzce w zielone grochy. O takiejże babie wspominała dziewczyna w Polanicy, nie mógł to zatem być przypadek. Wszystko się zgadzało, najwyraźniej w świecie tajemniczy wróg, złożony z kilku osób płci obojga, czyhał na Teresę, jeżdżąc za nią po całej Polsce z niewiadomych, powodów i w nie znanym celu.

— No i co właściwie z tego wiemy? — spytała Lucyna z irytacją. — Po jakiego diabła usiłowali rąbnąć ten film? Oglądamy go, mamy zdjęcia i co? Możemy im zrobić coś złego?

— Rozpoznać ich na ulicy i dać im po łbie — zaproponowała moja mamusia z determinacją.
. — Już widzę, jak lecisz na rynek i walisz w łeb każdego faceta w żółtej koszuli...

— Jedno z dwojga — powiedziałam w zadumie. — Albo nie byli pewni, co tu jest, i myśleli, że wyszli wyraźnie, albo liczyli się z tym, że obejrzą to fachowcy. Eksperci od tych rzeczy potrafiliby wszystko, powiększyć gęby, odczytać numer samochodu i nie wiem, co tam jeszcze. Teresy nie ma, diabli ją wzięli i coś mi się wydaje, że prostymi sposobami nie uda nam się jej znaleźć...

— No to na co czekamy? Trzeba to dać fachowcom!

— Jakim? Masz ich pod ręką? Polecisz na milicję opowiadać o wszystkim teraz, kiedy to już zaczyna wyglądać całkiem głupio?

— No nie... Ale jakiś fachowiec powinien się tym zająć...

— Zróbmy coś! — zażądała moja mamusia nerwowo. — Jak to, nic nie umiecie wymyślić? Nie wiadomo, co się dzieje z Teresą, to już za długo trwa, ona tego w końcu nie wytrzyma!

Posepnie wpatrywaliśmy się w kolorowy stos fotografii, w których drzemała niedostępna nam tajemnica. Ktoś, kto potrafiłby ją rozwikłać, był upragniony niczym oaza na pustyni.

— No tak, teraz już i ja widzę, że nie ma siły — westchnęła smętnie Lilka. — Ten obiad trzeba będzie zrobić. Sami do niczego nie dojdziemy, a i urzędową drogą też nie da rady. Tylko od kuchni...

*

Wieść nadesłana przez obcą osobę na karcie pocztowej głosiła, że damę z pierścionkiem, zawierającym pięć czerwonych kamieni, widziano w Raciborzu nad rzeką Odrą. Na dzikiej plaży pod miastem myła sobie nogi. Czarna torba stała obok.

Na wszelki wypadek postanowiłam udać się do Raciborza razem z ojcem, aczkolwiek informacja wydała nam się zaskakująca. Sprawdzić jednakże należało. Swoją decyzją spowodowałam lekkie zamieszanie, tego dnia bowiem miał przybyć na ucztę oczekiwany w napięciu bardzo ważny facet od podróbek.

Przybywał dzień wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Jako człowiek uprzejmy i dobrze wychowany zadzwonił, że sprawy mu się pokreśliły i może się znaleźć w Cieszynie albo wcześniej, albo wcale, więc jeśli nam to nie pasuje, z wielkim żalem musi zrezygnować. Nazajutrz też jeszcze będzie w Cieszynie, ale tylko do południa, potem zaś musi jechać zupełnie gdzie indziej. Obok Zbyszka, który przyjmował telefon, stała na szczęście, czy może na nieszczęście, Lucyna, zaproszenie zostało zatem natychmiast dostosowane do możliwości gościa.

Ojca wyekspediowano ze mną do Raciborza dość skwapliwie, małe istniały bowiem szanse, że mi ucieknie z samochodu i zginie, za to duże, że znów gdzieś przepadnie, poszedłszy na ryby. Lucyna i moja mamusia nie rwały się do wycieczki, przekonane, iż karta stanowi czyjś głupi dowcip lub też pomyłkę, co i ja sama również podejrzewałam. Po jakiego diabła Teresa miałaby udawać się do Raciborza? Specjalnie po to, żeby właśnie w tym kawałku Odry umyć sobie nogi? Pomijając już idiotyzm takiego przypuszczenia, nikt nie miał pojęcia, jakimi sposobami możnaby ją tam odszukać albo w ogóle czegokolwiek się o niej dowiedzieć. Pomimo to zapowiedziałam, że zaraz wracam, i odjechałam.

Dzikię plaże nad Odrą obydwójce z ojcem zwiedziliśmy dosyć dokładnie, po czym kiedy zamierzałam już wracać, urwała mi się linka sprzęgła. Spodziewałam się tego i miałam nową przy sobie, niemniej posiadanie przy sobie nawet całego samochodu w postaci części zamiennych nie oznacza jeszcze, że zdoła się te części zamontować. Linka urwała mi się na drugim biegu, nie zostałam zatem całkowicie unieruchomiona, ale i tak wydałam dwieście złotych drobnymi, wynagradzając pomocników przy ruszaniu na pych. Ściśle biorąc, wynagradzał ich ojciec, który leciał za mną przez całe miasto na piechotę. Późnym popołudniem zostałam wreszcie przyjęta w warsztacie, gdzie trzeba było już tylko przeczekać mercedesa, stojącego na jedynym kanale.

W trakcie oczekiwania konwersowałam z personelem. Nie kryłam celu, dla którego znalazłam się w Raciborzu, z rozgoryczeniem wypowiadając się na temat rezultatów, i przy okazji, całkowicie zresztą beznadziejnie, wpytując, czy nie widzieli przypadkiem wiśniowego peugeot. Personel w postaci jednego bardzo usmolonego chłopaka zainteresował się moim gadaniem.

— Wiśniowy peugeot to tu nawet był — zawiadomił mnie, przekrzykując silnik mercedesa, któremu ustawiał zapłon i wolne obroty. — Olej kazali sobie wymienić, tak że dwa dni temu, i draka się zrobiła, bo pasażerka im uciekła.

Teraz z kolei ja się zainteresowałam. Chłopak wyjechał mercedesem znad kanału, wepchnął nań mojego Volkswagena, wlaź pod spód i przystąpił do montażu linki. Siedząc nad nim w kucki, bez mała z głową pod samochodem, wysłuchałam opowieści o wydarzeniu.

Jak się okazało, peugeotem jechały trzy osoby, dwie baby i facet. Z tą zmianą oleju były trudności, ani miejsca, ani czasu, bo sama widzę, że mają tu pełne ręce roboty, więc najpierw facet, a potem i jedna z bab poszli się użerać z szefem. Druga baba spała na tylnym siedzeniu, przez ten czas się obudziła, wylazła z samochodu i gdzieś poszła. Tamci dwoje wrócili, zobaczyli, że jej nie ma, i podnieśli straszny krzyk. Raban się zrobił niemożliwy, bo podobno to była ich kuzynka, cokolwiek szmyrgnięta. Jak poszła w miasto, tak nie wiadomo, co mogła narozrabiać. Latali, szukali, ale chyba jej nie znaleźli, w każdym razie zmianę oleju załatwili i odjechali dopiero potem. On sam im zmieniał i faktycznie, należało się, całkiem czarny już był, spalony.

— A ta szmyrgnięta kuzynka jak wyglądała? — spytałam zachłannie.

— A bo ja wiem? Nie patrzałem. Znaczy się, tylko widziałem, jak wysiadała, ale co mnie obchodzi, że pasażer wysiada. Jego prawo. Spojrzałem tylko, bo boso wysiadła.

— Jak to boso? Całkiem bez butów?

— A całkiem. Ale się połapała chyba, że coś niedobrze, bo zawróciła do wozu i buty wzięła. W ręku je niesła.

— Nie zauważył pan, jakiego koloru były te buty?

— Co miałem nie zauważyć, czerwone. Moja matka przyśpiewuje taką piosenkę: “czarne buty do roboty, czerwone do tańca” i zaraz mi się ta piosenka uczepliła, że pozbyć się nie mogłem. Jeszcze na drugi dzień śpiewałem jak głupi.

Mimo kolosalnych wysiłków żadnych więcej wiadomości o Teresie w Raciborzu nie uzyskałam, ale zarówno montaż linki sprzęgła, jak i zapał, jaki obydwój z ojcem okazywaliśmy w poszukiwaniach, sprawiły, że wytworny obiad nas ominął. Do reszty skołowani wróciliśmy do Cieszyna późnym wieczorem i przebieg uroczystości poznałam wyłącznie z relacji Lilki. O efektach zabiegów ani Lucyna, ani moja mamusia nie życzyły sobie rozmawiać, Zbyszek zaś nie życzył sobie rozmawiać z nikim na żaden temat. Po moim odjeździe komplikacje leżyły się nadal jak króliki na wiosnę. Ledwo się oddaliłam, zadzwonił jakiś facet z informacją, że ma wiadomości o Teresie, ale jedzie właśnie do Czechosłowacji i może najwyżej poczekać w Zebrzydowicach, przepuszczając jeden pociąg. Następny ma za

parę godzin. Moja mamusia i Lucyna wpadły w histerię, nie wiedząc, co robić, bo tu obiad, a tu Teresa, Lilka jednakże szlachetnie oświadczyła, że jakoś da sobie radę, pojechały zatem na spotkanie i wróciły dopiero wprost na biesiadę. Spotkanie okazało się bezowocne, bo facet był tym samym, który złożył wizytę w Polanicy w czasie naszej nieobecności. Widział Teresę, owszem, jechał z nią nawet kawałek autobusem, przyglądał się jej, bo nie był pewien, czy to ona, w końcu postanowił ją zaczepić i porozmawiać, ale wtedy nagle zerwała się z miejsca i wysiadła. Było to jeden przystanek przed Otmuchowem, namyśliła się wysiąść w ostatniej chwili, o mało jej drzwi nie przytrzymały. Przedtem coś czytała. Nie wyskakiwał za nią, bo nie wiedział czy trzeba.

Informacje były cenne, ale pochodziły z zamierzchłych czasów, co najmniej sprzed czterech dni i obecnie nie przynosiły nic nowego. Facet bardzo się zmartwił, że jest nieprzydatny, życzył nam wszystkiego najlepszego i oddalił się do Czechosłowacji.

Pozostawiona w Cieszynie na gospodarstwie Lilka, rozumiejąc doniosłość sytuacji, rzuciła się przede wszystkim na podróbki. Podróbek jednakże nie było, z mięs mogła dostać tylko kurczaki, powstrzymała się przed nabyciem flaków wieprzowych, w ostatniej chwili uświadomiwszy sobie różnicę między wieprzowymi i wołowymi, zawahała się, co robić, i w tym wahaniu spotkała przyjaciółkę. Przyjaciółka, przejęta kłopotem, doradziła jej, żeby kupiła wymięczko.

— Co proszę? — spytała Lilka, nieco zaskoczona.

— Wymięczko. Bardzo dobre, dam ci przepis. Lilka patrzyła na nią baranym wzrokiem, przyjaciółka zatem z lekkim zniecierpliwieniem uzupełniła radę.

— No i cóż się tak patrzysz? Wymięczko mówię, znaczy wymię, jest w sklepie na rogu.

— Krowie wymię? upewniła się Lilka.

— A czyjeżby? Pewnie, że krowie. Trzeba to ugotować, pokroić na plastry, obtoczyć w jajeczku, w bułeczce i usmażyć. Takie sznycelki z tego wyjdą, mówię ci, naprawdę bardzo dobre.

Oszołomiona nieco i zdesperowana Lilka kupiła zatem wymię i przyniosła do domu. Obejrzała je nieufnie, obmacała, mięciutkie było, delikatne, obgotowała więc z lekka w osolonej wodzie i przyrządziła zgodnie z przepisem. Sznycelki istotnie wyszły i obiad był gotów w terminie. Zaproszony gość i moja mamusia z Lucyną przybyli równocześnie. Zbyszek, dla którego ów facet stanowił służbowo nadrzędną instancję, zaniepokojony trochę naszymi zamiarami, wołał na wszelki wypadek rzucić go całkowicie na pastwę Lucyny i sam nie brał udziału w rozmowie. Udał się do ogródka i podlewał kwiatki. Lucyna dyplomatycznie brylowała przed osobnikiem, nie wspominając jeszcze na razie o interesie, uważała bowiem, iż

rozsądniej będzie przypuścić szturm po obiedzie. Miała przy tym cichą nadzieję, że obydwój z ojcem zdążymy wrócić z Raciborza i nieco jej w tych zabiegach pomożę.

Podlewający kwiatki Zbyszek spóźnił się na posiłek i był jeszcze przy zupce, kiedy Lilka uznała za słuszne podać na stół sznycelki. Atmosfera panowała raczej swobodna i familiarna. Ani Lucyna, ani moja mamusia smażonych potraw nie jadały, dla nich był zatem kawałek gotowanej ryby, wyglądający znacznie mniej apetycznie niż honorowe danie. Gość spróbował sznycelka jako pierwszy, Lilka zaś, ciekawa wrażenia i odrobinę niespokojna, obserwowała go spod oka. Włożył kawałek do ust, na moment zamarł, a potem zaczął gryźć.

— Widzę, rozumiesz, że on to żuje i żuje, i żuje... — opowiadała mi później wieczorem. I nic mu z tego żucia nie wychodzi. W końcu tak dyskretnie wyjął coś z pyska i odłożył na talerz. Myślę sobie, że chyba jest niedobrze, więc prędko też spróbowałam. Ukroić się nawet dało, ale potem... Koniec! Słuchaj, opona samochodowa, nic innego! I to chyba od ciężarówki!

Zbyszek skończył zupkę i również przystąpił do spożywania sznycelka. Lilka z kolei zaczęła obserwować spod oka męża, zastanawiając się, czy powie coś, czy nie. Zbyszek poruszył szczękami, zamarł i spojrzał na nią.

— Coś ty zrobiła... — powiedział z tak śmiertelną zgrozą i wyrzutem, że spłoszona Lilka pomyślała sobie, iż jeśli teraz się z nią nie rozwiedzie, to już z pewnością nigdy.

Gość mężnie zwalczył potrawę na talerzu, przełykając całe kawałki już nawet bez prób pogryzienia. Lilka poszła za jego przykładem. Zbyszek zbuntował się i połowę zostawił. Moja matka i Lucyna przyglądały się temu mocno stropione i niespokojne, pełne wątpliwości, czy istotnie ucztą usposobiła gościa dostatecznie przychylnie.

Po obiedzie z determinacją przystąpiły do załatwiania interesu, ale skutek był okropny. Wysłuchać całej historii, facet wysłuchał, nawet z zainteresowaniem, ale już po pierwszych słowach na temat prywatnego śledztwa zdenerwował się niebotycznie. Wyparł się stanowczo wszelkich swoich możliwości, wszelkich związków z jakimkolwiek instytucjami, które te możliwości posiadają, i głęboko zde gustowany poradził oddać sprawę w fachowe ręce milicji. Dalej w ogóle na ten temat rozmawiać nie chciał i oddalił się, prawie obrażony.

— Lucyna mówi, że wszystkiemu winne to cholerne wymiaczko — zwierzyła mi się Lilka, wręcz niepokieszona. — Mnie się też tak wydaje. Zbyszek jest zły jak diabli, mówił że gdyby wiedział, jak się to skończy, za skarby świata by się do niego nie odezwał i że teraz już chyba do emerytury może się pożegnać z podwyżkami. Możliwe, że ma rację. Ja tej kretynce powiem jutro parę słów!

Nazajutrz o ósmej rano zrobiła awanturę przyjaciółce, która namówiła ją na znakomity frykas. Przyjaciółka okazała wielkie zdziwienie.

— Chyba coś pokręciłaś — rzekła podejrzliwie. — Jak to przyrządziłaś?

— Tak jak kazałaś. Obgotowałam w wodzie...

— Ileś czasu gotowała?

— Parę minut. Miękkie było. Bo co? Przyjaciółka chwyciła się za głowę.

— Ty głupia, to się gotuje najmarniej dwie i pół godziny! Inaczej nawet pies tego nie pogryzie! Tyś mu to dała surowe...!

Lucynę i moją mamusię odblokowało już wczesnym rankiem. Gorączkowo zastanawiały się, jak nadrobić okropny błąd. Wspólnymi siłami uradziły, iż należy ponowić próbę umizgnięcia się do faceta, przy czym wystąpić mam teraz ja. Kategorycznie odmówiłam umizgów, a Lucyna po namyśle poszła za moim przykładem. W ten sposób, przez idiotyczne krowie wymię, znaleźliśmy się w ślepych zaułku, bez żadnych szans na wyjście...

*

Nowy pomysł Lucyny polegał na tym, żeby dać zakamuflowane ogłoszenie do prasy. Na czym miał polegać kamuflaż i jaką treść zawierać mogło ogłoszenie, nie zostało uzgodnione, pomysł mi się nie podobał i odmówiłam udziału. Lucyna i moja mamusia jednakże kazały Zbyszkowi natychmiast zawieźć się do Wisły, ponieważ tam rezydował chwilowo jeden ze znajomych dziennikarzy, który podobno mógł to załatwić szybciej przez kumoterstwo. Lilka została zobowiązana przez Zbyszka do podlania kwiatów w ogródku i na jedno popołudnie jej dom opustoszał.

Tę właśnie chwilę szczęśliwie wybrał sobie Marek. Akurat wróciłam z ogródka do mieszkania po papierosy i sama odebrałam telefon.

— Lepiej nikomu nie mów, że tu jestem — powiedział ostrzegawczo, poznawszy mnie od razu po głosie. Coście narozrabiali, rany boskie! Z taką rodziną człowiek musi zwariować. Możesz się ze mną spotkać tak, żeby nikt o tym nie wiedział?

Doznałam niebotycznej ulgi. W gruncie rzeczy ta Teresa gnębiła mnie niewymownie, ale ukrywałam to z. największą starannością, nie chcąc doprowadzać mojej coraz bardziej zdenerwowanej mamusi do zupełnego szaleństwa. Niepokoiliam się jednak porządnie i sama obecność Marka natychmiast podniosła mnie na duchu. Jego objawienie się znienacka w Cieszynie i chęć utrzymania tajemnicy przed rodziną nie zdziwiły mnie zupełnie, przywykłam już bowiem do niezwykłości jego poczynań. Zarazem byłam bardzo ciekawa, bo czułam, że on coś wie. Skwapliwie umówiłam się za pół godziny nad Olzą koło wodospadu.

— Weź ze sobą te tajemnicze materiały, które koniecznie chcieliście oddać do ekspertyzy — dodał zgryźliwie i z niejakim rozgoryczeniem w głosie.

— A mogę wziąć ze sobą i Lilkę? — spytałam ostrożnie.

Marek zastanawiał się przez chwilę.

— Lilkę możesz. Ale nikogo więcej. I nie bierz samochodu.

Ostrzegłam go jeszcze, że gdzieś tam nad Olzą błąka się ojciec, który wczesnym popołudniem poszedł na ryby, zabrałam zdjęcia, film, podkówkę i latarkę, bo już zaczynało zmierzchać, oderwałam Lilkę od podlewania kwiatów i ruszyliśmy na spacer.

Do wodospadu spokojnie można było dojść w ciągu dwudziestu minut, a po drodze nie przewidywałam żadnych przeszkód. Dawno się tak nie pomyliłam.

Nad Olzą przede wszystkim spotkałyśmy ojca, który złapał cztery płotki i właśnie zamierzał wracać. Lilka wręczyła mu klucz od mieszkania i pouczyła, jak ma się nim posłużyć. Potrwało to dość długo, bo ojciec za nic w świecie nie chciał pogodzić się z faktem, że jej klucz pasuje do dwóch zamków i w jednym należy przekręcać go wprost, a w drugim odwrotnie. Oddalił się wreszcie, pełen nieufności i wielce zdegustowany. Popatrzyliśmy za nim, żeby sprawdzić, czy nie zawraca nad rzekę.

Zaraz potem zatrzymała nas jakaś starsza pani, dopytując się, czy nie widziałyśmy pieska. Ścisłe biorąc suczki. Czarno-biała spanielka uciekła jej, a jest właśnie w takim stanie, że wszystkie psy z okolicy będą za nią latały, ona zaś jest rasowa i z byle kim nie może się zadawać. Widziałyśmy wielką gromadę psów po drodze, głupio przyznałyśmy się do tego, musiałyśmy więc wrócić i pokazać tej pani, gdzie się owe psy kotłowały. Osobiście byliśmy zdania, że na ochronę suczki przed mezaliansem jest już i tak za późno, ale pani bardzo nalegała.

— Chodź prędzej! pogoniła mnie Lilka, kiedy oderwałyśmy się wreszcie od psich mariażów. — Ciemno się robi, nie znajdziemy go tam nad tym jazem.

— On widzi po ciemku — odparłam pocieszająco, ale przyspieszyłam kroku.

Istotnie, zmrok zapadł szybko, na zalesionej skarpie nad Olzą nic już prawie nie było widać. Szłyśmy trochę po omacku, nie używając latarki. Alejka była dość szeroka, z prawej strony, w dole, przeblyskiwała woda, z lewej wznosiło się stromo zalesione zbocze. Ludzi nie spotykałyśmy już wcale, nie wiadomo dlaczego, bo alejka stanowiła na ogół ulubione miejsce spacerów.

— Co tu dzisiaj tak pusto? — spytałam podejrzliwie.

— W czwartki “zawsze jest pusto” wyjaśniła Lilka. — Wszyscy siedzą w domach i oglądają kobrę. Czeka! Ktoś tam się chyba kotłuje...

Mimo woli zatrzymałyśmy się, nasłuchując. Przed nami, wysoko na skarpie, słychać było jakieś hałasy i trzaski, jakby ktoś zjeżdżał w dół, przedzierając się gwałtownie przez gęste zarośla. Ruszyłyśmy krok dalej, ale usłyszałyśmy głucho łupnięcie, jęk i głośniejszy trzask. Znowu nas to zatrzymało, brzmiało niepokojąco, w ciemnościach takie dźwięki zawsze robią mocne wrażenie. Ktoś tam się bił czy może spadał...Hałasy zabrzmiały głośniej.

— Ty, czy to nie Marek? — zaniepokoiła się szeptem Lilka.

— Oszalałaś! — zaprotestowałam z oburzeniem, również szeptem. — Zszedłby tędy sto razy, nawet spętany, i też byś go nie usłyszała! Jakaś pijana łajza wali się na zbity pysk. Odsuńmy się, bo wpadnie na nas.

— Jeszcze wleci do rzeki...Może mu zastawić drogę ze względów humanitarnych? j

— Kicham na względy humanitarne, niech wlatuje. Bezustannie jakieś podejrzone typy pętają się koło nas w egipskich ciemnościach. Mam ich dosyć!

Znowu ruszyłyśmy i w tym momencie kotłująca się po skarpie osoba z okropnym trzaskiem runęła na ścieżkę tuż przed nami. Zatrzymała się na gęstych krzewach z jękiem. Nie wytrzymałam i poświeciłam latarką.

W widok, jaki zaprezentował się naszym oczom, p było wręcz trudno uwierzyć. W gałęziach rozłożystego krzaka leszczyny, tuż przy ścieżce, siedziała ze łzami w oczach podrapana, rozczochrana, utyłana w zielsku, igliwiu i patykach, beznadziejnie nieszczęśliwa ciocia Jadzia...! W pierwszej chwili pomyślałam, że mam halucynacje.

— Wszelki duch! — powiedziała Lilka półgłosem, tonem absolutnego osłupienia. — Przywidzenia czy co? Zgiń, przepadnij, maro, a kysz, a kysz...

— Kto to?! — krzyknęła ciocia Jadzia zarazem roztrzęsiona i zdeterminowana. — Proszę mi pomóc! Gdzie ja jestem?!

— Według moich wiadomości, w Warszawie — odparłam, ciągle potężnie oszołomiona. — Co, na litość boską, robisz tutaj i dlaczego zjeżdżasz na tyłku po skarpie w Cygańskim Lasku?! Skąd się tu wzięłaś?!

— Kto tu jest?! — krzyknęła ciocia Jadzia wręcz rozdzierająco, próbując się podnieść i osłaniając oczy.

Zreflektowałam się, przestałam ją oslepiać i oświetliłam Lilkę i siebie. Ciocia Jadzia z jękiem ulgi zaczęła wyłazić z krzaka leszczyny. Pomogłyśmy jej, postawiłyśmy ją na nogach, uwolniłyśmy z więzów roślinności. jej torbę, której nie wypuściła tylko dzięki temu, że miała ją przewieszoną przez rękę. Zamek trzymał, nic się nie pogubiło po drodze.

— Dostałam list od twojego ojca i przyjechałam natychmiast — powiedziała nerwowo ciocia. Jadzia, z wolna przychodząc do siebie. — Boże wielki, co wy tu robicie, dlaczego

Teresa uciekła do Szczecina, dlaczego ukradzioną łodzią, a nie pociągiem, dlaczego ubieracie się w ścierki, co to za gach ją goni, kto to jest i oczywiście, że ja rozpoznam moje zdjęcia, ale w ogóle o po chodzi?!

Ani Lilka, ani ja, ani nawet obie razem nie byłyśmy w stanie odpowiedzieć na te niezwykle pytania. Pozostawiłam je na później, z doświadczenia wiedząc, że przetłumaczenie listu ojca wyjaśni wszystko za jednym zamachem. Otrzeptałyśmy ciocię Jadzię ze śladów podróży z góry na dół, stwierdzając, że w zasadzie wyszła z niej bez szwanku i jedyne, co jej zostanie, to prawdopodobnie siniaki i parę zadrapań.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego szlajasz się w ciemnościach po Cygańskim Lasku, zamiast zwyczajnie iść do mnie? — spytała grzecznie Lilka.

— Zapomniałam, gdzie mieszkasz — odparła cipcia Jadzia ze skrucą. — Miałam zapisane, ale nie wzięłam kalendarzyka. Zapomniałam, gdzie pracujecie. Pytałam o Wiśniewskich i pokazali mi drogę, ale to było w zupełnie innej stronie, w ogóle nie znam tamtej okolicy, pomyślałam, że to coś nie tak...

— Pewnie pokazali ci drogę do mojej teściowej — przerwała Lilka.

— Możliwe. Nie wiem. Chciałam znaleźć fabrykę, bo tam mogli mi coś powiedzieć i w ogóle stamtąd już bym trafiła, więc zaczęłam pytać o fabrykę i skierowali mnie tutaj. W tę stronę. Z początku wydawało mi się, że dobrze idę, ale potem znów okolica zrobiła się nieznana, a co kogo spytałam, to ciągle mówił, że tu. Zrobiło się ciemno i nie wiem, jakim sposobem znalazłam się w tym lesie, chyba zablądziłam, więc chciałam dojść do rzeki, bo rzeką zawsze można trafić. Potknęłam się na samej górze i już się nie umiałam zatrzymać. Gdzie ja właściwie jestem i dlaczego ci ludzie tak mnie oszukali? To przecież niemożliwe, żeby fabryka mogła być tu?

— Owszem, jest tu — odparła Lilka melancholijnie.

Prawdopodobnie nie mówiłaś, o jaką fabrykę ci chodzi, i bardzo dobrze szłaś prosto do fabryki narzędzi precyzyjnych, w której pracował kiedyś mój ojciec. Gdybyś nie zboczyła w stronę Olzy, trafiłabyś do niej z całą pewnością.

— O mój Boże, a skąd ja mam wiedzieć, że tutaj są dwie fabryki...

Odprowadzimy cię do domu — powiedziałam z westchnieniem. — Pokażemy ci go palcem i wrócimy, bo mamy tu jeszcze jeden interes do załatwienia.

U Lilki w domu jest ojciec, właśnie wrócił z ryb. Możliwe, że zasnął, więc dzwonił porządnie.

Ciocia Jadzia w pewnym stopniu odzyskała już równowagę ducha.

— Ależ nie, nie musicie mnie odprowadzać, ja sama pójdę, tylko podajcie mi adres. Zapiszę sobie i już nie zgubię.

— Zapisać możesz, ale doprowadzimy cię przynajmniej do skraju parku.

W połowie drogi Lilka spotkała znajomego człowieka, który mieszkał na tej samej ulicy o kilka domów dalej. Przekazaliśmy ciocię Jadzię w jego ręce, odebrawszy przysięgę, że doprowadzi ją pod same drzwi. Poniósł nawet jej torbę.

— Teraz już rozumiem to, co mówiłaś, że cała rodzina w kupie może doprowadzić człowieka do obłądu — wyznała mi Lilka, kiedy galopem leciałyśmy z powrotem w kierunku wodospadu. — Zaczyna mi się mącić w głowie. Skąd ciocia Jadzia miała te wszystkie pomysły?

— Słyszałaś przecież, ojciec do niej napisał. Dziwię się, że nie mówiła o zbrodni, ojciec wyciąga z wydarzeń bardzo oryginalne wnioski. Domyślam się, dlaczego rzuciła wszystko i przyjechała. Pamiętasz, że po odebraniu zdjęć była mowa, że trzeba ją wezwać i spytać, co i skąd fotografowała? No to ojciec wezwał.

— Dosłyszał?

— Zawsze dosłyszysz nie to, co potrzeba. Ale te jego dedukcje przysparzają mi natchnienia, bo za każdym razem jest w nich jakieś genialne sedno rzeczy.

Dotarłyśmy do wodospadu z blisko godzinnym opóźnieniem. Ciemno już się zrobiło kompletnie, ani w lesie, ani nad wodą nie było widać żywego ducha. Zatrzymałyśmy się nad brzegiem, cokolwiek zasapane i niespokojne.

No i co teraz? spytała Lilka z powątpiewaniem. Przecież on nas nie zobaczy, a my jego tym bardziej. Może powinnyśmy stanąć na tle wody albo wleźć na barierkę? Albo może poświecić latarką?

— Nie potrzeba, znajdzie nas, to wcale nie są żarty, że on widzi po ciemku. Poczekajmy chwilę spokojnie, zaraz tu będzie.

Już jestem powiedział Marek za nami półgłosem. Wyglądał jak najprawdziwszy wędkarz, wracający z połowu. Byłam absolutnie pewna, że miejsce, gdzie można bez przeszkód świecić i rozmawiać, ma już upatrzone. Nie pomyliłam się w przewidywaniach.

Mam tylko nadzieję, że nie złapałeś żadnej ryby przy okazji powiedziałam. — Bo musiałabym coś zełgać, skąd ja mamy.

— Owszem, złapałem, nawet kilka. Dwa liny i parę ładnych okoni. Połowę mogę wam oddać.

Chciałam gwałtownie zaprotestować, zdając sobie sprawę, że nikt z rodziny nie uwierzy, iż poszedłszy na spacer, nałapałyśmy ryb, a Centrala Rybna o tej porze jest zamknięta. Nie mówiąc już o tym, że nikt nie uwierzy w tak znakomite jej zaopatrzenie. Lilka mnie jednakże ubiegła.

— Bardzo dobrze oświadczyła. Chętnie weźmiemy. Żelgamy, że dał je nam jeden znajomy, którego spotkałyśmy, on się nazywa Kurniczek, ryb sam nie jada, bo jego ojciec udławił się ością, a łapie mnóstwo i rozdaje, komu popadnie. Nawet gdyby go ktoś spytał, nie będzie pamiętał, czy dał nam dzisiaj, czy nie. Zrezygnowałam z protestów i machnęłam ręką na ryby, bo miałam na głowie ważniejsze rzeczy. Ciekawiło mnie nieopisanie, co Marek wie, bo zjawiał się tu przecież nie bez powodu. Żywiłam obawy, że niewiele powie, znów każe nam dedukować, a od dedukcji na temat Teresy czułam, jak mi włosy siwieją.

Ulokowaliśmy się w upatrzonym miejscu. Widoczne było ze wszystkich stron, za to podслуhać nas nikomu by się nie udało, widok zaś stanowiliśmy przeciętny. Dłubiący w żyłkach i kołowrotkach facet i dwie dziewczuchy, świecące mu na ręce. Nie byliśmy grube i z daleka można było wziąć nas za dziewczuchy nawet w dość młodym wieku.

Zdałam dokładną relację z wszystkich kolejnych wydarzeń, opisując szczegółowo nasze poczynania i miejsca, w których Teresa była ostatni raz widziana, po czym wręczyłam mu dowody rzeczowe. Co powiedział na temat naszych akcji, lepiej nie precyzować.

Obecność Lilki w każdym razie sprawiła, że było to nieco mniej, niż usłyszałabym w cztery oczy.

— Co wam strzeliło do głowy, żeby żądać od tego faceta prywatnych ekspertyz?! — spytał z irytacją na zakończenie awantury. — Rozumiem jeszcze, że rodzina mogła wpaść na ten pomysł, ale ty...?

Broniłam się wszelkimi siłami.

— To był bardzo dobry pomysł! I w ogóle jedyne wyjście! Tylko w ten sposób mieliśmy szansę czegoś się dowiedzieć, a teraz co? Chałę wiemy!

— Ona ma rację — poparła mnie Lilka żarliwie. — To jest porządny człowiek, na pewno by nam pomógł, wszystko by wykrył! Gdyby się zgodził, oczywiście...

— Nie mógł się zgodzić.

— Owszem, mógł — przerwałam ponuro. — Tylko nie chciał.

Marek spojrział na mnie z naganą.

— A, nie chciał... I uważasz, że dlaczego nie chciał?

— Przez moje wymię — wyznała Lilka z rozdzierającym żalem.

— Przez co?

— Przez moje wymię. No nie wyszło mi, przyznaję, ale naprawdę się starałam!

Rzadko kiedy widywałam Marka tak zaskoczonego. Patrzył na nas wręcz ze zgrozą, jakby nasze pomieszanie zmysłów wydało mu się nagle definitywne i nieodwracalne.

— Co to za jakaś przenośnia? — spytał nieufnie.

— Żadna przenośnia — odparłam smętnie. — Chciałyśmy go znieść przysmakiem. Trochę się podobno nie udał, a on zaraz się na nas obraził i w ogóle rozmawiać nie chciał. Dziwny człowiek.

Po szczegółowym opisie uczty i jej rezultatów musiałyśmy odczekać, aż Marek przestanie się śmiać. Wściekłość, chwała Bogu, przeszła mu, jak ręką odjął. Odzyskał mowę i wyprowadził nas z błędu.

Mogłyście mu dać bażanty, kawior, ostrygi i frutti di mare, zjeść by pewnie zjadł...

Każdy by zjadł przerwała z rozgoryczeniem Lilka.

— Ja nie! — zaprotestowałam kategorycznie. — Frutti di mare mają wąsy...

...ale że rozmawiać z wami nadal by nie chciał, to pewne ciągnął Marek. Wybijcie sobie z głowy takie rzeczy raz na zawsze, żadne milicje, żadne MSW, żadne kontrwywiady, żadne takie instytucje nie załatwiają nikomu prywatnych ekspertyz! Czy wam coś w ogóle na umysł padło, czy co? On mógłby się na to zgodzić, czemu nie, gdyby mu akurat zależało, żeby stracić pracę i jeszcze dodatkowo mieć rozmaite przykrości. Kumoterstwo w kontrwywiadzie. Boże, co za pomysł!

Po pewnym czasie udało nam się wrócić do rzeczowej rozmowy. Symulując dłubanie w haczykach, Marek obejrzał zdjęcia i papierową serwetkę. Telefonicznym złotówkom nie poświęcił uwagi.

— Czego dotyczy ta mapka, pewnie nie wiesz? — spytał z wyraźną naganą.

A niby skąd mam wiedzieć? Nawet jej nie obejrzałam dostatecznie dokładnie, bo się bałam, że pozacieram ślady.

— Jakie ślady?

— Jakiegokolwiek. Nie denerwuj mnie. Trzeba znaleźć Teresę.

— Trzeba się dowiedzieć, o co tu w ogóle chodzi. Musi być jakiś powód, dla którego Teresa do tej pory nie wróciła samodzielnie i nie życzyła sobie pomocy milicji.

Lilka nie zwróciła uwagi na te słowa, ale mnie tknęło od razu. Ciekawe, skąd brał te wszystkie wiadomości, chyba nie z powietrza...

— Powtórz to jeszcze raz — zażądałam podejrzliwie. — Skąd wiesz, że Teresa nie życzyła sobie pomocy milicji? Co to znaczy? Według mnie, to raczej milicja nie życzyła sobie udzielać pomocy nam!

— Teresa na prośbę milicji pokazała paszport i oświadczyła, że niczego sobie nie życzy, podróżuje po Polsce dla przyjemności i żadnych trudności nikt i nic jej nie sprawia. Zaprzeczyła, jakoby ktokolwiek jej szukał. Nie podoba mi się to.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że mojej mamusi i Lucynie nie spodoba się to jeszcze bardziej, ostrzegłam zatem od razu Lilkę przed skutkami zbytnej szczerości. Należała do rodziny, kiwnęła głową z natychmiastowym zrozumieniem. Zastanowiłam się, co też mogło oznaczać to osobliwe postępowanie Teresy.

— Muszą ją rzeczywiście prześladować jakieś mocno podejrzane swołócze — oznajmiłam z namysłem. — Ona też węszy w tym wszystkim kryminalną aferę. Ja bym do milicji poleciała ekstrakuciem, ale ona od osiemnastu lat mieszka w Kanadzie. Prawdopodobnie uważa, że na wszelki wypadek lepiej w to milicji nie mieszać. Wychodzi z założenia, że u nas milicja zamyka wszystkich, którzy są w coś wmieszani, ganc pomada, czy jako sprawca, czy jako ofiara. Widocznie nie ma chęci przesiedzieć w kazamatach całego pobytu aż do wyjaśnienia sprawy.

Przecież to bzdura — powiedział Marek z niechętnym zniecierpliwieniem.

— Pewnie, że bzdura, ale skąd wiesz, czego ona się boi? A może wiesz...?

— Nie. Jeszcze nie wiem.

Lucyna wyskoczyła z przypuszczeniem, że podrzucili jej przemyt, może ona też tak myśli? Mnie tak coś na to patrzy.

Lilka kiwała głową cały czas, przyświadczać moim słowom.

— Widzi mi się, że Joanna ma rację — rzekła. — Jak znam Teresę, tak całkiem jest to możliwe. Nie wiem, co zrobić, ale znaleźć ją trzeba koniecznie.

Do tej konkluzji już niejako przywykłam. Od tygodnia był to jedyny wniosek, z jakim cała rodzina zgadzała się bez oporów i protestów. Teresę należało znaleźć koniecznie i Marek był jedynym człowiekiem, który mógł tego dokonać. Jakim sposobem, nie potrafiłam sobie wyobrazić, ale miałam do niego nieograniczone zaufanie.

— A może byś tak teraz ty powiedział, co wiesz? — zaproponowałam. — Siedzimy tu jak tabaka w rogu... Dlaczego nagle przyjechałeś i dlaczego w tajemnicy?

— Przyjechałem dlatego, że dostałem od ciebie list. A wiedzieć, wiem tylko tyle, że jakieś podejrzane jednostki usiłowały nakłonić pewnego osobnika do zdradzania tajemnic służbowych i bardzo dziwnej współpracy...

— Nie wygłupiaj się, odpowiadaj jak człowiek!

Marek chował żyłki i haczyki.

Odbitki możecie sobie zostawić, wezmę tylko film i tę podkówkę. Nie wiem, o co tu chodzi, ale jakaś afera istnieje z całą pewnością. Zamierzam ją rozwikłać i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Co teraz zrobisz?

— Nic wielkiego, pójdę po śladach Teresy. Nie ważcie się nigdzie ruszać z Cieszyna, macie tu siedzieć aż do odwołania. W razie gdyby Lilka miała tego dosyć, możecie sobie wynająć pokoje w hotelu “Pod Jeleniem”. I nikomu o mnie ani słowa. Czy ja to wyraźnie powiedziałem? Absolutnie nikomu ani słowa.

To było wszystko, o czym uważał za stosowne nas poinformować, Załatwił z Lilka jeszcze sprawę ryb i posłusznie wróciliśmy do domu.

Zatrzymałyśmy się przed furtką, bo podjechał właśnie Zbyszek z moją mamusią i Lucyną. Zaczekałyśmy na nich, wysiedli i wszyscy razem weszliśmy do ogródka. Zbyszek był zde gustowany, moja matka wielce wzburzona, a Lucyna chichotała.

— Twoja matka zrobiła okropną awanturę na milicji — powiedziała konspiracyjnie. Postanowiła nagle szukać Teresy oficjalną drogą i przyczepiła się do niewinnych ludzi w tutejszej komendzie, że człowieka z zagranicy nie potrafią znaleźć. Siedziało tam tylko jakichś dwóch na dyżurze, oczy na nią wytrzeszczyli, pojęcia nie mieli, o co jej chodzi, a ona im wymyślała od niedołęgów. Potem zaś odmówiła zeznań i nie wiem, co dalej, bo uciekłam. Nie będę za nią oczami świecić.

— Obiecali, że ją znajdą natychmiast rzekła moja mamusia z godnością. Żadnych zeznań nie odmawiałam, tylko nie życzę sobie rozmawiać z nimi o amorach Teresy. Nie wiem, co ich obchodzi przedwojenne amory mojej siostry!

— Dlaczego przedwojenne? — zaciękała się Lilka.

— Bo po wojnie miała męża, więc ja się już nie wtrącam.

Słuchajcie, jest ciocia Jadzia — zawiadomiłam wszystkich. — Spotkałyśmy ją w Lasku Cygańskim, jak zjeżdżała na tyłku po skarpie prosto do Olzy.

— Po co do Olzy? zdziwiła się moja mamusia. — Zamierzała się kąpać? O tej porze?

— Nie, przyjechała na wezwanie ojca i zgubiła drogę.

— Błagam was, wchodźmy cicho — powiedziała Lilka. — Tu na parterze mieszka jedna baba, która ma szmergla na tle tupania na schodach. Zaraz wyleci i zrobi piekło, bo już jest po dziesiątej, a jej mąż jest bratem mojej personalnej...

Posłusznie ucichliśmy w drzwiach. Pół piętra przeszliśmy na palcach, żeby nie bruździć Lilce w jej kadrach, i drugie pół piętra zamierzaliśmy przebyć podobnie, ale na zamiarach się skończyło. Do przebywania czegokolwiek w jakikolwiek sposób staliśmy się nagle absolutnie niezdolni, zamurowało nas gruntownie, radykalnie i na fest. Cała rodzina zamarła w skamieniałym osłupieniu na podeście w połowie piętra.

Przed drzwiami mieszkania Lilki stały jak byk ciocia Jadzia z Teresą!!!

Lucyna potrząsnęła głową i przetarła oczy. Moja mamusia patrzyła na swoją siostrę jak na zjawę z tamtego świata. Zbyszek otworzył usta, ale głos mu z nich nie wychodził.

Ależ Janek na pewno jest w domu — przekonywała żałośnie ciocia Jadzia. — Może śpi, ale kiedyś się przecież obudzi. Podzwońmy jeszcze trochę porządnie!

Cicho! — powiedziała Teresa złym głosem i przytknęła ucho do drzwi. — Chyba go słychać...no, nareszcie!

Mieliśmy doskonały widok na rozgrywającą się nieco wyżej scenę. Bardzo zaspany ojciec otworzył drzwi i w tym samym momencie Teresa schyliła się po torbę, stojącą u jej nóg. Ciocia Jadzia uczyniła to samo. Ojciec spojrział w przestrzeń na wysokości swoich oczu, nie zobaczył nikogo i czym prędzej zamknął drzwi z powrotem. Nastawiona na ruch do przodu Teresa nie zdołała już odzyskać równowagi i walnęła w nie bykiem, aż zadudniło...

Utracone na chwilę zdolności odzyskaliśmy wszyscy jednocześnie. To coś, co wybuchło na klatce schodowej, z całą pewnością bardziej przypominało zbiorowy atak epilepsji niż jakąkolwiek scenę powitania...

*

Nadzieje na automatyczne wyjaśnienie wszystkich tajemnic z chwilą znalezienia Teresy okazały się najzłudniejszymi nadziejami świata. Wyjaśnienia padły, owszem. Zagmatwały sprawę do reszty.

Na łagodne pytanie, co robiła tyle czasu w plenerze i dlaczego nie wracała, Teresa prychnęła jak rozzłoszczona kocica, omal nie rzucając się na nas z pazurami.

— Narobiłam się jak koń za pługiem! — wrzasnęła z irytacją. — Szkoda, — że nie mamy posiadłości wiejskiej, Tadeusz mógłby już spokojnie mną orać, nabrałam wprawdy! I nic z tego wszystkiego nie rozumiem!

— Co to za jakiś bubek woził cię na motorze? — pytała moja mamusia surowo. — To już tak ci zależało na tych bocznych drogach, że nawet te nasze ci nie wystarczały? Zachciało ci się boczniejszych?

— Naprawdę moczyłaś odciski w Odrze pod Raciborzem? — dowiadywała się z zainteresowaniem Lucyna.

To teraz się wreszcie dowiemy, skąd ona wzięła motorówkę — tłumaczył ojciec ciocie Jadzi, która desperacko machała na niego ręką, usiłując go uciszyć.

Taki jakiś niedowarzony chuligan — mówiła z wyrzutem. Nie mogłaś mu kazać jechać od razu do Polanicy?

Teresa była bliska apopleksji.

— Zamknijcie się wreszcie! Dacie mi dojść do słowa czy nie?! Jeżeli się natychmiast nie uspokoiacie, nic wam nie powiem! Pójdę spać i będziecie czekać do jutra!

Zaczynij od początku — zaproponowałam. — Nie zwracaj na nich uwagi i mów do nas. My obie z Lilką słuchamy. Najpierw powiedz, dlaczego zeszedł z tych gór odwrotną stroną i z obcym facetem.

— A skąd ja miałam wiedzieć, że obcy, tam wszyscy byli obcy! — zdenerwowała się Teresa. To jakieś idiotyczne góry, siedemnaście razy wróciłam w to, samo miejsce! Pięć razy pytałam o drogę, rozmaici ludzie pokazywali, szłam w następną stronę i furt wracałam tam, skąd wyszłam! Ten bubek mi się napatoczył jako szósty, powiedział, że był tu kiedyś przewodnikiem i że mnie wyprowadzi. No i wyprowadził!

— Podobno całkiem niezłe ci się po tych turniach schodziło zauważyła życzliwie Lucyna. — Tyle że cię cały czas za kuper trzymał...

— Nie przerywaj jej, bo się zatnie. No mów, co było dalej?

Siedzieliśmy przy kolacji, na którą bardzo przydały się ryby od Marka. Teresa umyła się już i odzyskała wigor. Jej pobyt w łazience cała rodzina przeczekiwała w szalonym napięciu, czyniąc różne przypuszczenia i do czasu do czasu waląc w drzwi dla upewnienia się, że ona tam jest i nie zginęła ponownie. Zbyszek poleciał po klucz dla Lilki, żeby mogła iść na nocleg do teściowej o dowolnej porze nic nie tracąc z narady rodzinnej. Lilka oświadczyła, że przedłuży urlop i jutro nie idzie do pracy. Teresa zgodziła się kontynuować opowieść.

Dalej obcy bubek, wielce zmartwiony, oznajmił, że on też zabłądził. Dawno był tym przewodnikiem i trochę zapomniał. Ale to nic nie szkodzi, już wie, gdzie trafili, zjedzą inną drogą na drugą stronę, pożyczą tam od znajomego motor i Teresę odwiezie.

Pożyczanie motoru potrwało przeszło pół godziny. Teresa przez ten czas umyła sobie nogi przy studni i napiła się mleka, rozmyślając nad wiekiem swego przewodnika. Wydawał jej się cokolwiek za młody na to, żeby przed paroma laty piastować jakąkolwiek funkcję, ale doszła do wniosku, że pewnie piastował ją jako harcerz. Wściekła była na siebie, na ojca i w ogóle na wszystko, więc nie przynaglała go zbyt, chcąc wykorzystać czas na odzyskanie równowagi. Spokojnie poczekała, wsiadła na motor za młodzieńcem i pozwoliła się powieźć w dal. Młodzieniec gawędził z nią uprzednio, wiedział, że mamy kwaterę główną w Polanicy, zaproponował zatem, że od razu ją tam zawiezie. Krótszą drogą, na przełaj, przez las. Oczekująca rodzina niewątpliwie również tam się uda, szczególnie że zostawił we wsi wiadomość o szczęśliwym uratowaniu Teresy i jej zamiarze powrotu do domu motorem.

Teresa miała niejake wątpliwości, czy tak będzie najlepiej, uległa jednak, bo i jechało jej się znakomicie, i te boczne drogi bardzo ją ciągnęły, a okolica była prześliczna.

Młodzieniec w lesie parę razy zboczył, zjechał z góry na dół, wy dostał się na jakąś szosę, przejechał przez wsie i łąki, znów wjechał w górę i w las, wąskimi ścieżkami przebrnął przez kilka potoczków i rozmaite wądoły, długo jechał i ostro, wreszcie zatrzymał się przy starej, ale solidnej, drewnianej szopie. Tamże oznajmił, że znów zabłądził, grzecznie przeprosił, wyjaśnił, że dawno go tu nie było i dlatego ścieżki trochę mu się pomyliły, ale już wszystko w porządku. Wreszcie trafił, już wie, jak jechać. Ta budowla to jest szopa jego brata, który trzyma w niej różne rzeczy, między innymi pożywienie i koche. Zimno się robi, więc może Teresa wejdzie i wybierze sobie coś do okrycia, jakąś chustkę albo co, a w ogóle to najlepiej napiją się kawy i coś zjedzą. Teresa trochę się już zdenerwowała pustkowiem i zawilóściami drogi, która jej zdaniem, osobliwie się przedłużała, ale głodna była niemożliwie i rzeczywiście zmarzła, bo ścierka z Cieszyna jakoś słabo grzała. Poza tym od tej jazdy odgniotło jej się wszystko i wypoczynek był pożądany. Młodzieniec wydawał się grzeczny i pełen skruchy.

— I ja, głupia, zgodziłam się tam wejść! — oznajmiła nam ze zgrozą. — Żeby mnie chociaż ciągnął albo co, ale nie! Zaprosił mnie uprzejmie, a ja weszłam!

Rodzina wreszcie zaniechała komentarzy i uwag, słuchaliśmy z przejęciem, Teresa otrząsnęła się nerwowo na wspomnienie strasznej chwili.

Młodzieniec z galanterią wprowadził ją do szopy, sam wyszedł i natychmiast zrobił coś niepojętego i przeraźliwie okropnego. Mianowicie zamknął drzwi! Oniemiała ze zdumienia i przerażenia Teresa usłyszała szczekanie skobla i kłódki i zaraz potem warkot motoru. Nie wierzyła własnym uszom, nie zdążyła nawet nic krzyknąć i już młodzieńca nie było.

— Myślałam, że mnie szlag trafi, bo od razu zaczęłam się dusić — opowiadała z odrazą, jeszcze teraz trzymając się ręką za gardło i odrobinę siniejąc na twarzy. — Całe szczęście, że te okienka dały się otworzyć i nie miały szyb. Ale zamknięte były od wewnątrz na zasuwki i zanim je otworzyłam...

Cała rodzina wstrzymała oddech. Teresa cierpiała na klaustrofobię i zamknięcie gdziekolwiek natychmiast wywoływało u niej straszne objawy. Oczy wychodziły jej z orbit, siniała i zaczynała się autentycznie dusić. Niegdyś zamek w łazience mojej mamusi zacinał się i pewnego razu wywlekliśmy ją stamtąd półżywą. A nawet ćwierćżywą. Co zaś przeżyłam z nią w windzie, która zepsuła się między piętrami, lepiej nie wspominać.

— No, ale jak już otworzyłaś, to ci przeszło? — spytałam z troską.

Trochę przeszło, ale co to były za okienka! Szpary w deskach, a nie okienka!

— I nie mogłaś przez nie wyleźć? — spytała niedowierzająco moja mamusia.

— A co ja jestem, wąż? Musiałabym się przypląsnąć! Ledwo głowę wystawiłam!

Jak głowa przejdzie, to i reszta człowieka też — powiedziała pouczająco Lucyna.

— A mnie reszta człowieka nie przeszła i już! I odczep się ode mnie! Żeby jeszcze były niżej, może bym i spróbowała, ale ledwie twarzą do nich sięgałam! Tyle że miałam czym oddychać.

— W ogóle można było krzyczeć przerwała stanowczo ciocia Jadzia. — Przez te szpary.

— Można było, czemu nie, tylko nie wiem po co. Ciemna noc, środek lasu i żywego ducha dookoła. Poza tym bałam się.

— Czego?

— Że mnie kto usłyszy.

— No to przecież właśnie o to chodziło!

— Jak komu. Mnie nie.

— Nie siedzisz tam do tej pory, więc chyba w końcu jakoś wylazłaś zauważyła Lilka. Jak?

— Tak, że o mało trupem nie padłam z przepracowania. Te dechy były solidne, wcale nie spróchniały, trzymały na mur. Bardzo porządne budownictwo macie w tej Polsce Ludowej, nie wiem, dlaczego wszyscy narzekają. Ale stało to, chwała Bogu, na ziemi, a ta szopa była pełna narzędzi.

— Jakich narzędzi?

— Nie wiem jakich, rozmaitych. Jakieś wielkie dzioby tam leżały, od góry łopata, a od dołu dziób. Zniszczyłam sześć. Oprócz tego cztery klabzdrony, takie plackowate, i dużo kołków. Wszystko przepadło.

Zarówno niszczycielska działalność Teresy, jak i owe dzioby i klabzdrony bardzo nas zainteresowały. Teresa wyjaśniła, że w jednym miejscu pod ścianą była jama. Może grunt opadł, podmyty wodą, a może jakieś zwierzę wygrzebało. Kontynuując dzieło wody lub zwierzęcia, podkopała się porządnie, używając dziobów jako łopat, kołków jako kilofów czy też oskardów i klabzdronów jako koparki podsiębernej. Wszystko po kolei łamało jej się i niszczyło, chociaż dzioby były obite blachą. Możliwe jednak, że całość, ogólnie biorąc, przeznaczona była do innych zadań niż kopanie tunelu.

— Ale przecież tam było chyba ciemno? — powiedziała zatroskana ciocia Jadzia. — Czym świeciłaś? Czy może tylko macałaś?

— Świeciłam. Miałam latarkę i przypadkiem zapasowe baterie, te, które kupiłam w Kudowie.

— No i w końcu wykopałaś ten tunel czy nie? przerwała z niecierpliwością moja mamusia.

— No pewnie, że wykopałam i nawet przez niego wylazłam. Czułam się jak krowa, która ma za niskie wrota w oborze, kręgosłup mi się nie chciał zmieścić. A do torby przywiązałam sznurek, sznurka tam było dużo, i wcale jej nie zabierałam ze sobą, tylko przeciągnęłam potem. Razem z torbą bym się nie zmieściła, a oddzielnie przelazła łatwo. Widzicie, jaka byłam mądra!

Pochwaliliśmy ją zbiorowo i z wielkim podziwem. Kolację skończyliśmy już dawno, ale nikt nie ruszał się z miejsca. Teresa opowiadała dalej.

— Trwało to potwornie długo — ciągnęła tonem pełnym niesmaku. Widocznie roboty ziemne nie przypadły jej do gustu. — Dziwiłam się, że jeszcze słońce nie wzeszło. Za to jak tylko wylazłam, od razu usłyszałam, że jedzie motor, i byłam pewna, że to ten padalec. Pojęcia nie macie, jak się wystraszyłam.

— Trzeba było wziąć którego dzioba i dać mu po łbie — zawołała energicznie moja mamusia.

— Może bym i dała, ale nie miałam dzioba pod ręką. Wszystkie zostały w środku. Na wszelki wypadek wołałam uciec.

— I uciekłaś? — spytała Lucyna niecierpliwie, bo Teresa zrobiła przerwę, żeby popić herbatą pigułkę.

Teresa przecząco pokręciła głową.

— Jak to? Nie uciekłaś? Tylko co? Pozwoliłaś się znowu złapać?!

Zaczaiła się i zepchnęła go z góry podpowiedziała z przejęciem ciocia Jadzia.

— Podstawiłaś mu nogę? — zainteresowała się moja mamusia.

— Może teraz ty go zamknęłaś w tej szopie? — — powiedziała, z nadzieją Lilka.

Zirytowana Teresa ciągle kręciła głową i machała ręką, nie mogąc nic mówić, dopóki nie przełknęła pigułki. Uporała się z nią wreszcie.

— Głupie jesteście, nie miałam co robić, tylko go spychać albo zamykać. Wylazłby od razu przez moją dziurę i jeszcze by mnie szlag trafił, że się dla niego napracowałam. Podśluchałam ich.

Patrzyliśmy na nią, nie umieliśmy od razu sprecyzować następnego pytania, bo zaskoczyła nas liczba mnoga. Teresa była pełna satysfakcji.

Akurat nadjechał ten motor, świecił reflektorem, bałam się, że mnie zobaczy, jak będę uciekać, i dogoni, więc schowałam się za krzakiem. Przyjechało dwóch, ten fałszywy dupek żołądny i jakiś drugi. Wleźli do szopy. Tego, co mówili w środku, nie usłyszałam, ale usłyszałam to, co mówili na zewnątrz. Uciekać ciągle się bałam, bo było cicho, kompletnie ciemno i pomyślałam sobie, że jak się, nie daj Boże, potknę i runę w krzaki, też mnie od razu

usłyszą. Tam było gęsto, wszystko trzeszczało i szeleściło, więc siedziałam cicho jak mysz pod miotłą.

— Bardzo rozsądnie — pochwaliłam z uznaniem.

— No i co mówili? zainteresowała się zachłannie Lucyna.

Ten drugi objeżdżał tego pierwszego. — “Ty ośle” — mówił. — “Ty baranie głupi, nie mogłeś jej tej torby od razu zabrać? Nie mogłeś chociaż zajrzeć? Kara boska z takim kretynem!” Ten pierwszy proponował, żeby mnie poszukać w okolicy, ale ten drugi nawymyślał mu od półgłówków i powiedział, że teraz trzeba będzie pilnować dróg na dole, pod lasem, bo gdzieś się powinnam pokazać. Przede wszystkim tych dróg, które prowadzą do Polanicy.

— A po co im była twoja torba? O co im chodziło? Nie połapałaś się?

Pojęcia zielonego nie mam. Wyglądało na to, że potrzebna im i torba, i ja. Ten młodszy bandyta tłumaczył się, że nie zamordował mnie od razu, bo nie był pewien, czy trzeba, ten drugi ciągle mu wymyślał, a obaj razem byli bardzo zmartwieni, że nie zgodzę się na łapówkę.

— Na co?!’

— Na łapówkę.

— Naprawdę, nie zgodziłabyś się? — zdziwiła się Lucyna.

Teresa z politowaniem popukała się palcem w czoło.

— Jakby mi dali do wyboru, siedzieć w tej szopie albo wziąć łapówkę, to możesz być pewna, że wzięłabym każdą. Nawet bym nie spytała, za co.

— No właśnie, za co? — zainteresowałam się.

— A bo ja wiem? Jeszcze mówili, że na pewno mam to przy sobie, bo nigdzie bym nie zostawiła, ale trzeba będzie sprawdzić.

— No proszę! — wykrzyknęła Lucyna triumfująco.

— I sprawdzali! Wszystko się zgadza! Szukali w naszych bagażach w Polanicy!

— Chodziło im z pewnością o film i o tę podkówkę

— przyświadczyłam. — Chałę znaleźli!

— Tyle że Jankowi guzik urwali — westchnęła moja l mamusia.

— A co, bił się z nimi? — zaciekała się Teresa.

— Prawie — odparłam. — Co prawda kiedy indziej, gdzie indziej i z kim innym, ale to nie szkodzi. Grunt, że się odegrał za guzik.

— Na mnie! — wyrwało się mojej mamusi.

— Cicho! zawołała Lucyna. — Mów dalej! W krzakach też nie siedzisz do tej pory, więc coś musiałaś potem zrobić.

— Pewnie, że zrobiłam, oni odjechali w jedną stronę, więc na wszelki wypadek poszłam w przeciwną. Zabłądziłam od razu. Musiałam czekać, aż się rozwidniło, ale nie bardzo zmarzłam, bo gorąco mi było ze strachu. W dzień też nie mogłam nigdzie trafić i w ogóle nie wiedziałam, co robić, bo się bałam wracać do Polanicy. Przeszłam tak chyba z tysiąc kilometrów, a jak wreszcie wyszłam na jakąś drogę, to się okazało, że jestem w Dębowninie.

— Gdzie proszę?

W Dębowninie. To taka wieś. Podpisana była na drogowskazie.

— I gdzie to jest?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Była tam gospoda ludowa, więc zjadłam śniadanie. To znaczy, to już był obiad, dali mi zsiadłe mleko z kartoflami i naleśniki. Autobusy tamtędy jeździły, byłabym wsiadła do tego do Kłodzka, ale nie mogłam, bo ta szajka mnie szukała.

— Skąd wiesz?

— Pamiętacie tego wiśniowego peugeota, co miał w sobie kraciaste walizy? — spytała Teresa, dramatycznie zniżając głos. — Ciągłe się gdzieś pokazywał. Właśnie jak nadjechał autobus do Kłodzka, nadjechał i peugeot, dwie osoby w nim siedziały, baba i facet, zatrzymali się i rozglądali. Przeczekałam za stodołą, ale przez ten czas autobus mi uciekł, za to potem nadjechał drugi, w przeciwną stronę, no więc wsiadłam w przeciwną stronę, bo tam zostać wydawało mi się niebezpiecznie.

— Matko Boska! powiedziałaś ze zgrozą. — Przez te przeciwne strony istny cud, że nie znalazłaś się w Białymstoku!

— Sama się dziwię — zgodziła się Teresa. — Ten autobus jechał do Kamieńca, wystraszyłam się, że jestem już na Dzikich Polach, więc w tym Kamieńcu wysiadłam. Wyłumaczyli mi tam na dworcu, że mogę jechać do Kłodzka, ale przez Paczków, nic mi to nie szkodziło, że przez Paczków, więc wsiadłam i nawet sprzedali mi rozkład jazdy. Zapłaciłam im jednego dolara, nie wiem, czy to drogo, czy tanio.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła Lucyna, wstrząśnięta. Popatrzcie, zużyła dolara!

Raczej drogo — powiedziałaś równocześnie. — Mogłaś im dać piętnaście złotych.

— Nie mogłam, bo za pieniądze w ogóle nic chcieli mi sprzedać, dopiero za dolara się zgodzili. Pomyślałam, że na tym rozkładzie jazdy zorientuję się, gdzie jestem, i rzeczywiście, zorientowałam się. Czytałam go całą drogę i wyszło mi, że w Paczkowie powinnam się przesiąść. Tylko że Paczków już był trzy przystanki temu, trochę za późno się doczytałam. Zdenerwowałam się, nie wiedziałam, co zrobić, i tak jechałam jak głupia, a potem się namyśliłam i wysiadłam, nie wiem po co, bo w szczerym polu. Okazało się, że przede mną jest

Otmuchów, poszłam tam na piechotę, a mogłam spokojnie dojechać autobusem. Z tego wszystkiego zrobił się już wieczór.

— To właśnie wtedy widział ją ten chłopak, który spotkał się z nami w Zebrzydowicach wtrąciła Lucyna.

— Przez twoje głupie wysiadanie obiad nam się nie udał — powiedziała z lekką pretensją moja mamusia.

— I co? — spytała ze współczuciem ciocia Jadzia. — Autobusu do Kłodzka albo do Polanicy już nie było?

— Owszem, były, nawet dwa, ale jechała nimi jakaś wycieczka i powiedzieli mi, że nie ma miejsc. W hotelu też nie było miejsc.

— Jak to, chciałaś nocować w hotelu? Za co?

— A co, miałam lecieć do Polanicy na piechotę? Chciałam się gdzieś przespać i umyć, bo wyglądałam jak nieboskie stworzenie, nic nie myślałam i dopiero jak się okazało, że nie ma miejsc, przypomniałam sobie, że mi nie starczy pieniędzy. Mydło kupiłam w kiosku Ruchu. Powiedzieli mi, że może znajdę nocleg na campingu, jacyś ludzie właśnie stamtąd wyjeżdżali, więc poszłam tam znów na piechotę, można powiedzieć, że pielgrzymkę odbyłam. W jednej administracji podsłuchałam jakąś babę i przyczepiłam się do niej, bo miała domek na dwie osoby...

— To wiemy — przerwałam. — — Znaleźliśmy tę babę. Na litość boską, dlaczego nie przysłałaś jakiejś karty, depeszy, czegokolwiek?!

— Bo zapomniałam adresu. Trafic, bym trafiła, ale nie pamiętałam ani ulicy, ani nazwiska tego dyrektora. Wiedziałam tylko, że coś z jarzyn, Rzepka albo Buraczek, ale bałam się, że znów będzie jak z tą Weską...

— Brukselski! — jęknęła Lucyna.

— No proszę. Za Rzepkę mógł się obrazić...

— Ale następnej nocy już cię tam nie było — przerwałam. — Gdzie się podziałaś?

Teresa rozłościła się od razu.

— To ja bym chciała wiedzieć, gdzie wyście się podzieli? Dojechałam wreszcie, przychodzę, pusty dom, żywego ducha nie ma, tylko jakaś idiotka w ogródku zawiadamia mnie, że pojechaliście do Szczecina! Myślałam, że już cała rodzina do reszty rozum straciła! Co wam do tych kapuścianych głów strzeliło? Po jakiego diabła pojechaliście do Szczecina?

Zaprotestowaliśmy zbiorowo, gwałtownie i z oburzeniem.

— Nie do Szczecina, tylko do Cieszyna! To ty musiałaś rozum stracić, żeby w coś takiego uwierzyć!

— Ale do jakiego Cieszyna, ona wyraźnie mówiła, że do Szczecina! Jeszcze się parę razy upewniałam! I tę gospozię też diabeł na formę porwał! Musiałam sobie szukać prywatnego noclegu, znów się zaczęłam bać, a w dodatku milicja się mnie czepiała. I w tym Otmuchowie, jak stamtąd wyjeżdżałam, i w Polanicy, co i raz to mnie jakiś dopadał, żebym mu pokazywała dokumenty. Nie wiem, nie podobałam się im czy co? Wypytywali mnie, co tu robię i czy mnie nikt nie szuka.

— No i dlaczego powiedziałaś, że nikt? — spytałam z wyrzutem.

Lilka kopnęła mnie ostrzegawczo w kostkę. Na szczęście nikt z rodziny nie zwrócił uwagi na mój nadmiar wiedzy. Teresa nastroszyła się jak obrażona kwoka, zła i zdegowana.

— Po pierwsze, to myślałam, że się chcą przyczepić o ten nocleg u baby w domku campingowym, bo ja tam byłam nielegalnie, a w dodatku też jej dałam dolara. Tak sobie, w prezencie, na pamiątkę, ale mogło się im nie spodobać. Wcale nie zamierzałam się do tego przyznawać. Po drugie, to ja nie wiem, ci ludzie to jakaś podejrzana historia i oni przyjechali też z Kanady. Nie rozumiem, co to znaczy, ale nie życzę sobie siedzieć za cudze przestępstwa. Może to przemytnicy, może jakaś afera szpiegowska, już się rozpędziłam zawiadamiać milicję, że jestem wmieszana. A po trzecie, myślałam, że lada chwila wrócicie, wy albo ta gospośnia, i najpierw chciałam się naradzić. Myślałam, że coś wiecie. W dodatku ludzie się na mnie gapili. Oglądali się za mną, jakbym co najmniej miała dwie głowy, nie wiem, czy ja rzeczywiście tak dziwnie wyglądam...?

Rzut oka na resztę rodziny upewnił mnie, że wszyscy są jednakowego zdania. Raczej nie należało informować Teresy o sposobach, jakimi prowadziliśmy poszukiwania. Reklama napawała ją wyraźną odrazą.

— Bo oni wiedzieli, że ty masz... — zaczął nagle ojciec.

— A skąd się wzięłaś w Raciborzu? — przerwała mu pospiesznie moja mamusia. — Ta Odra naprawdę taka dobra do moczenia odcisków?

— A właśnie! — powiedziała Teresa z irytacją. — Przenocować, przenocowałam w tej Polanicy, prywatnie, w jakiejś chałupie za miastem, ale pieniędzy już mi zupełnie zabrakło i musiałam płacić dolarami. Dolarów też mi zabrakło, więc postanowiłam jechać do Cieszyna, bo miałam nadzieję, że Lilka mi pożyczycy...

— Dolarów? przestraszyła się Lilka.

— Nie, pieniędzy. A wy się w tym Szczecinie potopcie, skoro tak głupio upadliście na głowę...

— Wcale nie byliśmy w Szczecinie!

— Ale ja myślałam, że jesteście. Przebrałam się, kupiłam sobie czarne okulary, okropne, nic przez nie nie widać, to jakaś masa czy co... A na głowę włożyłam ścierkę. Wyglądałam jak głupia, więc myślałam, że mnie nie poznają...

— Chyba przeciwnie... wtrąciła Lucyna niewinnie.

— Co proszę?

— Nic, nic. Chciałam powiedzieć, że mało się zmieniłaś...

Teresa przyjrzała się jej podejrzliwie, ale ciągnęła rzecz dalej.

— Poznali mnie jednak i złapali. I to gdzie, już blisko Cieszyna! Te autobusy jakoś okropnie głupio jeżdżą, we wszystkie strony z wyjątkiem właściwej. Pieniądzy starczyło mi tylko do Prudnika. Pojechałam, bo pomyślałam, że dalej może ktoś mnie weźmie na łebka i rzeczywiście. Jeden kierowca ciężarówki powiedział, że za dziesięć złotych może mnie dowieźć aż do Jastrzębia...

Działo się to dokładnie w tej samej chwili, w której rozproszona po bagniskach rodzina oczekiwała miłosierdzia pańskiego. Całe szczęście, że nie znaleźmy w tym momencie losów Teresy. Gdybyśmy je znali, być może ręce by nam opadły i do końca życia nie zdołalibyśmy wygrzebać się z mokradła.

Złapany przygodnie na łebka kierowca ciężarówki zboczył do paru wsi. Wyładowanie towaru w postaci jednej skrzynki tu, a kilku pudeł ówdzie, Teresa przeczekiwała w szoferce. Miejsce dla pasażera było przeraźliwie niewygodne, na dziurach i wybojach miotało nią na wszystkie strony, bo kierowca jechał z fantazją, na kolejnym postoju zdecydowała się zatem wsiąść chociaż na chwilę. Kawałek terenu był ogrodzony, wyglądało to na jakiś PGR, POM albo coś w tym rodzaju. Kierowca poparł ją. “Nawet lepiej” rzekł z aprobatą. — “Tam może być jaka kontrol, co ja się będę tłumaczył... Pani tu poczeka, a jak wyjadę, to pani wsiądzie”.

Przejechał przez bramę i znikł jej z oczu razem z ciężarówką. Zasłoniły go budynki. Teresa oddaliła się nieco od drogi i usiadła w cieniu, w gęstej kępie drzew i krzaków. W widocznej przed nią w niewielkim oddaleniu wsi panował martwy spokój, ludzi nie było ani na lekarstwo, pomyślała sobie, że pewnie wszyscy w polu. Za ogrodzeniem, blisko niej, coś warczało okropnie, głusząc wszelkie inne dźwięki.

Gdyby po łące za jej plecami przeleciało stado bawołów, tętent kopyt usłyszałaby zapewne pomimo owego warkotu. W żaden sposób jednakże nie mogła usłyszeć cichych, skradających się kroków ani też ostrożnego rozsuwania gałęzi. Nie miała najmniejszego pojęcia o czyjejkolwiek obecności w pobliżu i siedziała spokojnie w zaroślach, przyglądając się z daleka bramie aż do chwili, kiedy nagle wyczuła za sobą jakiś gwałtowny ruch. Chciała się odwrócić, spojrzeć, zerwać na nogi, ale żadnej z tych chęci zrealizować już nie zdążyła. Coś spadło jej na

głowę i twarz, coś grubego, miękkiego i okropnie włochatego. Chciała krzyknąć, ale kłaki z tego czegoś wlały jej: do ust i zdusiły głos. Chciała zedrzeć to z głowy, ale coś unieruchomiło jej ręce i spętało nogi. W mgnieniu oka zrobiło jej się potwornie gorąco i duszno...

Cała rodzina słuchała z zapartym tchem.

— A to podolec! wykrzyknęła z oburzeniem Lilka.

Wszyscy spojrzeli na nią. Teresa przerwała sensacyjną opowieść.

— Co takiego? — spytała z zainteresowaniem.

— Mówię, że to podolec...

— A cóż to takiego jest? Taki z Podola?

— Ale skąd, to skrót. Połączenia podleca z padalcem. Nie mogłam się zdecydować, które gorsze, więc zestawiałam razem. Wychodzi podolec...

Po krótkim namyśle Teresa pochwaliła określenie. Pasowało jej. Tak jest, podolec się zakradł i zarzucił jej coś na głowę.

— No mówże, co było dalej? — zniecierpliwiła się Lucyna. — Przerzywasz w najciekawszym miejscu!

— Dla kogo ciekawe, a dla kogo nie. Potem mnie złapali i nieśli...

— Na rękach? zaciekawiała się moja mamusia.

— Nie, w zębach i tak im z pyska zwisałam...

— To chyba ci było niewygodnie?

— Przestań jej wreszcie przerywać, sama pozwisaj z pyska, to zobaczysz, czy to wygodnie!

— zgromiła Lucyna swoją starszą siostrę.

— Naprawdę nieśli cię w zębach? — zdziwiła się ciocia Jadzia.

— Boże, ratuj, czyście wszystkie zgłupiały, jak mnie mieli nieść, jak nie na rękach, przecież nie na głowie!

— I nie wrywałaś się?

— Pewnie, że się wrywałam, ale mnie czymś omotali i nie mogłam się ruszyć! Prawie się udusiłam, bo to coś włochate włożyło mi do ust i do nosa. Bardzo długo mnie nieśli.

— Napracowali się, biedacy... — westchnęła współczująco Lucyna.

— Głupia jesteś! — zirytowała się Teresa. — Chrześcijanka się znalazła, już nie masz kogo żałować, tylko tych... jak im tam? Podolców, którzy chcieli mnie zabić!

— Skąd wiesz, że cię chcieli zabić?

— A co, ukoronować? Poza tym powiedzieli to. Sama słyszałam. Powiedzieli: “załatwić ją i od razu pryskać”. Tyle to ja jeszcze po polsku rozumiem.

— To dlaczego cię nie załatwili?

— Ich się spytaj. Pewnie przez niedopatrzenie.

— Teresa, mów poważnie, bo to ważne — powiedziałam ugodowo. — Zamiast ci rozbić globus, pardon, chciałam powiedzieć głowę, nosili cię na rękach. To coś nie tak...

— Zdaje się, że chcieli sobie znaleźć lepsze miejsce, pod tym ,PGR-em im się nie podobało. Nieśli mnie i nieśli, Bóg wie dokąd, dusiłam się, kompletnie z sił opadłam, donieśli mnie w końcu i położyli. Na ziemi. Coś mnie ukłuło, teraz wiem, że to był zastrzyk, ale wtedy nie wiedziałam. W rękę, nie rób mi tu głupich min!... Coś jeszcze mamrotali takim zdenerwowanym szeptem, chyba mnie wepchnęli do samochodu, a potem nie wiem, co było.

— Potem wysiadłaś boso w warsztacie samochodowym w Raciborzu — poinformowałam ją uprzejmie.

— Skąd wiesz? zdziwiła się Teresa. — Rzeczywiście, obudziłam się, ale byłam jakaś taka zamroczona. Wydawało mi się, że gdzieś przyjechałam i trzeba wysiadać, no więc wysiadłam, ale byłam. boso. Pewnie mi te buty spadły, jak mnie nieśli. Nie wiem, dlaczego tak je uprzejmie zabrali, leżały na podłodze w ich samochodzie.

— Żeby nie zostawiać śladów po tobie — wyjaśniłam i ugryzłam się w język, bo już chciałam dodać, że cała okolica wiedziała o jej czerwonych pantoflach.

— Można wiedzieć, po co poleciałaś nad rzekę? — zainteresowała się Lucyna.

— Bo miałam brudne nogi. Jeszcze włożyłam w jakieś czarne i tłuste i nic mi się nie wydawało ważne, tylko umyć te nogi, bo przecież na coś takiego nie włożę pantofli! Jakoś mi się do tej rzeki samo trafiło, nikt mnie nie gonił i dopiero w wodzie oprzytomniałam. Umyłam nogi, włożyłam buty, niedobrze mi było, źle się czułam, nie wiedziałam, gdzie jestem, ale to było jakieś miasto. Zaczęłam się oglądać, no i wtedy zobaczyłam coś okropnego!

Teresa uczyniła dramatyczną pauzę, a cała rodzina wstrzymała oddech.

— Węża morskiego — podsunęła Lucyna. Topielca! — wykrzyknęła ze zgrozą ciocia Jadzia.

— Pewnie zdechłą rybę — podpowiedziała uczynnie moja mamusia. .

— Głupie jesteście wszystkie! — zdenerwowała się Teresa. — Na sobie zobaczyłam coś okropnego!

— Wytatuowali cię... — podchwyciła natychmiast Lucyna.

— Coś ty! — — zaprotestowała moja mamusia. — Pewnie ją coś oblaźło!

— Zamknijcie się wreszcie, bo ja z wami zwariuję! Zobaczyłam, że mam wysypkę! I puchnę! Oni mnie uśpili czymś, na co jestem uczulona!

— Boże wielki! — przeraziła się ciocia Jadzia. — Mogłaś od tego umrzeć!

— No pewnie, że mogłam!

— Ale nie umarła i niech mówi dalej! I co?

— I nic. To znaczy nic mnie już nie obchodziło, tylko jakiś lekarz. Wskoczyłam z tej rzeki i polecałam szukać lekarza, znalazłam pocztę, okazało się, że jestem w Raciborzu, dostałam książkę telefoniczną i znalazłam w niej lekarza... Czy tutaj nie ma podziału, tylko jak jest skórny, to i od razu weneryczny? Był tylko skórno-weneryczny, a samego skórno nie. Ale zaczęłam puchnąć coraz bardziej, więc pomyślałam, że i tak mnie tu nikt nie zna, polecałam do skórno-wenerycznego...

Na widok sparszywiającej i spuchniętej Teresy lekarz nawet nie spytał, kim jest i skąd się u niego wzięła, tylko od razu przystąpił do udzielania pomocy. Główną trudność kuracji stanowił całkowity brak rozeznania co do owego środka usypiającego. Ludzie bywają uczuleni na rozmaite rzeczy. W związku z tym lekarz, porządny człowiek, przetrzymał ją u siebie całe trzy i pół dnia, sprawdzając efekt działania różnych medykamentów. Nawet ją praworzędnie zameldował jako gościa. Miejsca miał dosyć, bo mieszkanie było duże, dzieci z babcią wyjechały na wakacje i został tylko sam z żoną. Żona też lekarz, dla odmiany internista. Obydwoje cackali się z Teresą jak ze śmierdzącym jajkiem, postawiwszy sobie za punkt honoru przywrócenie jej do zdrowia. Wysypkę i opuchliznę zlikwidowali bez śladu, a na propozycję zapłaty obrazili się śmiertelnie. Jeszcze jej pożyczyci pięćdziesiąt złotych na autobus... ,

Z rozgoryczeniem spytaliśmy, dlaczego od razu nie zadzwoniła do Cieszyna.

— Akurat mi telefony były w głowie — odparła .Teresa ze śmiertelną urazą. — Wysypka to jest dla mnie najcięższa choroba świata. Oni też byli zajęci i dopiero następnego dnia zaczęli mnie pytać, o co tu w ogóle chodzi. Dzwonili, owszem, ale telefon Lilki nie odpowiadał, a po ósmej wieczorem tu jest jakaś centrala, która już nie łączy.

Trzeba było dzwonić do mnie do pracy — powiedziała Lilka bez przekonania.

— Kiedy ja nie znam twojego numeru — odparła Teresa.

— Nie przejmuj się — pocieszyłam ją. — I tak byś się nie dodzwoniła, bo u nich się czeka na połączenie sześć godzin, a potem już jest nieczynne. Poza tym ona właśnie ma urlop...

— No więc w każdym razie dzwoniłszy bez rezultatu, potem te parchy zaczęły znikać, a potem znikły zupełnie, więc przyjechałam. Bardzo dobrze się czuję i wcale nie jestem zmęczona, bo u doktora się wyspałam. Możecie mi powiedzieć, co to wszystko znaczy?

W zaistniałych okolicznościach nikomu z rodziny nie chciało się spać. Wyjątek stanowił ojciec, który twierdził, że słucha bardzo uważnie, siedział na krześle odsunięty nieco od stołu, z głową w liściach potężnej palmy i cały czas drzemał, budząc się w zupełnie nieoczekiwanych momentach. Fakt, że Teresa wiedziała jeszcze mniej niż my, wstrząsnął nami do głębi. Rzecz wydawała się niesłychanie intrygująca i absolutnie nie można było zostawić jej odłogiem.

Wysypałam na stół odbitki, które miałam przy sobie. Teresa i ciocia Jadzia obejrzały je z zainteresowaniem. Podkówki do ponownego obejrzenia nie chciałam przynieść, upierając się do ostatniego tchu, że chodzi mi wyłącznie o zakonserwowanie śladów. Lilka popierała mnie gwałtownie. Obie byłyśmy zdania, iż zważywszy zagadkowość sytuacji, polecenie Marka musimy spełnić i jego udział zachować w tajemnicy.

— No i co? — spytała Lucyna niecierpliwie. — Znasz kogoś z tych zdjęć?

— Owszem — odparła Teresa zgryźliwie. — Tu widzę moje dwie siostry, a tu siostrzenicę...

— Z tych obcych, czy kogoś znasz, ty ciemna maso!

— Sama jesteś ciemna masa. Ten w żółtej koszuli wygląda mi na tego chuligana, co mnie woził, ale głowy nie dam. Tu jest w ciemnych okularach i tam też był w ciemnych okularach. A na motorze miał hełm i gogle. A ta baba w kropki... Żeby to się dało zobaczyć ją wyraźniej! Twarzy wprawdzie i tak nie rozpoznam, bo widziałam ją tylko z daleka i z profilu, ale uczesanie pasuje... Wiecie, że to chyba peruka!

Znów zaczęłyśmy wydierać sobie zdjęcia. Przyjrzałam się uważniej.

— Peruka, mur beton — potwierdziłam. — Numer zapamiętałaś?

— Peruki?

— Nie, motoru albo samochodu.

— Motor miał W i na końcu dwie trójki. A numeru samochodu w ogóle nie zauważyłam.

— W tym warsztacie nie pamiętali? — spytała Lilka.

— Nie zwrócili uwagi. Za zmianę oleju nie wystawiali kwitu. Tyle wiedzą, że warszawski. Ojciec się nagle obudził i odsunął sobie z twarzy tropikalną roślinę.

— Ja tylko nie rozumiem, jak mogłaś pokazywać dokumenty, skoro ukradli ci torbę — wtrącił zniecka. — To gdzie ty je nosisz, za gorsetem?

Teresa spojrzała na ojca w osłupieniu. Zaskoczenie, spowodowane głównie gorsetem, wywołało chwilę ciszy.

— Wcale jej nie ukradli torby, ma przy sobie! — wrzasnęłam pospiesznie, uprzedzając inne odpowiedzi. — Teresa, sprawdzałaś ją? Zginęło ci coś?

— Owszem, ten autobusowy rozkład jazdy za dolara. Nic więcej. Aha, i próbowali mi ściągnąć z palca pierścioneł, ale im się nie udało, bo widocznie od razu zaczęłam puchnąć. Cały palec mnie bolał i miałam odgniecione ślady.

— No i proszę, sami sobie narobili szkody — zauważyła moja mamusia mściwie. — Dobrze im tak!

— No to już się możemy domyślać — oświadczyła Lucyna. — To ten oszust–jubiler! Wie, że jego kant został odkryty i gania cię po całej Polsce, żeby zatrzeć ślady swojego przestępstwa. Dobrze jeszcze, że ci palca nie odciął!

— Dreszcz mnie przechodzi, jak pomyślę, na co ona była narażona! — oznajmiła żałośnie ciocia Jadzia.

Moja mamusia najwyraźniej w świecie nastawiona była nader krwiożerczo.

— Ich jest tylko troje — powiedziała złowieszczo.

— Nas jest więcej. Teraz my ich zaczniemy ganiać po całej Polsce. Możemy zacząć już od jutra.

— Mowy nie ma! — zaprotestowała gwałtownie Teresa. — Od jutra wykluczone, ja chcę mieć trochę spokoju! A do ciebie nie mam żadnego zaufania, teraz jesteś jak ten fiołek perski, a jutro znów powiesz, że ze zdenerwowania brzuch cię boli. Ja to wolę przeczekać!

— Wcale mnie brzuch nie boli — odparła moja mamusia, ciężko urażona insynuacją.

— Jak to cię nie boli, przecież sama mówiłaś, że cię bolał, a ze zdenerwowania ci się pogarsza!

— Zaraz się pokłóć — powiedziałam do Lilki.

— Teresa, a w Kanadzie nikogo z nich nie widziałaś? Albo w samolocie?

Teresa spojrzała na mnie, na moment jakby zastygła, a potem zerwała się gwałtownie.

— Aaaaaa...! — krzyknęła. — Głosy...!!!

— Jakie głosy? — przestraszyła się ciocia Jadzia.

— Dziewica Orleańska! — ożywiła się Lucyna.

— Słyszysz głosy? Co mówią?

— Że moja średnia siostra to kretynka — rozzłościła się Teresa. — W ogóle nie można z wami poważnie rozmawiać!

— Rozmawiaj ze mną — zaproponował spod palmy ojciec, nagle rozbudzony jej krzykiem. — Ja jestem poważny.

— Jezus kochany — powiedziała moja mamusia dziwnym głosem, a Lucyna zachichotała w kącie kanapy. Teresa spojrzała na swoje siostry z odrazą i odwróciła się do Lilki.

— Tobie powiem, bo im nie warto. Tak mi się te ich głosy wydawały znajome, i tych facetów, i tej baby, szczególnie kiedy mamrotali przy samochodzie. I nie wiedziałam, skąd. Teraz już wiem. To oni rozmawiali w Sopocie pod drzwiami łazienki!

Przypominanie sobie, co mówiły zbrodnicze indywidua na korytarzu sopockiego pensjonatu, wyczerpało całą rodzinę do ostateczności. Między tamtym odległym dniem a dzisiejszym było tyle gadania, że nikt już nic nie pamiętał. W ostatecznym rezultacie

familijnego posiedzenia doszliśmy tylko do jednego wniosku, a mianowicie, że z największą starannością trzeba pilnować Teresy, uniemożliwiając tajemniczym wrogom wszelkie akcje przeciwko niej.

— Wiecie, jak to jest — powiedziała konspiracyjnie ciocia Jadzia. — Każdy zdenerwowany przestępca popełni w końcu jakiś błąd. Oni się zdenerwują, że nie mogą znów porwać i zamordować Teresy, popełnią błąd i dzięki temu czegoś się o nich dowiemy. Bo prawdę mówiąc, inaczej to ja nie widzę sposobu...

W dwa dni potem zaczęłam się zastanawiać, co by takiego zepsuć w samochodzie, żeby chwilowo uniemożliwiało to ruszenie z miejsca, a zarazem nie wymagało długich i kosztownych napraw. Obie z Lilką czyniłyśmy szaleńcze wysiłki, zmierzające do pohamowania ruchliwości rodziny. Teresa już odpoczęła, moja mamusia nabrała radosnego wigoru i propozycje podróży padały rozmaite. Jedna z nich życzyła sobie udać się do Częstochowy w podzięcie za uratowanie życia, druga przebąkiwała coś o Suwałkach i Łowiczu, Lucyna dla odmiany pchała się do Srebrnej Góry i Szklarskiej Poręby, a ciocia Jadzia w Bieszczady.

— Będziesz chyba musiała dostać jakiegoś ataku — powiedziała do mnie Lilka z troską. — Nie mam już do nich sił. Osobiście radzę ci zatrucie pokarmowe, zdaje się, że to najłatwiej symulować.

— Nie wiem, czy mi się uda zzielenieć na twarzy — odparłam z westchnieniem. — Jeżeli Marek do jutra nie da znaku życia, spróbuję rozładować akumulator. Dwanaście godzin na długich światłach powinno mu wystarczyć...

Marek, jak na zamówienie, pojawił się w godzinę później. Trafił akurat na herbatę po obiedzie, tak że wszyscy byli obecni w domu. Uwolnienie od obowiązku trzymania rodziny na uwięzi ulżyło mi nadzwyczajnie i nawet nie miałam do niego pretensji o nagłe zaniechanie tajemniczości bez porozumienia ze mną. Na stronie wyjaśnił mi, że konspiracja już mu nie jest potrzebna, zrobił, co miał do zrobienia, i wszedł w fazę współpracy z osobami zainteresowanymi. To znaczy z całą rodziną. Może nam zaprezentować efekty swoich poczynań.

Efekty okazały się nad wyraz atrakcyjne.

Przede wszystkim położył na stole duże zdjęcie, niewyraźne co prawda i zamazane, ale prezentujące wizytówkę w ramkach. Napis na wizytówce można było bez trudu odczytać.

— Czy ktoś zna taką osobę? — spytał, nie wdając się w długie wstępy.

Cała rodzina wpatrzyła się zachłannym wzrokiem w wydrukowane na wizytówce nazwisko. Mrs. Edith Walters. Potem popatrzyliśmy na siebie.

— Skąd on to wytrzasnął? — zaciekała się Lucyna.

— Jest w Kanadzie jeden milioner, który się tak nazywa — powiedziała równocześnie Teresa z lekkim wahaniem. — Ale mogę wam ręczyć, że osobiście go nie znam. A w ogóle to jest dość pospolite nazwisko i równie dobrze może się tak nazywać facet, który przyjeżdża po śmieci.

— Nie ma przepisu, że milioner nie może przyjeżdżać po śmieci — zauważyłam pouczająco.

— Raczej rzadko to robią. Nie, nie wiem. Nie mam pojęcia, kto to jest...

— Kto to jest? — spytała moja mamusia z żywym zainteresowaniem.

— Właścicielka kraciastych walizek, która jeździ po kraju w celach turystycznych samochodem jednego faceta — wyjaśnił uprzejmie Marek po chwili milczenia. — Przyjechała z Kanady, samochód marki peugeot, numer rejestracyjny 18-58 WG. Facet nazywa się Michał Dorobek. Zna go ktoś?

Znów cała rodzina popatrzyła na siebie.

— Chyba skądś znam to nazwisko — powiedziała niepewnie Teresa. — Ale nie mam pojęcia, skąd...

— Ja też — odezwała się nagle ciocia Jadzia.

— Mam wrażenie, że je słyszałam, ale też zupełnie nie wiem gdzie i kiedy.

— Teresa od razu odwróciła się do niej.

— Ja je słyszałam od ciebie! — oznajmiła stanowczo. Ciocia Jadzia zdziwiła się i zaniepokoiła.

— Co ty powiesz, a mnie się wydaje właśnie, że je słyszałam od ciebie.

— W takim razie musiało to być dość dawno — mruknęłam. — Teresa wyjechała osiemnaście lat temu i mogłyście to słyszeć od siebie wzajemnie tylko przedtem, bo potem już nie. Potem mogłyście najwyżej widzieć to na piśmie, w listach.

— Dorobek to był woźny w Wojewódzkiej Radzie Związków Zawodowych w Katowicach w 1948 roku — oznajmiła Lucyna. — Miał wtedy pewnie ze siedemdziesiąt lat, więc wątpię, czy teraz jeździ samochodem.

— Miał siedemdziesiąt lat i jeszcze pracował? — zgorszyła się Lilka. — Powinien być na emeryturze.

— Może i powinien, ale nie był.

— Towarzyszy mu w tych wożach syn, też Michał, lat dziewiętnaście — kontynuował Marek.

— Za dużo tych Michałów Dorobków — skrzywiła się moja mamusia. — Nie ma czego innego?

— Owszem, jest. Na razie stwierdzamy, że nikt nie zna ani pani Walters, ani panów Dorobków, tak?

Ciocia Jadzia przeglądała bardzo stary, wygrzebany z dna torby kalendarzyk.

— Ja tu mam znajomych sprzed czterdziestu lat — powiedziała, bardzo zmartwiona. — Myślałam, że będzie może i Dorobek, ale nie. Nie ma. Wzięłam ten kalendarzyk przez pomyłkę zamiast aktualnego i już miałam nadzieję, że się przyda...

— No! — pogoniła Lucyna niecierpliwie. — To co z tymi Dorobkami?

Marek jeszcze przez chwilę patrzył na wszystkich pytająco.

— Nic takiego — rzekł wreszcie. — Stwierdzono, że oba Dorobki, starszy i młodszy, kręcili się ostatnio w okolicy Gór Stołowych. Młodszy Dorobek ma motor, odbywał liczne wycieczki. Pracownicy leśni na Górze Kłodzkiej stwierdzili, że ktoś im zamienił kłódkę na szopie, w której trzymali swoje narzędzia. Musieli ją upiłować, bo klucz nie pasował, po czym okazało się, że grasował tam jakiś chuligan. Narzędzia były poniszczone i rozwłózione, a pod jedną ścianą ktoś wykopał wielką dziurę...

Lucyna zachichotała jadowicie, Teresa otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Marek ciągnął dalej.

— Na Jeziorze Otmuchowskim młody Dorobek pożyczał sobie motorówkę od niejakiego Kłaczka, który mieszka nad wodą, na samym skraju Starego Paczkowa. Dwa razy ją pożyczał, raz na cały dzień, a raz na całą noc. Młody Dorobek w ogóle nieźle zna te tereny, bo w Kłodzku mieszkają jacyś jego kumple, do których od lat przyjeżdżał na wakacje...

Tu przerwano mu te suche relacje, bo rodzina nie strzymała natłoku wrażeń. Wszystkie pytania zabrzmiały równocześnie. Lucyna dopytywała się, czy Teresa już jest poszukiwana za chuligańską działalność w leśnej szopie, natrzęsając się przy okazji z jej, nader słusznej, niechęci do milicji. Teresa w okropnym zdenerwowaniu usiłowała się dowiedzieć, czy i jak ma zrekompensować wyrządzone szkody. Moja mamusia z wielką energią upewniała się co do tożsamości młodego Dorobka z porywaczem jej siostry i napastnikiem na campingu. Ciocia Jadzia, z niemniejszym zapałem próbowała dociec, jakiego rodzaju narzędzia Teresa zniszczyła i do czego robotnikom leśnym mogły służyć dzioby i klabzdrony. Popierałam ją z czystej ciekawości, bo reszta, poza motywem działania złoczyńców, była dla mnie jasna. Ojciec z uporem trzymał się kwestii ryb i pytał wyłącznie o rezultaty połowów młodego Dorobka. Marek zaniechał prób odpowiadania na wszystkie pytania naraz. Dał pierwszeństwo ciocie Jadzi, która siedziała najbliżej i machała mu przed nosem swoim starym kalendarzykiem.

— Do sadzenia drzew! — wyjaśnił wśród ogólnego rejwachu. — Taka łopata, drewniana, obita blachą, owszem, wygląda trochę jak dziób, wbija się ją w ziemię, robi dziurę i wtyka sadzonki! A to plackowate służy do wycinania darni! W żadnym razie nie do robienia podkopów! Spokój, proszę! To jeszcze nie koniec...!

Po pewnym czasie emocje złagodniały.

— No dobrze, a o co właściwie chodzi? — spytała Lucyna, porzuciwszy wreszcie naigrawania się z Teresy. — Rozumiemy, że ten...

— Podolec — odpowiedziała moja mamusia.

— Podolec, może być. Że ten podolec napastuje Teresę, czepia się jej, obaj się jej czepiają do spółki z tą, jak jej tam, Edith Walters, jak rzep psiego ogona, ale po co? Dlaczego? O co im chodzi?

— Musieli się już dawno na nią zaczajać — dodałam. — Wygada na to, że specjalnie przeprowadzili rozeznanie terenu i przygotowali grunt. Po co, na litość boską? W czym rzecz?

— Tego jeszcze nie wiemy — odparł Marek. — Właśnie zamierzamy się dowiedzieć. Jak mnie już dopuściłaś do głosu, spróbujemy dalej. Na razie nie mam z was żadnego pożytku.

— A co on sobie wyobrażał, że ja mam znajomości wśród bandytów? — prychnęła Teresa gniewnie.

— Cicho bądź! — skarciła ją moja mamusia. — Niech mówi dalej, powiedział, że oprócz tej szajki Dorobków jest jeszcze coś innego.

Marek z niezmaconym spokojem trwał przy temacie. Wyciągnął i otworzył duży notes, podejrzalam mu przez ramię, że ma tam kawałek mapy.

— Skoro nikt nie zna Dorobków, to może ktoś zna takie miejsce. Proszę posłuchać, ale uważnie. Spróbujcie sobie wyobrazić to, co będę opisywał. Jest szosa.

Zatrzymał się i popatrzył na nas. Wszyscy przyglądali mu się w milczeniu z szalonym zainteresowaniem. Ciocia Jadzia pospiesznie schowała swój kalendarzyk i przybrała skupiony wyraz twarzy.

— Jest szosa — ciągnął Marek — niezbyt szeroka, dość rzadko obsadzona starymi drzewami, prawdopodobnie brukowana. Szosa prowadzi prosto do bramy ogrodzenia, zupełnie tak, jakby miała przez nią przejść. Tuż przed bramą skręca w lewo pod kątem prostym i zaraz potem, po pięćdziesięciu metrach, lekko w prawo, cały czas wzdłuż ogrodzenia. Na tym łuku w prawo, po lewej stronie, stoi kapliczka, zapewne murowana.

— A co jest za bramą? — r zaciekawiała się Lucyna.

— Pałac. W ogrodzie albo raczej w parku. Jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy stoi pałac, nie zamek, tylko pałac.

— A w tym pałacu co? — zainteresowała się Teresa.

— Straszy biała dama — powiedziałam ze zniecierpliwieniem. — Słuchajcie, co on mówi, bo nie o pałac tu chodzi. Wiem, co on opisuje, tylko nie wiem, gdzie to jest.

— Od szosy w bok odchodzą dwie drogi — kontynuował Marek z anielską cierpliwością. — Obie w prawo, jedna przeszło kilometr od bramy pałacu, druga jakieś sto dwadzieścia metrów. Ta druga, bliższa rezydencji, jest prostopadła do szosy. Obie drogi gruntowe. Po mniej więcej ośmiuset metrach schodzą się razem i jako jedna droga wchodzi do wsi. Tworzą jakby trójkąt, przy czym ta jedna, wychodząca z trójkąta, droga trafia prosto na pierwszą chałupę wsi, oddaloną zaledwie o dwadzieścia metrów. Ściśle biorąc nie na chałupę, tylko na bramę w ogrodzeniu chałupy. Wygląda to identycznie jak przed pałacem, tyle że droga skręca w prawo i już idzie prosto przez bardzo długą wieś. Przy tej pierwszej chałupie, prostopadle do drogi, rośnie rząd wysokich drzew...

— Przecież to Tończa — przerwała moja mamusia tonem łagodnego zdziwienia. — Tam są takie drogi, jedna trafia prosto na pałac Radziwiłłów, a druga prosto w chałupę naszej babci...

Wszyscy popatrzyli na nią w milczeniu, sądząc z wyrazów twarzy całkowicie bezmyślnie.

— I kapliczka tam stoi — dodała moja mamusia z lekkim ożywieniem. — Zaraz za pałacem, taka mała, bielona. A te drogi, co się razem schodzą, doskonale pamiętam, bo zawsze na nich stała taka wielka kałuża błota i tam właśnie wieprz mnie zrzucił, do tej kałuży, jak na nim jechałam w białej sukience.

Znów na chwilę zapanowało milczenie.

— Dlaczego jeździłaś na wieprzu? — spytała słabo ciocia Jadzia, jakby nieco oszołomiona.

— Piotrek mnie na niego wsadził, najmłodszy brat mamusi, ja miałam sześć lat, a on był niewiele starszy. Wieprz się niesamowicie wystraszył, wyskoczył za bramę i zrzucił mnie prosto do tej kałuży. Obydwoje dostaliśmy potem okropne lanie.

— Słuchajcie, ona ma rację — powiedziała nagle Lucyna. — To jest Tończa. I ten rząd wysokich drzew... Z drugiej strony ogrodzenie powinno być przy samej chałupie.

— Owszem, jest — rzekł Marek. — Posłuchajcie jeszcze trochę. Obok chałupy znajduje się studnia. Jakby przez pół chałupy przeprowadzić przekątną, to przekątna trafia akurat na studnię, w odległości sześciu metrów od narożnika. Działka jest długa, ma około czterystu metrów, ogrodzona dookoła, a w połowie długości mniej więcej, tuż za ogrodzeniem, znajduje się jakaś budowla gospodarcza. Chyba spichlerz...

— A za nim chlew i obora — przerwała Lucyna.

— Wąska droga, taka na jedną furmankę, prowadzi prosto pomiędzy budynkami gospodarczymi a ogrodzeniem, dalej na pola. Nazwa wsi prawdopodobnie zaczyna się na literę T...

— No przecież mówię, że Tończa! — przerwała moja mamusia.

— Cztery do ośmiu kilometrów od wsi znajdują się działki ziemi, noszące nazwę Wola, bez zabudowań...

— No właśnie, Wola, czekajcie, jak się ta Wola nazywała, tam gdzie były te kolonie...

— Prrrrr...! — zawarczała nagle okropnie ciocia Jadzia.

— Jezus kochany, co ci się stało?! — wzdrygnęła się nerwowo Teresa.

Podsłuchali na ten warkot wszyscy, nie wyłączając ojca. Ciocia Jadzia była w stanie euforii.

— Prrrrr, nie rozumiecie? Na tej mapie było! Prrrr, pe, er, pałac Radziwiłłów!

— Wszystko pięknie — powiedziała Lucyna, kiedy już bez żadnych wątpliwości, acz z bezgranicznym zdumieniem, zostało ustalone, że chodzi rzeczywiście o ten, a nie inny kawałek kraju. — Tylko chciałabym zobaczyć, skąd on zna Tończę z czasów naszej wczesnej młodości? Przecież teraz wszystko musi tam zupełnie inaczej wyglądać!

— Teraz, być może, wygląda inaczej, ale przed wojną wyglądało właśnie tak. Czy można wiedzieć, co się tam stało ze studnią?

— Ze studnią?—zdziwiła się moja mamusia. — Nic. Raz wleciała tam poduszka z gęsiego pierza, ale ją nasza babcia kazała wydostać. Poza tym brało się z niej wodę.

— A kiedy panie były tam ostatni raz?

Moja mamusia i Lucyna zaczęły czym prędzej liczyć na palcach i wyszło im, że przeszło czterdzieści lat temu. Teresa w działaniach matematycznych nie brała udziału, za młoda była i mogła źle pamiętać.

— Tak bym chciała pojechać tam jeszcze raz! — westchnęła moja mamusia z rzewną melancholią.

— Pojedziemy — zapewniłam ją bez namysłu, bo już widziałam, że na tym się skończy. — Tylko pewnie trzeba będzie zaczekać... .

Marek spojrzał na mnie tak, że czym prędzej ugryzłam się w język. Najwidoczniej miał jakieś plany, w których podróż mojej rodziny do Tończy mogła mu nabruździć. Wyrwałam się z propozycją jak Filip z konopi.

— Zaczekać, to znaczy tego, jechać przez Warszawę — dodałam, usiłując naprawić błąd. — Zrobić pranie, bo już wszystko będziemy miały brudne...

— Zrobimy pranie tutaj — przerwała moja mamusia, bardzo ożywiona perspektywą odwiedzenia miejsc dzieciństwa. — Tu jest chyba jakaś pralnia, nie?

Próbowałem kopnąć Lilkę, ale siedziała za daleko ode mnie.

— Jest, oczywiście — odparła zachęcająco ku mojej rozpaczycy. — Bardzo dobra i wszystko szybko pierze. Na mokro i na sucho. A moja pralka też jest bardzo dobra.

— Robimy pranie i jedziemy do Tończy — zdecydowała energicznie Teresa. — Ja też ją chcę obejrzyć jeszcze raz!

Mimo najszczęśliwszych wysiłków nie udało mi się już wpłynąć na zmianę tych decyzji. Tyle na tym zyskałam, iż okrzyknięto mnie najpodlejszą córką świata, wiadomo było bowiem, że w Warszawie moja mamusia zrobi pranie własnoręcznie, przypłacając to potem rozmaitymi dolegliwościami, tu zaś załatwi się sprawę szybko, łatwo i przyjemnie. Tak stanęło na praniu w Cieszynie.

— Niepotrzebnie się wyrwałaś z tym wyjazdem do Tończy — powiedział do mnie Marek z niezadowolaniem już późnym wieczorem. — Teraz będą się tam pchać, a mnie potrzeba jeszcze trochę czasu. Chciałbym sprawdzić kilka rzeczy...

Odwoziłam go do Zebrzydowic. Jechaliśmy powoli, po drodze omawiając osobliwą sprawę. Do odejścia pociągu miał przeszło godzinę.

— Sama wiem, że niepotrzebnie — przyznałam. — Co chcesz sprawdzić?

— Chciałbym wiedzieć, kto to jest ta pani Walters, bo w obu Dorobkach nie ma nic niezwykłego. Tyle że starszy Dorobek został ojcem młodszego w wieku lat dziewiętnastu, ale to nie jest karalne.

— A powinno być. Nie martw się, namówię Lilkę, żeby urządziła historyczną scenę rozpaczycy w razie, gdyby chciały za szybko wyjechać. Coś wykombinujemy.

— Jadą za wami już od Sopotu, dziwię się, że tego nie zauważyłaś. Znaleźli jakąś kartkę z waszym adresem w Świebodzicach, musiałyście ją chyba zgubić. Czatuja na Teresę z podziwu godnym uporem i obawiam się, że mogą jej zrobić coś złego, bo trochę nie panują nad sobą. To są amatorzy, popełniają takie głupie błędy, że się niedobrze robi.

— Pewnie — mruknęłam nieco jadowicie. — Ty byś tę Teresę już dawno upolował...

— A pewnie, że bym upolował, wielka mi sztuka...

Nagle uświadomiłam sobie, co on powiedział i o mało nie zjechałam do rowu. W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, zmylił mnie, Bóg wie który raz, tym tonem rzeczowej informacji, z której przecież, jak byk, wynikało, że tę Teresę mogą nawet zamordować!

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że oni ją chcą zabić?

— Oczywiście. Dziwię się, że im to do tej pory nie wyszło. Chyba dlatego, że nie mają doświadczenia. Wydaje mi się, że Teresa jest dla nich niebezpieczna, to znaczy oni uważają, że

jest niebezpieczna, i wobec tego istnieje możliwość, że wpadną w panikę i zrobią jakieś głupstwo. Trzeba jej po prostu pilnować.

Milczałam dość długo, bo w głowie mi się to nie chciało pomieścić. Prawdę mówiąc, do tej pory ani ja, ani nikt z rodziny nie traktował poważnie tych dziwacznych wygłupów. Zamordować Teresę, co za idiotyczny pomysł... Po co? Dlaczego?

Na kilka moich nerwowych okrzyków Marek oznajmił, że nie wie dlaczego i właśnie zamierza się dowiedzieć. Cienka nitka wiedzie do Tończy. Niech mnie ręka boska broni jechać teraz do Tończy i zwalić mu tam na kark całą rodzinę w komplecie!

— Poza czepianiem się Teresy oni wszyscy nie robią nic podejrzanego — dodał w zamyśleniu. — Nie wdają się w żadne nielegalne transakcje, w żadne afery, jeżdżą sobie turystycznie po kraju i nic więcej. Łapanie jej, usypianie i wpychanie siłą do samochodu było oczywiście skrajnym kretynstwem, gdyby zawiadomiła milicję, mieliby okropne nieprzyjemności...

— Ale ona nie zawiadomi milicji.

— I mam wrażenie, że oni o tym wiedzą. Ciekawe skąd. Czy ty jesteś pewna, że one dobrze zgadły? Na tej mapce jest Tończa?

:— Według tego, co słyszałam od urodzenia, wszystko się zgadza — powiedziałam, ciągle jeszcze wytrącona z równowagi. — Za studnią powinna stać ławeczka, a przy ławeczce powinna rosnąć grusza. Na tej gruszy siedziała Lucyna i zrzucała przejrzałe klapsy na panamę fatyganta naszej wujenki, bo jej się nie podobało, że ją podrywa. Wujence na koafiurę również. Rzecz jasna, była trochę młodsza niż teraz. Możliwe też, że gruszy już nie ma.

— Mówisz, grusza? — zainteresował się nagle Marek. — Za studnią? Zdaje się, że to właśnie w tym miejscu jest krzyżyk. Rób, co ci się podoba, ale przetrzymaj je w tym Cieszynie jeszcze chociaż ze trzy dni!...

*

Szaleństwo prania, które opętało z nagłą całą rodzinę i z którym musiałam się pogodzić, pozbawiło mnie sukienki. Część rzeczy oddano do pralni, a część kotłowała się w palce Lilki. Moją kieckę Teresa z rozpędu wrzuciła do pralki, zanim zdążyłam zaprotestować. Działo się to rano, kiecka była jedyną, jaka nadawała się na panujący upał, z kataklizmu, oprócz szlafroka, ocalała mi tylko spódnica i ciepła bluzka z golfem, które narażały mnie na śmierć z przegrzania,

pożyczyłam sobie zatem odzież od Lilki. Była to wytworna szata w wielkie, fioletowo–zielone kwiaty, z falbaną, z wielkim dekoltem, bez rękawów, chłodna i przewiewna.

— Mam nadzieję, że się gdzieś w niej potkniesz i też zjedziesz na tyłku ze skarpy — powiedziała Lilka z zaciętością, wręczając mi strój. — Możesz wpaść do wody w najbrudniejszym miejscu albo brać udział w gaszeniu pożaru. Nie, żebym ci źle życzyła, ale nie znoszę tej kiecki i niczego bardziej nie pragnę, jak tylko żeby się wreszcie zniszczyła.

— Dlaczego? — zdziwiłam się. — Bardzo dobra kiecka, cokolwiek może przesadnie efektowna, ale na upał znakomita. I pierna.

Określenie “pierne” oznacza wszystkie rzeczy, których rzeczywiście nie trzeba prasować po praniu. Im bardziej zachowują swoją pierwotną postać, tym bardziej są pierne i słowo to znacznie lepiej oddaje ich charakter niż jakieś tam non irony. Lilka je znała.

— Owszem, pierna — rzekła ponuro. — Piorę ją po każdym użyciu z nadzieją, że może pranie ją wykończy. Jak widzisz nic, ani drgnie. Dostałam ją od ciotki Zbyszka, z Brazylii, i muszę nosić na wszystkie rodzinne uroczystości. Niedobrze mi się robi od tych kolorów, a co do fasonu to już nie mówię, że talię mam gdzie indziej, zaś falbana skraca nogi, ale najbardziej brakuje mi kastanietów. Ciągłe mi się wydaje, że powinnam wskoczyć na stół i odtańczyć parę hiszpańskich tańców ludowych.

Byłam widocznie mniej obowiązkowa od niej, bo nie czułam potrzeby wskakiwała na stół. Moja niebieska szmizjerka suszyła się w ogródku, ja zaś wyruszyłam w świat w jaskrawej szacie z Brazylii.

Zostałam wysłana do Ustronia w celu nabycia rannych pantofli dla Teresy, na swoją nogę, bo nosiłyśmy ten sam numer. Miały to być kierzki, ale nie całkiem płaskie, tylko na niewielkim koturniku, a sprzedawał je podobno pewien chłop w małym, prywatnym sklepiku. Lilka objaśniła mi bardzo dokładnie, gdzie to jest, wyruszyłam zatem chętnie, zarówno z uwagi na okazję uniknięcia w ten sposób pralniczego obłędu, jak i na skutek osobistego zainteresowania kierzkami na koturniku.

Sklepik znalazłam, po kierzkach nie było w nim nawet śladu, chłop mnie poinformował, że owszem, czasami miewa, ostatni raz w lutym, a czy i kiedy będą jeszcze, nie wiadomo. Rozejrzałam się zatem, czyby nie kupić czegoś w zamian.

Znajdowałam się w starej części Ustronia, z dala od wczasów i kurortów, na jakimś malutkim placu, którego nawierzchnię stanowił po większej części ubity grunt, a po mniejszej kocie łby. Handel kwitł dość niemrawo, ale jednak kwitł. Być może był to dzień targowy, który koło południa miał się już ku końcowi. Ludzi, przeważnie tubylców, płatało się niewielu.

Najpierw zobaczyłam kota. Siedział w plamie słońca pod straganem i był tak cudownie piękny, że mi oko zbieleło. Absolutnie czarny, bez najmniejszej białej plameczki, wielki, aksamitny, patrzył obojętnie na mnie i na świat bursztynowymi oczami. Przelotnie stwierdziłam, że na straganie leży nabiał, sery, stos jajek, śmietana w garach, oprócz tego kiszzone ogórki w słoju, porzeczeki w łubiankach i żywy drób w koszyku. Stragan stanowiła deska na zwyczajnych, nieco chwiejnych krzyżakach, osłonięta starym, zdezelowanym, plażowym parasolem. Jednym okiem wpatrzona w kota, drugim niewyraźnie dostrzegłam, że dalej, w głębi, znajduje się sklepik, obok prosperuje parę innych straganów, jeden z nich, warzywniczy, kontrastuje z szewcem, którego ma “za plecami, i dopiero na końcu zauważyłam babę. Stała przy straganie z kotem i obmacywała sery, a zielone grochy na jej bluzce lśniły jak żywe.

Na moment znieruchomiałam i pomyślałam wszystko naraz. Nie powinna mnie poznać, bo jestem w kiece Lilki, w ciemnych okularach i bez samochodu, który zostawiłam w pewnym oddaleniu, w cieniu drzew. Nawet jeśli mnie zapamiętała, to po pierwsze przy kierownicy, a po drugie w zupełnie innym odzieniu. Musi to być ona niewątpliwie, baba z szajki Dorobków, wielka, gruba, wspaniała, w zielonych spodniach i w tej bluzce w zielone grochy. Ma perukę. Nie przyjechała tu za mną, bo nikt za mną nie jechał. Bezwzględnie muszę przyjrzeć się jej z bliska, zdjęła słoneczne okulary, trzyma je w ręku, może rozpoznam tę twarz, może uda mi się dokładnie ją opisać, w każdym razie postaram się ją zapamiętać... Nie zwracać na siebie jej uwagi...! Jeśli podejść i zacząć macać dla odmiany jajka, spojrzę bez wątpienia, może nabrać podejrzeń... Jakoś inaczej... Kot...!

Wszystko to przeleciało mi przez głowę w czasie mniej więcej jednej sekundy. Nie zastanawiałam się już ani chwili dłużej. Przykucnęłam, wyciągnęłam rękę i zaczęłam się podczołgiwać w kierunku kota.

— Kici, kici... — wyszeptalam przymilnie, patrząc równocześnie na kota i na nogi w zielonych spodniach.

Nogi trwały Spokojnie, kot spojrział na mnie z nikłym cieniem nieufnego zainteresowania. Przelazłam w kucki jeszcze z półtora metra, zmiatając falbaną Lilki kurz i podsuszone końskie łajna, cały czas wabiąc czułym głosem prześliczne zwierzątko. Znalazłam się prawie pod straganem, tuż u stóp zielonych grochów.

Skąd się wziął pies, nie mam pojęcia. Potworny jazgot wystrzelił mi nagle za plecami, kot wykonał błyskawiczny w tył zwrot i jak czarny pocisk wpadł do sklepiku za straganem, pies, śmieszny, zajadły kundel, z przeraźliwym szczekaniem runął za nim, prosto babie pod nogi. Wrzasnęła, odwróciła się gwałtownie, od dołu, z mojej pozycji w kucki ujrzałam przerażone,

śmiertelnie zaskoczone, wielkie, niebieskie, porcelanowe oczy, machnęła ręką, czyniąc gest, jakby łapała się za pośladek, i w tym momencie ją poznałam!

Z wrażenia pozycję w kucki zmieniałam na siedzącą i na tym skończyły się wykonywane przeze mnie czynności. W pozostałych wydarzeniach brałam udział całkowicie bierny.

Baba w grochy, której pies ostro podciął nogi, chcąc odzyskać równowagę, chwyciła za deskę straganu i słupek parasola, baba za straganem, również z przeraźliwym wrzaskiem, w obronie kota rzuciła się zatrzymać psa, schylając się pchnęła ową deskę i wszystko razem z hukiem i trzaskiem zważyło się w moją stronę. Baba w grochy usiadła z takim impetem, że ziemia jęknęła, deska zatrzymała się jej na gorsie, nabiał i warzywa utworzyły jeden melanz, z tym że na nią poleciały głównie sery i masło, na mnie zaś ogórki, jajka i śmietana. Zdażyło mi jeszcze przemknąć przez głowę, że gdyby jajka były na twardo, sałatkę można by od razu zjeść, po czym cała ruina znikła pod łagodnie falującym płótnem parasola.

Sodoma i Gomora zrobiła się, rzecz jasna, absolutna. Przybywająca zewsząd pomoc zwiększyła zamieszanie. Jakieś osoby szarpały kryjące ruinę płótno parasola w dwie przeciwne strony, żywy drób rozpierzchł się po placyku z przenikliwym wrzaskiem. Wyczołgałam się spod baldachimu, z piaskiem w zębach i w nosie, nie bacząc na to, że rozgniatam resztę jajek, falbana Lilki rozpruła mi się o jakiś gwóźdź, przytrzymałam okulary i stanęłam na nogach. Kotłowanina trwała nadal, babę w grochy, żywą i zdrową, wywlekano spod deski i parasola. Nie poświęciłam temu więcej uwagi, porzuciłam przedstawienie i oddaliłam się czym prędzej, nieopisanie przejęta swoim odkryciem.

Są sceny, które zostają człowiekowi w pamięci na całe życie, nawet jeśli miały miejsce w jego wczesnym dzieciństwie. Bóg raczy wiedzieć, jak mnie wychowywano, opinie o sobie słyszałam rozmaite, raz byłam bardzo grzeczną dziewczynką, raz najnieznośniejszym bachorem świata, czasem czymś pośrodku, różnie. Z pewnością byłam jedynym dzieckiem w całej dorosłej rodzinie, bo Lilka wychowywała się w innych rejonach kraju, nie razem ze mną, a oddzielnie. Powinno to się jakoś na mnie odbić i, wnioskując z zapamiętanej na zawsze sceny, istotnie odbiło niewąsko.

Rzecz działa się w przedwojennym mieszkaniu mojej babki. Teresa i jej przyjaciółka, niejaka panna Edyta, obie naówczas młode panienki, ale dla mnie osoby godne i dorosłe, stały przy dużym, prostokątnym stole i oparte na nim łokciami, z wypiętym tyłem, oglądały żurnale. Mnie zaś rozwiązał się, czy może odpiął, pantofel. Liczyłam sobie lat cztery i z zapięciem nie mogłam się uporać. Na moje prośby, ryki, biadolenia i inne natręctwa zaabsorbowane żurnalami damy nie zwracały żadnej uwagi, jakby nagle ogłuchły. Uznałam zatem za słusne zwrócić na siebie tę ich uwagę jakoś porządniej i dosadniej, bo jakże — ja mam odpięty

pantofel, a otoczenie na to nic! No i zrobiłam coś zupełnie osobliwego, co wskazuje między innymi, że musiałam być dzieckiem nieźle wygimnastykowanym. Mianowicie nogę z pantoflem oparłam na krawędzi stołu, ręką zaś wykonałam potężny zamach i z całej siły trzasnęłam w wypięty tyłek panny Edyty!

Pod każdym względem stanowiło to coś, jakby grom z jasnego nieba. I dźwięk, i efekt pasowały. Obie poderwały się znad stołu jak rażone piorunem, a panna Edyta chwyciła się za pośladek. Do dziś dnia z najdoskonalszą dokładnością pamiętam pełen zgrozy wyraz twarzy Teresy i śmiertelne zaskoczenie, przerażenie, osłupienie, malujące się w wielkich, niebieskich, porcelanowych oczach jej przyjaciółki.

Identycznie ten sam wyraz tych samych wielkich, niebieskich, porcelanowych oczu, przy takim samym gościu i z podobnej pozycji ujrzałam teraz przy straganie z nabiałem. Pomyłka była wykluczona, takich rzeczy się nie zapomina...

Lania wówczas nie dostałam, aczkolwiek mój czyn wstrząsnął całą rodziną. Gdybym jeszcze na ofiarę wybrała sobie Teresę, awantura byłaby mniejsza, ale nie, ja już poszłam na całego, strzeliłam w obcą osobę! W gościa! Wyjaśnienie, że po prostu panna Edyta była bliżej, jakoś nikomu nie przemawiało do przekonania. Pamiętam, że zdziwiona z początku ogromem wyrzutów poczułam się w końcu trochę nieswojo i przyszło mi na myśl, że może istotnie z tym zwracaniem na siebie uwagi odrobinę przesadziłam.

Panna Edyta... Oczywiście, ta baba w grochy to była panna Edyta, pięć razy grubsza, ze trzy razy starsza, w ciemnej peruce, ale zawsze z tymi samymi wielkimi oczami z lśniącej, błękitnej porcelany. Poznałam ją bezapelacyjnie, nie istniał nawet cień wątpliwości!

Wsiadając do samochodu i usiłując nie przenieść rozmazanych jajek w śmietanie z kiecki Lilki na fotel, zaczęłam wydobywać się spod ogromu oszołomienia. Babą w grochy okazała się panna Edyta, przedwojenna przyjaciółka Teresy, poznałam ją, nadal jednak nie miałam najbledszego pojęcia, co o tym myśleć, i nadal nic nie rozumiałam. Trzasnęłam ją w tyłek przed wieloma laty, no i cóż takiego w końcu, nic jej się przez to nie stało. Nie ulegało wątpliwości, że wydarzenie to musiała pamiętać przez całe życie, ja w każdym razie na jej miejscu bym pamiętała, ale co z tego? Dlaczegoż, u diabła, panna Edyta miałaby dybać na Teresę? Chce się zemścić za owo trzaśnięcie...?!

— Jak widzisz, zrobiłam, co mogłam — powiedziałam smętnie do Lilki, prezentując jej strój w pożałowania godnym stanie. — Boję się, że większość zejdzie, a to podarte da się zeszyć, ale i tak nieźle popchnęłam sprawę.

Lilka oglądała mnie, nadzwyczajnie uszczęśliwiona.

— Genialnie! — zachwyciła się. — Skąd tam zejdzie, na tyłku masz smołę. Jak ci się to udało? Brałaś udział w katastrofie?

— Prawie. Uboczne skutki śledczych działań. Ciekawe, skąd smoła, nie zauważyłam jej... Dokonałam odkryć.

— Nie masz pojęcia, jaka ci jestem wdzięczna. Jakich odkryć?

— Zaraz ci powiem, tylko pozwolisz, że się przedtem umyję, bo mi się wszędzie coś maże. Gdzie to całe towarzystwo?

— Baby skończyły pranie i poleciały z Teresą obejrzeć rotundę, okazało się, że jej nigdy nie widziała. A twój ojciec jest na rybach. Mam nadzieję, że go nie porwą?

— Ja też mam taką nadzieję. Nie porywali do tej pory, to dlaczego mieliby teraz zaczynać?

W dwie godziny później narada wojenna była już w pełnym toku. Informacją o pannie Edycie wprowadziłam w osłupienie zarówno moją mamusię, jak i wszystkie ciotki. W pierwszej chwili nie chciały mi wierzyć.

— Jakim cudem możesz to pamiętać, skoro miałaś wtedy cztery lata? — pytała Lucyna podejrzliwie. — Czy ci się coś nie pomyliło?

— Edyta była wtedy jak sylfida, taka wiotka blondyna, odchudzała się bez przerwy, chciała udawać gwiazdę filmową — mówiła Teresa. — A teraz co? Gruba gropa!

— Ale oczy jej zostały te same — upierałam się.

— Taki odcień rzadko się zdarza, czysta, jasna ultramaryna. I zauważcie, że ją widziałam z tej samej strony i z tego samego poziomu, wtedy miałam cztery lata i patrzyłam na nią do góry, a teraz przez przypadek siedziałam w kucki i też patrzyłam na nią do góry. Od razu mi się przypominała!

— Czy możecie mi powiedzieć, gdzie ja wtedy byłam? — dopytywała się moja mamusia z irytacją. — Nie mogłam być w domu, bo przecież sprawiłabym jej takie lanie, że coś okropnego!

— Nic podobnego, żadnego lania byś jej nie sprawiła. Niechby w ogóle ktoś spróbował ją tknąć!

— Ktoś to co innego, ale ja bym ją tknęła!

— Pewnie gdzie na łafry poleciałaś — poinformowała Lucyna jadownicę. — Ciągłe latałaś jak kot z pęcherzem, a jedynaczkę podrzucałaś byle komu...

— Nasza mamusia to był byle kto?

— Tylko słuchaj, jakie byłam nieszczęśliwe, zaniedbane dziecko — mruknęłam zgryźliwie do Lilki.

— Powinnam tkwić w kompleksach powyżej uszu. Hej, przestańcie się kłócić, zastanówcie się lepiej nad tą panną Edytą! Co się z nią właściwie stało później, po tym przyjemnym wydarzeniu? Nie przypominam sobie, żebym o niej słyszała po wojnie.

Wszystkie nagle umilkły. Teresa i ciocia Jadzia popatrzyły na siebie zarazem niepewnie i porozumiewawczo. Moja mamusia, Lucyna, Lilka i ja przyglądałyśmy się im jednakowo ciekawie.

— Dorobek — wyszeptała cichutko ciocia Jadzia.

— Czy on się przypadkiem nie nazywał Dorobek?

— Nie — odparła Teresa z niechęcią po chwili milczenia. — Nazywał się Wojdarski, doskonale pamiętam. Ale on ją porzucił i wyszła potem za mąż za kogoś innego.

— No właśnie — szepnęła ciocia Jadzia jeszcze ciszej. — Za Dorobka...

Obie znów popatrzyły na siebie. Między nimi, nad gotowanym kurczakiem i twarożkiem z koperkiem, wionęło romantyczną tajemnicą. Przypomniałam sobie, że przecież Teresa i ciocia Jadzia od najdawniejszych czasów były zawsze najlepszymi przyjaciółkami od serca. Miały jakieś swoje sekrety, o których nikt z rodziny nie wiedział. Historyczne już dziś sekrety wyłażą na światło dzienne, ściśle splątane z aktualnymi, podejrzanymi wydarzeniami...

:— No dobra, już nie wygłupiajcie się — powiedziała Lucyna ugodowo. — To już było tyle lat temu, że możecie przestać robić te tajemnicze miny. Wszyscy wiedzą, że Edyta to była ta... no... taka... ta..

— Ladacznica — odpowiedziałam życzliwie.

— A ty skąd o tym wiesz? — rzuciła się na mnie Teresa.

Zdziwiłam się, bo odpowiedziałam pierwsze słowo, jakie mi przyszło na myśl i skojarzyło się z zapamiętaną atmosferą.

— A co, rzeczywiście? No owszem, chodziło mi po głowie coś takiego. Ciągłe się o niej mówiło półgębkiem, teraz też nabieracie wody w usta, to niby co ona może być innego? Święta Cecylia z narcyzami?

— No więc ja nie wiem — oznajmiła niepewnie ciocia Jadzia. — Ale przecież ona naprawdę wyszła za mąż, tylko że to już się odbyło w czasie wojny, więc tak jakoś po cichu i ciągle mi się teraz wydaje, że za tego Dorobka.

— Opamiętajcie się — rzekłam z naganą. — Młodszy Dorobek ma dziewiętnaście lat, starszy dwa razy tyle, czyli trzydzieści osiem, czyli urodził się, zaraz, niech odejmę... w 1937 roku. To ile lat ma Edyta? I co, miała już tego Dorobka, jak ją waliłam w tyłek? Coś mi się tu nie zgadza. Albo wyjaśnicie wszystko, albo zaczniecie być podejrzone. Nie uwierzę, że Edyta, nawet w czasie wojny, wyszła za mąż za faceta, który miał wtedy od dwóch do siedmiu lat.

Teresa siedziała w posepnym milczeniu, ciocia Jadzia spoglądała na nią trochę niespokojnie, a trochę jakby z wyrzutem. Moja mamusia z urazą przyglądała się im obu. Lucyna wzruszyła nagle ramionami.

— Zupełnie nie rozumiem, co wam zależy na tym, żeby jeszcze po czterdziestu latach ukrywać, że ten Dorobek, czy jak mu tam, był nieślubny — powiedziała zgryźliwie. — Wielkie mecyje, co to kogo teraz obchodzi? Według mnie, to w ogóle nie był Dorobek, tylko całkiem ktoś inny, bo żadnego Dorobka wtedy nie znała.

— No, nareszcie ktoś to powiedział! — westchnęła ciocia Jadzia z bardzo wyraźną ulgą. — Pewnie, że to nie był Dorobek. Już sobie przypominam, wyleciało mi z głowy kompletnie, ale teraz wraca. Dorobek to dziecko adoptował, a tak naprawdę to to był ten... no, jakże mu tam...

— Wojdarski — mruknęła Teresa z irytacją. — Ile ja się wtedy nauzeralam, żeby pomóc jej to ukryć, to ludzkie pojęcie przechodzi! Lucyna węszyła, mamusia podejrzewała mnie, a miałyśmy chyba po siedemnaście lat... Tak, siedemnaście. No a potem rzeczywiście wtryniła to dziecko Dorobkowi.

— I nie mogłaś sobie tego przypomnieć, jak Marek pytał o Dorobka? — powiedziała moja mamusia niedowierzająco.

— To pamiętałam, owszem, ale w pierwszej chwili nie kojarzyłam nazwiska. Nie znałam go przecież osobiście! To już było później, ja się przyjaźniłam z Edytą na etapie Wojdarskiego.

— To znaczy, że to dziecko, to jest nasz Dorobek starszy? Ten obecny? — upewniłam się, bo zaczęły mi się mylić pokolenia. — A Dorobek młodszy, jeśli nie ma w tym żadnego kantu, byłby jej wnukiem?

— Co? No owszem, byłby. Najgorsze ze wszystkiego było to, że ja się w tym Wojdarskim kochałam śmiertelnie, a on puścił w trąbę Edytę i zaczął latać za moją siostrą.

— Za którą? — zdziwiła się moja mamusia.

— No przecież nie za mną — powiedziała drwiąco Lucyna.

Moja mamusia zdziwiła się jeszcze bardziej.

— To jak to, za mną? Pierwsze słyszę. Był jakiś taki, coś mi się nawet przypomina, że Edyta i Teresa miały do mnie jakieś pretensje, czepiały się, ale nigdy nie wiedziałam dlaczego. Nic nie wiem o latającym Wojdarskim.

— Bo równocześnie latał za tobą ten głupkowaty hrabia, który się potem zastrzelił na grobie swojego pradziadka — wyjaśniła z satysfakcją Lucyna. — I zajęta byłaś hrabią.

— Nie na grobie pradziadka, tylko w bramie cmentarza — sprostowała moja mamusia.

Poczułam, że dość gwałtownie oddaliśmy się od panny Edyty.

— Czekajcie, wróćcie do tematu! — zażądałam energicznie. — Jeżeli ona miała nieślubnego Dorobka, pardon, nieślubnego Wojdarskiego, którego podrzuciła ślubnemu Dorobkowi, to to ostatecznie jeszcze nie jest nic takiego. Od jednego nieślubnego dziecka nie zostaje się od razu ladacznicą, nawet przed wojną...

— To już było w czasie wojny — poprawiła mnie ciocia Jadzia.

— Tym bardziej. Ów Dorobek to jakiś porządny facet, a ona mogła być najlepszą żoną świata. Widać, że pomiotu nie udusiła, tylko starannie pielęgnowała, aż wyrósł. Musiała wykombinować coś więcej, skoro, o ile sobie przypominam, wspominało się ją jak jakiś gatunek wenerycznej choroby. Co to było takiego?

Przez dość długą chwilę nie uzyskiwałam żadnej odpowiedzi.

— Duże stada takich Wojdarskich — oświadczyła wreszcie Teresa z nagłą determinacją.

— I z wszystkimi miała nieślubne dzieci? — zdumiała się moja mamusia.

— Głupia jesteś. Miała gachów na kopy. I w ogóle tam... tego... nie lubię jej wspominać!

Błysk w oku cioci Jadzi, która spojrzała na Teresę jakoś dziwnie i kilkakrotnie odchrząknęła, wydał mi się stanowczo podejrzany. Z pewnością istniało tam coś jeszcze, o czym do dziś dnia nie chciały mówić. Być może właśnie to coś wyjaśniłoby całą sprawę...

— Wszystko to bardzo piękne — odezwała się nagle Lilka. — Tylko że przez cały czas mówicie o jakichś Wojdarskich i Dorobkach. A ta baba nazywa się, o ile pamiętam, Walters. I przyjechała z Kanady. To co to znaczy?

Zamurowała nas tym prostym pytaniem doszczętnie, bardzo długo żadna nie umiała jej odpowiedzieć.

— No więc właśnie — rzekła Lucyna. — Czyś ty się nie pomyliła? Czy to .rzeczywiście jest ta sama Edyta?

Cała polka zaczęła się na nowo. Udowadniałam, że imię się zgadza, Edith Walters, porcelanowe oczy, Teresa przyświadczała, że istotnie Edyta miała zawsze te oczy jak lalka, Lucyna upierała się, że przeżyć z czasów, kiedy miałam cztery lata, nie mogę pamiętać, moja mamusia usiłowała dociec, co ta ladacznica robiła z Wojdarskimi, ciocia Jadzia wyrzucała z siebie jakieś niezrozumiałe fragmenty słów i po każdym milkła gwałtownie, Lilka nie wytrzymała i zaczęła maglować Teresę o wszystkie kanadyjskie znajomości. Nie wiadomo, do czego byśmy doszły, gdyby nie nagłe odkrycie, że jest późna noc, a ojca jeszcze nie ma. Panna Edyta w mgnieniu oka wyleciała nam z głowy.

— Gdzie on pojechał na te ryby? — spytała moja mamusia, zdenerwowana. — Gdzieś daleko?

— Chyba nie bardzo — odparła Lilka niepewnie. — Ale mógł przeoczyć ostatni pociąg albo autobus i teraz wraca piechotą.

— Mógł zostać gdzieś tam do rana, żeby połowić o świcie — powiedziałam pocieszająco.

— Mam nadzieję, że się nie utopił? — zaniepokoiła się Teresa.

Możliwości ojca okazały się nagle nieograniczone. Mógł zrobić mnóstwo rzeczy, popełnić najosobliwsze czyny, mógł na przykład przekraczać Olzę i zostać zatrzymany przez WOP. Mógł ją przekroczyć i zostać zatrzymany przez czeską straż graniczną. Mógł wracać na piechotę i zabłądzić. Mógł w ogóle zapomnieć, że ma wrócić...

— Nawet jeśli idzie piechotą nie wiadomo skąd, do rana powinien dojść — zawyrokowała Lucyna.

— No, niech ja go tylko zobaczę... — powiedziała moja mamusia złowieszczo.

Rano ojca jednakże nadal nie było. Epidemia zaginięć najwyraźniej w świecie rozpanoszyła się w tej rodzinie. Śniadanie przeszło w atmosferze narastającego niepokoju, zastanawialiśmy się właśnie, co robić i gdzie szukać zguby, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyłam w zastępstwie Lilki, nie zobaczyłam nikogo, na wszelki wypadek spojrzałam w dół i dostrzegłam na podłodze niebieską kopertę. Na dole usłyszałam tupot nóg. Rzuciłam się do okna na podeście pół piętra niżej, znów nie zobaczyłam nikogo, zbiegłam na dół, do ogródka, a potem na ulicę. Ktokolwiek dzwonił do drzwi, uciekł i nie zostało po nim śladu. Porozglądałam się jeszcze przez chwilę, po czym wróciłam na górę.

W niebieskiej kopercie znajdował się list, przepięknie wyprodukowany według wszelkich kryminalnych reguł, złożony z liter i słów wyciętych z gazety i naklejonych na kawałku papieru. Treść listu była nieopisanie dziwaczna i brzmiała następująco:

“Pan Jan nie zostanie wypuszczony, dopóki Teresa się nie odczepi. Za trzy dni zacznie być głodzony. W razie zawiadomienia milicji zostanie zabity natychmiast. Utonie przy połowie ryb. Teresa ma wyjechać.”

Podpisu nie było. Cała rodzina trwała w osłupieniu, wpatrzona w niezwykle korespondencję. Nigdy dotychczas nie przytrafiło nam się nic nawet zbliżonego.

— Zwariowali, jak Boga kocham! — powiedziałam, śmiertelnie zdumiona. — Chyba im coś na umysł padło! Przecież to piramidalna bzdura!

— To chyba jakieś maniactwo... — rzekła niepewnie Lilka.

— Teresa, może się jednak odczep? — zaproponowała Lucyna raczej bez przekonania.

Teresa zachnęła się z irytacją i oburzeniem.

— Zgłupiałaś czy co? Od czego?

— Nie wiem. Ale sama widzisz, że czegoś się czepiasz...

— Do licha! — zatroskała się nagle Lilka. — Wiec jednak rzeczywiście go porwali! Ze też mi język kołkiem nie stanął, jak wymawiałam to w złą godzinę!

Moja mamusia i ciocia Jadzia zdenerwowały się natychmiast do szaleństwa, Lucyna po krótkim namyśle dostała ataku histerycznego śmiechu. Teresa była wściekła.

— Czy ten twój Marek nic nie może zrobić?! — wrzasnęła do mnie z furją. — Nic nie rozumiem z tego idiotycznego listu! Niechże znajdzie tego twojego ojca! Czego oni chcą ode mnie, gdzie ja mam wyjeżdżać za trzy dni?

— Nie przejmuj się, człowiek wytrzyma bez jedzenia czterdzieści — pocieszyłam ją. — Grunt, żeby nie zawiadamiać milicji, ale to i tak nie miałyśmy zamiaru... Gdzie tego ojca mogli złapać, niech ja skonom, Lilka, nie ma tu w okolicy jakiej szopy albo bunkra, albo obory, albo czegoś takiego? Nie wożą go przecież chyba w tym swoim peugeocie?

— Szopów jest od groma i trochę — odparła Lilka, szczerze zmartwiona. — Tego, chciałam powiedzieć szop. Bunkrów i oborów także. Tego, chciałam powiedzieć obór. Czekaaj, zastanówmy się, gdzie mógł jechać na ryby, nie do Ustronia czasem?

— W Ustroniu była wczoraj ta cała Edyta. Może i rzeczywiście pojechał do Ustronia i tam go przyłapali. Ale wywieźć mogli w każdą stronę... Co za kretynstwo, swoją drogą, nienormalni są czy co? Słuchajcie, a może to jakiś dowcip?

— Jaki dowcip, jeśli ojca nie ma! — krzyknęła moja mamusia tragicznie.

— E tam — powiedziała Lucyna. — Wygłupiają się. Nie zwracajmy uwagi, to go wypuszczą.

— Jak wypuszczą, skąd wypuszczą, jeśli Teresa nie odczepi się i nie wyjedzie?

— Zwariowałaś i ty? Też ci coś na umysł padło? — zdenerwowała się Teresa. — Gdzie ja mam wyjeżdżać? Do Kanady? Za trzy dni? Przez fanaberie jakichś przygłupków?

— Dobrze jeszcze, że nie każą nam okupu płacić — zauważyłam filozoficznie. — Uspokójcie się, znajdziemy przecież tego ojca, oni postępują tak idiotycznie, że to nie powinno być trudne. Mamy czas, na razie jeszcze go nie głodzą, dopiero za trzy dni zaczną.

— Jeśli zobaczą, że Teresa się nie rusza, mogą zacząć od razu — rzekła Lucyna złowieszczo.

Teresa dostała istnego szału.

— To co, mam się ruszać? Krakowiaka tańczyć wzdłuż ulicy? Czy może uważasz, że powinnam dostać epilepsji, konwulsji, drgawek świętego Wita...?!!!

— Świętego Wita nie, ale mogłabyś polatać trochę z walizkami. Ostatecznie twój szwagier nie jest taki spasiony, żeby mu głodówka nie zaszkodziła. Łatwo mu kiszkki do krzyża przyschną...

— Słuchajcie, one się pobijają! — powiedziała ciocia Jadzia z rozpaczą. — Zróbcie coś!

Ostateczny efekt otrzymanej korespondencji był wielce oryginalny. Pomieszenie zmysłów okazało się udzielające. Nie mogąc dociec, co właściwie nadawcy mieli na myśli, nie mając pojęcia, gdzie szukać ojca, po gwałtownej, acz krótkiej naradzie zdecydowałyśmy się zastosować podstęp.

Podstęp miał wyglądać następująco:

Przede wszystkim należy symulować odjazd. Należy udać, że wystraszona Teresa odczepia się od wszystkiego i cała rodzina pospiesznie wyjeżdża. Następnie należy oddalić się byle gdzie samochodem, sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi, przeczekać w bezpiecznym miejscu do zmroku, wrócić w pobliże też samochodem, po czym chyłkiem, pojedynczo, przekraść się do Lilki, U niej spokojnie poczekać na Marka, nie wychylając nosa z domu.

Nie był to może najlepszy pomysł świata, ale uważałam, że coś trzeba zrobić, symulować jakąkolwiek reakcję, żeby powstrzymać przeciwników od dalszych działań. Cały czas miałam w pamięci słowa Marka, że ci amatorzy w panice mogą popełnić jakieś głupstwo i zaczynałam się naprawdę niepokoić o ojca. Lucyna gwałtownie nastawała na realizację projektu z czystej ciekawości, co z tego wyniknie, pozostałe osoby zaś zgłupiały ze zdenerwowania i godziły się na wszystko.

W godzinę później, w samo południe, odbył się nasz niesłychanie demonstracyjny odjazd sprzed domu Lilki, która długo padała nam w objęcia, a potem machała za nami ścierką do talerzy, uznawszy, że chusteczka mogłaby być za mało widoczna. Do bagażnika władowałam puste walizki i torby, zażądawszy uprzednio, żeby nikt nie zapomniał uginać się pod ich ciężarem. Upchnęłam wszystkie w samochodzie i powoli ruszyłam.

— Teresa, wyciągaj jaką białą szmatę i płacz! — rozkazałam. — Nie psujcie mi tu przedstawienia! Najlepiej wszystkie płaczcie w cokolwiek, byle wyraźnie!

Lucyna posłusznie wydała z siebie natychmiast potężny ryk, od którego spłoszył się koń węglarza, bo okna w samochodzie miałam otwarte. Moja mamusia czym prędzej wyciągnęła z torby jakiś tekstylny towar i przytknęła do nosa.

— Nie smarkaj w mój szalik! — wrzasnęła Teresa.

Rozglądałam się za wiśniowym peugeotem, ale nigdzie nie było go widać. Niebezpieczeństwo stanowił jeszcze młody Dorobek na motorze, który mógł mi towarzyszyć nawet po polnych ścieżkach. Doszłam do wniosku, że pozbyć się go pozwoli mi tylko szybkość, wyjechawszy zatem z Cieszyna, docisnęłam, ile się dało.

— Pilnuj drogi — ostrzegłam moją mamusię. Ma być Pruchna, a potem w prawo drogowskaz na Bąków. Zapomniałam, co tam po drodze, patrz w mapę i pilnuj, żebyś nie przeoczyła.

Ruch na szosie panował średni, trochę samochodów osobowych, trochę ciężarówek i trochę międzynarodowego transportu w postaci wielkich kobył, skutecznie niweczających wszelką widoczność. Każdy wyprzedzony pojazd odcinał mnie od ewentualnego pościgu, motory trafiały się gęsto, ale żaden nie trzymał się nas uporczywie. Dorobków z panną Edytą najwyraźniej nie było, widocznie zadowolili się obserwacją naszego odjazdu. Uznałam, iż podstęp, aczkolwiek idiotyczny, w zupełności się udał, i pchałam się dalej, na wszelki wypadek nie zwalniając.

— Pruchna! — krzyknęła nagle moja mamusia straszliwym głosem. — W prawo!

Przyhamowałam z przeraźliwym kwikiem opon i nie zastanawiając się, co robię, skręciłam w prawo. Asfalt skończył się po dziesięciu metrach, kocie łby po stu, zwolniłam nieco na gruntowej drodze, bo z szosy i tak już przestałam być widoczna. Przedemną znajdowała się jedna furmanka i las. Zatrzymałam się w jego cieniu.

— Coś mi tu nie gra — powiedziałam nieufnie.

— Jesteś pewna, że to właśnie tu miałam skręcić? Zdawało mi się, że powinien być Bąków, gdzie on jest? Widziałam jak byk drogowskaz na Drogomyśl.

— Kazałaś mi pilnować Pruchny, żeby skręcić w prawo — odparła moja mamusia z lekką urazą.

— No to upilnowałam. Nie ukradłam przecież tego Bąkova, nie moja wina, że go nie ma.

Obejrzawszy mapę, stwierdziłam, że skręciłam o trzy kilometry za wcześnie. Moja mamusia znów mnie wywiodła na manowce. Pogodziłam się z tym, zbadawszy, że i tak przedostanę się do szosy, która była moim celem, i którą miałam okrężną drogą wrócić do Cieszyna. Tyle że będę musiała odpracować kawałek terenowej jazdy.

— Zdaje się, że w złą godzinę mówiłaś o tych bocznych drogach — rzekłam z melancholijnym westchnieniem do Teresy, ruszając dalej. — Już chyba nie może być boczniejszych niż te, którymi uporczywie jeździmy.

— Ale tu jest bardzo ładnie — zauważyła żywo Lucyna. — Las blisko. To przecież wszystko jedno, gdzie przeczekamy do wieczora, możemy tu.

— Trochę dalej — odparłam stanowczo. — Na końcu drogi. Wjadę do lasu, bo te wertepy wolę przebyć za dnia. Schowam samochód w jakichś krzakach...

Resztę dnia spędziłyśmy nawet miło. Pożywienie znajdowało się w torbie mojej mamusi, las był jakoś mało uczęszczany, rosły w nim poziomki, jagody i maliny, ludzie się prawie nie

pętali. Brakowało tylko grzybów. Stwierdziłyśmy, że między lasem a szosą znajduje się jakaś duża woda, zidentyfikowałyśmy ją jako cokolwiek zapuszczone stawy rybne, i wreszcie doczekaliśmy zachodu słońca. Zaczęłyśmy się zbierać i wówczas okazało się, że nie ma Lucyny.

— Nie, wiecie, że to jest nie do zniesienia! — zawyrokowała Teresa z irytacją. — Jeżeli ja nie zwariuję przez własną rodzinę, to będzie istny cud!

Usiadłam na pieńku obok samochodu, dość zgnębiona.

— Świecić nie możemy, trąbić nie możemy — rozważałam beznadziejnie. — Drzeć się też nie możemy ani w ogóle robić hałasu, skoro stoimy tu, żeby się ukrywać. Zginąć to ta Lucyna nie zginie, porwać się chyba nie dała, wątpię czy się utopiła, bo jej do wody nie ciągnie. Pojęcia nie mam, gdzie ją diabli wzięli.

— Ale zostawić jej tutaj i odjechać też chyba nie możemy? — powiedziała bezradnie ciocia Jadzia.

— ' No więc co? — spytała Teresa, zniecierpliwiona. — Idziemy jej szukać? Czy zamieszkamy tu na stałe?

— Tak to właśnie wyglądało, jak ty zginęłaś — wypomniała jej moja mamusia. — Też nie było wiadomo, co robić.

— Za drugim razem powinniście już mieć jakieś doświadczenie!

— Dla mnie to jest pierwszy raz... — zauważyła ciocia Jadzia żałośnie.

Zanim zdążyłyśmy ustalić, kto idzie szukać, a kto czeka, ukazała się Lucyna. Leciała kurcgalopkiem przez łąkę od strony stawów. Przyglądałyśmy się pilnie, czy jej ktoś nie goni, ale nie, za nią nie było żywego ducha i wyglądało na to, że uprawia te biegi na przełaj dobrowolnie. Dopadła nas nieco zziębiona, z tajemniczym wyrazem twarzy.

— Chodźcie prędko! — zawołała. — Coś wam pokażę. Ale prędko! I wszystkie! Chociaż nie, moja najstarsza siostra niech tu zostanie. Weź jaki drąg do ręki i pilnuj samochodu, wróg jest blisko!

Moja mamusia rozzłościła się nagle okropnie i całe jej zdenerwowanie przeistoczyło się w bojowy nastrój. Nie wnikając w żadne szczegóły, rozejrzała się dokoła i chwyciła kawał odłamanego konara.

— Ja im, łobuzom, pokażę! — krzyknęła mściwie, czyniąc potężny i niespodziewany zamach. — Niech mi tu tylko który podejdzie! A najlepiej przyłożę tej głupiej Edycie, dawno jej się już należało!

Zdążyłam uchylić się przed ciosem, zamknęłam samochód, moją mamusię razem z jej bojowym nastrojem i drągiem usadziłam na pieńku, po czym popędziłam za trzema

ciotkami,— które ruszyły od razu. Lucyna prowadziła na przełaj, nic nie wyjaśniając, tylko cały czas zapowiadała tajemniczo, że zaraz zobaczymy i że czegoś takiego to jeszcze żadna z nas nie widziała. Galopująca obok mnie ciocia Jadzia zaniepokoiła się nieco.

— Słuchaj, czy to jest możliwe, żeby ona nagle zwariowała? — spytała szeptem.

— Nie mam pojęcia — odparłam niepewnie. — Na tym świecie i w tej rodzinie wszystko jest możliwe, poza tym to wcale nie byłoby nagłe. Ale raczej sędzę, że wpadła na coś przypadkiem.

Lucyna zwolniła kroku, bo dystans jednak zaliczał się do dłuższych i przeszła w tak zwany świński trucht. Okrążyliśmy stawy, to trafiając na ścieżkę wzdłuż wału, to przedzierając się przez krzaki, to potykając się w wysokiej trawie łąki. Zorientowałam się, że obleciałyśmy już chyba dwie trzecie obszaru wodnego i droga do samochodu zrobiła się krótsza przed nami niż za nami. Dogoniłam Lucynę.

— Lucyna, rany boskie, co cię napadło? — wysapałam. — Po co my lecimy tędy? Jeżeli znalazłaś coś gdzieś tam za stawami, to z tamtej strony było bliżej! Czy ci chodzi o to, żeby oblecieć tę wodę dookoła?

— Cicho! — odsapnęła Lucyna. — Z tamtej strony jest bliżej, ale tam się ktoś czai. To pewnie oni. Teraz trzeba się podkraść, bo już niedaleko.

Gęste zarośla podchodziły do samych brzegów. Okrążywszy przeszło połowę stawu znalazłyśmy się po jego wschodniej stronie i wodę miałyśmy na północny zachód. Wszystko, cokolwiek znajdowało się nad nią, rysowało się ostro i wyraziście na tle jasnego nieba. Cztery baby w rozmaicie zaawansowanym wieku, uprawiające indiańskie podchody i skradające się chyłkiem przez trawę i krzewy, z całą pewnością stanowiły widok rzadko spotykany. Lucyna wskazywała kierunek prosto na wodę. Przyszło mi na myśl, że znalazła topielca i z właściwym sobie poczuciem humoru chce nam zrobić wesołą niespodziankę. Przelazłam jeszcze kawałek i na jej rozkazujący gest zatrzymałam się na skraju gąszczy.

Przed sobą widziałam coś w rodzaju malutkiej grobelki, wchodzącej w wodę, rosnące nad brzegiem olchy i wznoszącą się na końcu grobelki, tuż nad samym stawem, budowlę z desek, przypominającą nieco obszerny, wiejski wychodek. Lucyna wskazywała palcem właśnie ową budowlę.

— Przyjrzyjcie się — wyszeptała. — Zobaczcie, co z tego wystaje. Nad wodą.

Przyjrzałyśmy się z szalonym napięciem. Z budowli wystawało coś jakby patyk, długi i cienki, skierowany skośnie w dół. Zanim zdążyłam sobie uprzytomnić, że doskonale wiem, co to jest, patyk poderwał się nagle, na końcu żyłki plusnęła wielka ryba, coś wysunęło się ku niej, ryba zatrzepotała i po chwili znikła we wnętrzu wychodka.

— No? — szepnęła Lucyna z uciechą. — Jak ci się zdaje, co to jest?

— Wiekuisty Panie! — odszepnęłam ze zgrozą, siłą przełamawszy oniemiałość. — Ojciec?

— A któżby inny? Zamknięty jest, jak widzisz, przez porywaczy. Podejrzałam już, że to on, zajrzałam przez dziurę w deskach. Nie wiem, co zrobić, bo oni siedzą w tamtych krzakach naprzeciwko.

Zgłupiałam z tego wszystkiego do reszty i przez dobrych kilka chwil w ogóle nie byłam w stanie zebrać myśli. Topografia terenu prezentowała się nad wyraz niekorzystnie dla nas. Między nami a owym wychodkiem z ojcem w środku znajdowało się kilkanaście metrów łysej łąki bez najmniejszego krzaczka, dalej łąka rozszerzała się, po jej drugiej stronie zaś rósł jakby gęsty zagajnik. W zagajniku, według informacji Lucyny, czaił się wróg. Patrzyłam na to wszystko bezmyślnie i nic mi nie przychodziło do głowy.

— Skąd wiesz, że oni tam siedzą? — spytała cichutko i niespokojnie ciocia Jadzia.

— Widziałam — szepnęła Lucyna z satysfakcją.

— Jak stąd odchodziłam, widziałam, że coś tam się ruszało. Wyglądało jak człowiek,

— Widziałas, że tam siedzą i zostawiłaś go im na pastwę?! — oburzyła się Teresa. — Odeszłaś stąd tak bez niczego?!

— Toteż dlatego tak się spieszyłam. Co niby miałam zrobić, zabrać tę budę ze sobą? Przecież zobaczyliby mnie stamtąd!

— To i teraz też zobaczą — zauważyła rozpaczliwie ciocia Jadzia. — Jak my go stamtąd zabierzemy, Boże drogi, taki kawał, nie ma się gdzie ukryć!

— Zwyczajnie go zabierzemy, mogłam to zrobić od razu, ale chciałam wam pokazać ten widok...

— Ale przecież nas zobaczą!

— No to co, że zobaczą, co nam zrobią?! — rozłościła się nagle Teresa. — Uważasz, że będą do nas strzelać, czy co?!

— Tam wisi kłódka — oznajmiła Lucyna. — Klucza nie mamy, odrywanie może trochę potrwać. Nie wiem, możliwe, że spróbują nam w tym przeszkodzić.

— Jezus Mario, to co zrobić?

Z wychodka ponownie wysunęła się wędka i skierowała się ku wodzie. Wróg w krzakach po przeciwnej stronie łączki był niewidoczny i niesłyszalny, być może dostrzegł nas i zamarł na czatach. Straszliwa myśl, że przesiedzimy tak całe lata, oni z tamtej strony, my z tej, czatując na siebie wzajemnie i wzdrygając się na plusk każdej wyciąganej przez ojca ryby, spowodowała gwałtowny rozruch mojego osłupiałego umysłu. Plan akcji skryształizował mi się błyskawicznie.

— Niech która obleci to wszystko dookoła ładem i zwróci na siebie uwagę od tyłu! — rozkazałam szeptem. — Niech się przedziera, czołga, szeleści albo czymś rzuca! Nie Teresa, Teresę od razu złapia! My przeskoczmy na groblę przez ten łysy kawałek!

Ciocia Jadzia z determinacją oznajmiła, że się poświęci, ostatecznie w turmie siedzi jej rodzony brat. Dotrze do brzozy na skraju zagajnika i stamtąd da znak, że właśnie wchodzi w gąszcz mylić nieprzyjaciela.

Machnie czymś. Mamy jej odpowiedzieć, że widzimy, i przygotować się do skoku.

Źródłem mojej twórczej myśli były, rzecz jasna, wszystkie wiadomości pochodzące z filmów oraz lektury wojenno–partyzanckiej. W działaniach wojennych nie brałam wprawdzie osobistego udziału, ale wiedziałam, że to tak się robi. Odciąga się wroga ogniem na tyłach, żeby swobodnie przedrzeć się od frontu. Przeleciało mi nawet przez głowę, żeby może; z braku broni palnej, nakłonić ciocię Jadzię do podpalenia czegośkolwiek po drugiej stronie zagajnika, ale szybko z tej myśli zrezygnowałam. Lucyna podpaliłaby bez namysłu, ciocia Jadzia za żadne skarby świata. Na wystającej z budowli wędce plusnęła następna ryba. Czekałam na efekty swojego rozporządzenia, wpatrzona w więzienie ojca, i nagle wydało mi się, że wychodek się rusza. Gibnął się jakby ku przodowi, zakołysał lekko i znieruchomiał. Przeraziłam się, że mam omamy, przetarłam oczy, spojrzałam ponownie i wychodek znów się pokiwał.

— Czy mi się zdaje, czy to się rusza? — szepnęła nerwowo Teresa.

— Rusza się — potwierdziła z niepokojem Lucyna. — Co ten twój ojciec tam robi, na litość boską, trepaka tańczy czy co?

Wychodek gibnął się mocniej, a mnie poderwało z miejsca.

— Rany boskie, to wleci do wody! Słuchajcie, on stoi od frontu na spróchniałych balach! Mam gdzieś tę całą pannę Edytę, złapmy to, prędzej!...

— Ruszają się — krzyknęła ostrzegawczo Teresa.

— No pewnie, zaraz runie!

— Tam się ruszają! Z drugiej strony! Widać...

— Tu się, rusza, nie tam, pewnie że widać, ratujmy ojca!!!

Lucyna złapała mnie za rękę, powstrzymując od wypadnięcia z krzaków.

.— Czekałże, tam się ruszają, to oni! W tym samym miejscu! Czekał!

Nie bardzo było na co czekać, bo nadwodna budowla nie tylko że się znów gibnęła i ostro zakołysała, to jeszcze zaczęła trzeszczeć. Po drugiej stronie łąki wróg w krzakach gwałtownie kiwał gałęziami. Między nimi coś prześwitywało.

— To on, to któryś z nich siedzi tam cały czas, jest w czarnym ubraniu i białej koszuli — szeptała gorączkowo Lucyna pełna emocji.

— Wali się!!! — wrzasnęła rozzwierając Teresa. Nie miałam czasu odgadywać, dlaczego na akcję w terenie wróg przyodził się tak wytwornie, w czarny garnitur i białą koszulę, bo wychodek z ojcem najwyraźniej w świecie istotnie zaczął się walić. Na domiar złego w kierunku wody. Wyskoczyłam z zarośli, obok mnie wykrzykiwały coś Teresa i Lucyna. Jakiś człowiek wyprzedził nas, wpadł na groblę, rzucił się ku zamkniętym na kłódkę drzwiom, nie zdążyłam się przestraszyć, bo poznałam Marka. Wypytywać go, skąd się tu wziął, również nie było czasu. Drewniana szopa z trzaskiem pochyliła się ku wodzie i znieruchomiła w tej skośnej pozycji, niczym wieża w Pizie.

— Zaraz poleci dalej — powiedział Marek, pospiesznie odrywając skobel za pomocą jakiejś żelaznej wajchy. — Nie pchajcie się tu, rany boskie, to runie od byle czego!

Drzwi stanęły otworem. Wnętrze wychodka dzieliło się teraz na dwie części, jedną stanowił kawałek podłogi z desek leżących na grobli, druga zwisała nad wodą, mocno pochylona, chwiejąc się i potrzaskując. Na tej drugiej, wsparty nogami o również wałącą się ławeczkę, tyłem do nas, mniej stał, a więcej leżał ojciec, głowę i ręce wystawił na zewnątrz przez niewielkie okienko i gwałtownie usiłował wyciągnąć z wody następną rybę. Za nim, na stałym gruncie, spoczywał plecak, pełen imponujących karpi.

Nie wiadomo, jak długo przypatrywalibyśmy się temu w milczeniu i bez ruchu, bo jednak widok był niezwykły, gdyby nie to, że Teresa pośliznęła się na karpiu. Podcięła nogi Lucynie, obie usiadły z impetem i popchnęły Marka. Marek, usiłując odzyskać równowagę, wsparł się na pochylonym słupku. Słupek nie wytrzymał i. z okropnym trzaskiem całość runęła do wody, z tym że w najgorszej sytuacji znalazł się ojciec, który miał ręce i głowę w okienku. Okienko zaś znalazło się najniżej.

To coś, co miało być racjonalną akcją ratunkową, przypominało raczej wybuch podwodnego wulkanu. Marek, znalazłszy się w bagnistym stawie w butach i spodniach, podpierał osuwającą się w dół ruinę, ojciec gulgotał z głową pod wodą, próbowałam ciągnąć go za nogi, ale ręce mu się zapierały, Lucyna siedziała w karpiach, trzymając się z całej siły szczątków desek, żeby nie zjechać po śliskiej pochyłości do wody. Teresa poderwała się i ugrzęzła nogą w jakiejś dziurze.

— Jadzia macha! — zawołała gorączkowo i zaraz potem znacznie bardziej przeraźliwie. — Uwaga! Wychodzą!

Straszna i raczej dość nieokreślona groźba wszystkim dodała nadludzkich sił. Wyszarpnęliśmy wreszcie ojca z okienka, kichał i prychał czymś czarnym, kurczowo ściskając w rękę wędzisko. Lucyna z krzykiem wydarła się Teresie z rąk, rzucając się z powrotem ku

rybom, które ześlizgiwały się do wody, łapała je i wpychała do plecaka. Ciocia Jadzia pod brzozą jak oszalała machała czymś, nie wiem czym, ale sądząc z rozmiarów, chyba prześcieradłem. Krzaki za łączką rozchyliły się i wyszedł z nich wróg.

Obie z Teresą na jego widok zamarłyśmy.

— Lucyna — powiedziała Teresa dziwnym głosem — czy to jest ten facet w czarnym garniturze, który czatował na Janka?

Lucyna oderwała się od pełnego ryb plecaka, podniosła się i spojrzała. Marek zaniechał na moment wytrząsania z ojca resztek szlamu i również spojrzał. Ojciec spojrzał, ale gdzie indziej.

Wróg w postaci wielkiej, łaciatej, czarno-białej krowy dostojnym krokiem ruszył z wolna skrajem łączki w kierunku cioci Jadzi.

— Tam coś powiewa — powiedział ojciec. — Czy to ktoś do nas tak macha? Dlaczego nie zwracacie uwagi? Nie nasze znaki, a krowa była przyczyną, dla której ciocia Jadzia zrezygnowała z zanurzenia się w gąszcz, opuściła posterunek i pospiesznie przybiegła skrajem łączki z przeciwnej strony. W rękę niosła swoją halkę. Marek zaniechał protestów i pomógł ojcu wydobyć z wody ostatniego karpia. Lucyna odpierała ataki Teresy.

— Odczep się — mówiła. — Przedtem był człowiek, a teraz krowa, zamienili się widocznie.

— Ślepa komenda, krowy od człowieka nie odróżni! — wykrzykiwała urągliwie Teresa. — Przez głupie bydlę byłby się Janek utopił!

— A kto mu kazał tak się rzucać w tej budzie...

— Czy panie pozwolą, że zdejmę spodnie? — spytał wytwornie Marek. — Chciałbym je sobie przeprać tu obok, na pomościku.

— Tato, na miłosierdzie pańskie, dlaczego sam stąd nie uciekłeś?! — jęczałam rozpaczliwie. — Przecież ta buda rozleciałaby się już dawno od byle czego!

— A po cóż miałem uciekać, tutaj doskonale ryby biorą — odparł ojciec ze zdziwieniem. — O, proszę! Dwadzieścia jeden sztuk!

— Ja myślę, że biorą — mruknęła zgryźliwie Lucyna. — Słuchajcie, on wyłowił dwadzieścia jeden karpia z hodowlanego stawu! Na litość boską, zwiewajmy stąd, zanim nas ktoś złapie!

— Dlaczego, do licha, pozwoliłeś się porwać? — zdenerwowała się Teresa. — Dlaczego nie dałeś nam znać, gdzie jesteś?!

Ojciec zdziwił się jeszcze bardziej.

— Jak to porwać? Nikt mnie nie porywał. Jedna pani mnie tu przywiozła, bardzo sympatyczna, powiedziała, że zna miejsce, gdzie ryby biorą, i rzeczywiście. Trochę trudno

łowić przez to okienko, ale prosiła, żebym tu został, bo inaczej ludzie mnie zobaczą i od razu się zwiędzą. Na szczęście miałem siatkę...

— I nie zauważyłeś, że łowisz w hodowlanych stawach?!

Ojciec dopiero teraz rozejrzał się dookoła.

— Niemożliwe — powiedział niedowierzająco. — Wyglądają na hodowlane, ale na pewno to jest coś innego. Przecież by mnie tu nie przywiozła, gdyby były hodowlane, a zresztą z tego okienka widać samą wodę. Nie wierzę, że hodowlane.

— Można wiedzieć, skąd wzięłeś tę panią?

— Spotkałem ją w nocy, jak wracałem piechotą, bo mi pociąg uciekł. Jechała samochodem.

— I nie przyszło ci do głowy, że cała rodzina się denerwuje? — spytała z wyrzutem ciocia Jadzia. — Nie mogłeś poprosić, żeby cię zawiozła do domu?

— Nie, bo ona jechała w inną stronę, właśnie tutaj, i mówiła o tym miejscu. Dlaczego rodzina miałaby się denerwować, ta pani to jakaś znajoma Lilki, powiedziała, że was zawiadomi, gdzie jestem, i przyjedziecie po mnie. No i proszę, zawiadomiła i przyjechałyście.

Tego było już za wiele, na długą chwilę odjęło nam mowę. Teresa chwyciła się za głowę z rozpaczliwym jękiem, ciocia Jadzia załamała rękę.

— Co jadłeś przez ten czas? — wykrzyknęła rozdzierająco.

— Miałem kanapki i cały termos kawy. I jeszcze ta pani zostawiła mi swoje śniadanie. Też zjadłem, przespałem się, a potem spróbowałem łowić.

— Chodź, poświecisz mi — powiedziała Lucyna.

— Jeżeli już kradniemy karpie z tego stawu, to przynajmniej nie zmarnujemy żadnego. Trzeba sprawdzić, czy wszystko zabraliśmy z tej ruiny.

Znalazłam latarkę Marka, który już wrócił z pomościku z mokrymi spodniami i butami i udałam się za nią na grobelkę. Teresa i ciocia Jadzia nadal pojękiwały nad ojcem, który pieczołowicie składał swoją wędkę. Marek na wieść o podstępach wojennych przeciwko krowie w czarnym garniturze dostał nieopanowanego ataku śmiechu.

Poświeciłam Lucynie pod nogi na ocalałym kawałku podłogi, który stanowił teraz jedyną pozostałość po szopie. Z ryb nie zawieruszyła się żadna, ale leżał tam ojca sweter, siatka z termosem, pudełko z haczykami i papier po kanapkach. Sweter i pudełko Lucyna zgarnęła do siatki, papier spróbowała zgnieść i zatrzymała się.

— Coś tu jest — powiedziała. — Cóż to takiego? Karta pocztowa, już twój ojciec nie ma gdzie trzymać korespondencji, tylko pod rybami? Wątpię, czy to się nadaje do wysłania, ale niech ma.

Wepchnęła brudną i pogniecioną pocztówkę do siatki obok pudełka.

— Oddajmy mu sweter — zaproponowałam. — Niech się przebierze, bo jeszcze dostanie kataru. Od góry jest mokry.

— No tak, a wam się zachciało zawiadamiać milicję — zauważyła Teresa z politowaniem, —kiedy krótszą drogą wracaliśmy do samochodu. — Tylko tego nam jeszcze do szczęścia brakuje, żeby nas tu teraz przyuważyli. Pięknie wyglądamy, Marek bez spodni, Jadzia bez halki, mój szwagier w charakterze topielca i do tego jeszcze z kradzionymi rybami. A pod lasem, w ciemnościach, siedzi moja siostra z drągiem w rękę i zaprawi tym drągiem pierwszą osobę, jaka jej się napatoczy. W ładne towarzystwo wpadłam...

Pocztówkę znalazła nazajutrz o poranku moja mamusia, kiedy wyjmowała z siatki termos, zamierzając go umyć. W kuchni Lilki siedzieli mój ojciec z Markiem i skrobali ryby, Lucyna patroszyła je i płukała, niebotycznie uszczęśliwiona taką ilością ulubionego pożywienia.

Powrót do domu poprzedniego wieczoru, pomimo zwiększonej ilości osób, nie nastąpił zbyt trudności, Marek bowiem, jak się okazało, dysponował motorem. Na moje skromne pytanie, skąd go wytrzasnął, najspokojniej w świecie oświadczył, że ukradł młodemu Dorobkowi. Pocieszył mnie zresztą od razu, że zamierza mu oddać jeszcze przed północą i zamiar ten zrealizował. Przedtem dowiózł do Cieszyna Teresę. Wszystkich razem w żaden sposób nie zdołałabym upchnąć w samochodzie, a ojciec nie mógł z nim jechać, bo był mokry.

Na następne skromne pytanie, skąd się w ogóle wziął, poinformował mnie, że późnym popołudniem zjawił się u Lilki, usłyszał straszną historię kolejnego porwania i przeczytał list porywaczy. Dowiedział się od niej o naszym planowanym podstępie i o mało go szlag na miejscu nie trafił. W tak idiotycznych wydarzeniach jeszcze nigdy w życiu nie brał udziału! Znalezienie nas nie było zbyt skomplikowane, aczkolwiek nastąpiło, jak dało się zauważyć, w ostatniej chwili.

— To mama cię pilotowała, prawda? — powiedział spokojnie. — Domyśliłem się tego, potem już wystarczyło obejrzeć mapę i przejechać się tą szosą. Zdziwiłbym się, gdybyś skręciła gdzie indziej.

Na motor młodego Dorobka natknął się przypadkiem, co znakomicie ułatwiło mu poszukiwania. Kradzież nie stanowiła żadnego ryzyka, istniała bowiem całkowita pewność, że młody Dorobek na milicję nie poleci, poza tym nie była to kradzież, tylko pożyczka. Dalszych informacji dostarczyła moja mamusia, którą znalazł pod lasem i prawie cudem powstrzymał od ataku drągiem. Żadnych więcej wyjaśnień mi nie udzielił, oddalił się, o poranku powrócił i od razu przystąpił do skrobania ryb. W kuchni Lilki do wszystkiego zaczęły przylepiać się srebrzyste łuski.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała podejrzliwie i z lekkim obrzydzeniem moja mamusia, wyjmując z siatki brudny i pognieciony szczątek. — Czy ty od razu zaczęłaś pisać list dziękczynny do tej swojej zmotoryzowanej bogini?

Ojciec nie dosłyszał, bo Lucyna hałasowała wodą. Marek się obejrzał.

— Skąd to macie? — spytał ciekawie. — Co to jest?

— Mój szwagier chował to pieczołowicie wśród ryb — powiedziała Lucyna znad zlewu.

— Nie wśród ryb, tylko w kanapkach — poprawiłam.

— Leżało w tym rybackim wychodku pod papierem. Marek nagle zainteresował się znaleziskiem. Wytarł ręce i odebrał mojej mamusi sponiewieraną pocztówkę.

— Po angielsku — powiedział. — I trochę niewyraźnie. Niech ktoś spróbuje przetłumaczyć.

Zawezwałam do kuchni Teresę. Przyleciały obie z cicią Jadzią, za nimi zaś Lilka, która ze szczerą przyjemnością przekazała prace gospodarskie w ręce rodziny i zajęła się czym innym. W jej kuchni od razu zrobił się potworny tłok. Przez chwilę we trzy z Teresą i Lucyną wydierałyśmy sobie pocztówkę z rąk, omal nie rozszarpując jej na kawałki, po czym pochyliłyśmy się nad nią i stuknęłyśmy się głowami.

— “Mój drogi Tommy” — powiedziałyśmy równocześnie — “Wszystko tu się zmieniło i mam więcej trudności, niż się spodziewałam. Odwiedziłam” ... No czego chcesz, zwiedziłam czy odwiedziłam, wsio rawno. “Stare miejsca. Mam” ... Co ona tu ma? Teresa, co ona tu ma?

Teresa milczała wpatrzona w adres na pocztówce.

— No co nic nie mówisz, po angielsku nie umiesz czy co? — zniecierpliwiła się Lucyna.

— “Twoja Edyta” — przeczytałam podpis. — Coś tam ma po drodze, ale nie wiem co. Jacyś ludzie coś. Teresa, odezwij się!

— Wiecie, że mnie się mąci w głowie — powiedziała Teresa, prostując się nad stołem. — Przecież ja wiem, kto to jest Tom Walter z Toronto’

Powiedziała to z taką zgrozą i w takim osłupieniu, że wszyscy porzucili swoje zajęcia. Jeden ojciec nadal spokojnie skrobał ryby. Teresa patrzyła na nas wytrzeszczonymi oczami.

— No! — popędziła ją moja mamusia. — Kto taki?

— Jubiler — powiedziała Teresa cokolwiek nieprzytomnie. — To znaczy nie żaden jubiler, tylko badylarz. To znaczy nie żaden badylarz, tylko handlarz biżuterią. To znaczy nie handlarz, tylko właściwie kolekcjoner, to znaczy niezupełnie kolekcjoner...

— To znaczy, że w końcu co? — spytała Lucyna. — Rzeźnik?

— Głupia jesteś, jaki rzeźnik?! Hobbysta. Od roślin ogrodowych...

— Zdecyduj się na coś, na litość boską — poprosiłam ją łagodnie. — Kto to jest? Powiedz jakoś po kolei, czym handluje, co kolekcjonuje i jakie ma hobby. Może do czegoś dojdziemy.

Teresa spojrzała na mnie błędnym wzrokiem.

— I ta żoła jest jego żoną? — krzyknęła nagle okropnie wstrząśnięta. — No nie, tego już za wiele! Myślałam, że może sama sobie zmieniła nazwisko, a ona wyszła za niego za męż?! Więc to ona? Zwariowała chyba, bigamistka! I jeszcze zamierza wystawić rufą do wiatru tego George'a i tę Vivien..

Wyrznęła pięścią w stół, aż podskoczyło wszystko, Lilka zdążyła złapać termos. Ojciec dosłyszał brzęk, zwrócił wreszcie uwagę na stłoczoną przy stole grupę.

— Co się stało? — spytał niepewnie. — Mam już nie skrobać?

— Skąd masz tę kartkę?! — wrzasnęła Teresa, odwracając się gwałtownie ku niemu. — Milczeć wszyscy, ja go przesłucham! Nie wtrącać się! Mów, skąd to masz?!

Dosłyszeć ojciec dosłyszał, ale nie widząc pocztówki, nie pojął, o co chodzi. Zbliżył się do stołu z karpim w rękę, karpia wytarł dokładnie o spódnicę Lucyny i z ciekawością obejrzał znalezisko.

— Co to takiego? — spytał.

— To ja ciebie pytam, co to takiego?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Jakiś śmieć...

— Czekaj — powiedziałam pospiesznie, widząc, że Teresa zbliża się do apopleksji. — Ja mam do ojca większą wprawę. Tato, ta pocztówka była pod twoim śniadaniem! Skąd się tam wzięła?!

— A, pocztówka — powiedział ojciec. — No właśnie, to chyba tej pani, co mnie wiozła. Zauważyłem, jak już odjechała, i nie mogłem jej oddać. Razem było, paczka z kanapkami, jakieś serwetki i to. Papierowe serwetki. Widocznie się jej zaplątało.

Nabrałam powietrza w płuca.

— Skąd wyjęła paczkę z kanapkami?! — ryknęłam potężnie.

— Aż takiej półeczki nisko przed sobą, takiej samej jak ty ją masz w samochodzie...

— Zgadza się — stwierdziłam normalnym głosem. — Ja też tam kładę wszystko, jak leci. Widocznie zamierzała ją wysłać i po ciemku nie zauważyła, że wręczyła ojcu. To była panna Edyta oczywiście, może uzgodnijmy teraz, kto to jest ten rzeźnik, pardon, ten handlarz, pardon, ten hobbysta...

— Jadzia mówi, że on żyje, a ona się wcale nie rozwiodła — powiedziała Teresa, ciągle jeszcze wytrącona z równowagi. — Ten hobbysta, to jest właśnie ten milioner, którego nie znam...

— Jak go nie znasz, to skąd go znasz? — wtrąciła Lucyna.

— ...Ale doskonale znam jego adres. Koresponduję z nim, bo on ma fioła na punkcie ogródka, raz mi przysłał nasiona, a raz ja mu posłałam tych kwiatków, co miałam od was, zapomniałam, jak one się nazywają, i jeszcze mu posłałam nasiona tej waszej fioletowej róży, co to miało z tego nic nie być, a on sobie wyhodował...

— Z nasion? — przerwała znów Lucyna.

— No z nasion, no co ci poradzę, ja nie umiałam, a on umiał. On ma syna i córkę z pierwszego małżeństwa, jest ciężko chory, niedługo pewnie umrze, a ona chce ich oboje wydziedziczyć. Ja ich znam, są bardzo sympatyczni..

— To znaczy, że to jest ogrodnik? — spytała moja mamusia.

— Jaki tam ogrodnik, to jest handlarz drogimi kamieniami i biżuterią, ale od czasu, jak się wzbogacił, więcej kolekcjonuje, niż handluje. Ale na tym handlu się dorobił.

— A to nie jest przypadkiem ten jubiler, co cię oszukał na pierścionku? — wtrąciła ciocia Jadzia nieufnie.

— Oszalałaś, przecież wam mówię, że to milioner! On nie pracuje, on sobie robi interesy dla przyjemności!

— Znaczy, kupczy — sprecyzowała Lucyna. — Bo nie wyobrażam sobie, żeby milioner handlował. To źle brzmi.

— Milioner kupczy, uważasz, że to brzmi lepiej?

— Dajcie spokój z kupczeniem, bo mi znów pomieszacie w głowie — powiedziałam stanowczo. — Zdaje się, że zaczynam być bardzo mądra. Już coś nie coś rozumiem, tylko pojąć nie mogę, po co ona przyjechała do Polski. Może ten jej Dorobek jednak umarł i chciała dostać świadectwo zgonu?

— Dorobek żyje — odparła z kąta za stołem ciocia Jadzia z niespodziewaną energią. — A nawet gdyby umarł pięć razy, bardzo wątpię, czy starałaby się o świadectwo zgonu. W ogóle wątpię, czy by się mogła do niego przyznać.

— Dlaczego?

— Bo tam były jakieś wojenne nieprzyjemności, nie wiem jakie, ale wiem, że były. I ona miała, i on, ale on chyba więcej.

Spojrzałam na Marka. Obejrzał jeszcze raz pocztówkę i spokojnie wrócił do skrobania ryb. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że wie już wszystko, bo skoro mnie rozjaśniło się w głowie, jemu musiało rozjaśnić się tym bardziej i w znacznie większym stopniu.

— Powiedz coś! — zażądałam. — Wychodzi tu na jaw coraz więcej, ale jakieś to wszystko zagmatwane. Nie siedź tak, jakby cię wcale nie było!

— No właśnie! — powiedziała Teresa z pretensją. — Co to wszystko znaczy?

— Ja bym się chciał dowiedzieć, kto tam mieszka w Tończy — odparł Marek grzecznie i bez nacisku. — Ktoś z rodziny?

— Maryśka — odpowiedziała moja mamusia bez wahania. — Siedzi tam przez cały lipiec, ma urlop. Ale oni nie mieszkają w domu, tylko w wozie Drzymały. W domu podobno nikt nie mieszka.

— A do kogo to teraz należy?

— Do spadkobierców wujka Witolda. Ich jest ośmioro i w żaden sposób nie mogą się pogodzić. Dlatego Maryśka mieszka w wozie Drzymały.

Marek wydawał się rozumieć, co moja mamusia mówi. Lilka patrzyła na nas podejrzliwie.

— Dawno mnie nie było w Warszawie — zauważyła. — Gzy nie możecie mi wyjaśnić, co oznacza to, co mówicie? Co to jest wóz Drzymały?

— Maryśka z Henrykiem sprowadzili tam sobie taki budowlany barak na kółkach — poinformowałam ją. — Urządzili go ładnie i tam spędzają urlopy. Podobno stoi w polu pod drzewami. W chałupie mieszkać nie mogą, bo podobno wszystko poszło w ruinę i jest zabite deskami. Spadkobiercy wujka Witolda, w liczbie ośmiu sztuk, rozpierzchli się po świecie i jednego tylko pilnują, mianowicie, żeby ktoś nie skorzystał z tego spadku. Nienawidzą się wzajemnie do nieprzytomności. Maryśka ma złote serce, a Henryk jest do obrzydliwości pracowity i chętnie by zrobił wszystko, ale już i oni stracili do nich cierpliwość. Też nic tam nie robią, tylko mieszkają w wozie i ze wstrętem patrzą na resztę. Sama to od niej słyszałam.

— .Od Maryśki?

— Od Maryśki. Od Henryka też, ale Henryk przez grzeczność wypowiada się ostrożniej, bo to nie jego rodzina, tylko jej. To znaczy nasza.

— Jak dawno to należy do spadkobierców wujka Witolda? — spytał znów Marek.

— Od śmierci naszej babci — rzekła moja mamusia z westchnieniem. — To znaczy od przedwojennych czasów.

— Głupstwa mówisz — poprawiła Lucyna niecierpliwie. — Nie od śmierci babci, tylko od śmierci wujka Witolda. Babcia umarła w trzydziestym ósmym roku i po niej dziedziczył wujek Witold. A po wujku jego spadkobiercy.

Zaciekawiałam się tym nagle, bo przeleciały we mnie jakieś mgliste wspomnienia z dzieciństwa.

— A kiedy umarł wujek Witold? — spytałam. — W czasie wojny jeszcze żył, bo pamiętam, że był raz u nas. Możliwe, że był więcej razy, ale ja pamiętam tylko ten jeden, ponieważ wiozł mnie wtedy na rowerze na ramie i przejechał ze mną kurę. Od tamtego czasu panicznie się boję kur na szosie.

— Przecież jeździsz samochodem? — zdziwiła się Lilka. — Dla samochodu kury nie są tak szkodliwe jak dla roweru.

— Przypuszczam, że omijałabym je, nawet gdybym jeździła czołgiem...

— Wujek Witold umarł w czterdziestym czwartym roku — powiedziała moja mamusia. — Ale te wszystkie sprawy spadkowe załatwiali już chyba po wojnie. Wujek był ciężko chory, wiedział, że umrze, i też tam o nic nie dbał, więc ta ruina zaczęła się już bardzo dawno temu.

— A znając spadkobierców wujka, można było z góry przewidzieć, że nikt jej nie powstrzyma — zauważyła Lucyna kąśliwie. — Żarli się ze sobą, zanim jeszcze zostali spadkobiercami. Nie wiem, co to ma do rzeczy.

Popatrzyłam znów na Marka. Skrobał tego karpia, jakby brał udział w konkursie na skrobanie ryb, w którym pierwszą nagrodę stanowi milion dolarów w złocie, a za zajęcie miejsca poniżej trzeciego skazują na galery. Zaczęło mi się wreszcie lęgnąć w głowie coś konkretnego. Niejasno, bo niejasno, ale jednak zaczęło.

— Panna Edyta musiała mieć z tym jakiś związek — oznajmiłam stanowczo. — Nie bez powodu Tończa nam sama wyszła... Czy ona знаła spadkobierców wujka Witolda? Wiedziała, że umarł i że po nim dziedziczą?

— Nie wiem, czy wiedziała, że umarł, bo po wojnie już się z nią nie zadawałam — odparła Teresa z niechęcią. — Ale znała ich doskonale. Całą rodzinę znała przecież od dzieciństwa, nawet była w Tończy, pamiętacie? Pojechała tam z nami na któreś wakacje.

— Ale wiedziała, że wujek jest chory i że umrze, i że to oni będą po nim dziedziczyć? — upewniłam się.

— No owszem, wiedziała...

— Skąd mogła wiedzieć, przecież w Tończy była jeszcze za życia babci! — zaprotestowała moja mamusia. — Nie wiadomo było, kto po babci dziedziczy...

— Co za brednie mówisz, od wieków było wiadomo, że wujek Witold jako najstarszy! — przerwała Lucyna, — Nikt tego nie ukrywał, nawet sama babcia spłacała pozostałe dzieci, żeby Witold mógł zostać na gruncie. Dziadek na łożu śmierci jej to przykazał. Każdy wiedział.

— Ale Witold jeszcze wtedy nie był chory! Teresa i ciocia Jadzia spoglądały na siebie jakoś spod oka, cipcia Jadzia, upchnięta w kącie za stołem, wytrwale milczała i znów wydało mi się to mocno podejrzane. One obie ciągle usiłowały ukrywać jeszcze resztki tajemnic. W umyśle mi błysnęło.

— Teresa, przyznaj się — powiedziałam zachęcająco. — Ta cała Edyta musiała tam być także i później.

Musiała wiedzieć, że wujek jest chory, musiała znać tych jego spadkobierców i musiała wiedzieć, że umarł. Inaczej nic mi się nie zgadza.

— A tak, to już ci się zgadza wszystko? — spytała zgryźliwie Lucyna.

— Prawie. A w każdym razie dużo. Teresa, przyznaj się!

Teresa odsunęła się od stołu, oparła o blat szafki i popatrzyła w okno. Potem odwróciła się do nas.

— No owszem, była... — przyznała po chwili z wyraźnym oporem. — No zresztą, dobrze, mogę wam powiedzieć. Ona właśnie w Tończy ukrywała przez jakiś czas to dziecko, tego małego Wojdarskiego, to znaczy tego Dorobka. Raz tam z nią byłam...

— Jak to?! — wykrzyknęła z oburzeniem moja mamusia. — I nic nam o tym nie mówiłaś?!

— No, zgłupiałaś chyba, na głowie stawałam, żeby się nic nie wykryło, i miałam ci mówić?

— Ale o samym pobycie mogłaś powiedzieć! Lucyna nie zwracała uwagi na swoje siostry, zaniechała patroszenia karpia i przyglądała mi się nieufnie.

— Mów, bo widzę, że coś wymyśliłaś — zażądała. — Co ci się zgadza, jeśli Edyta wiedziała o spadkobiercach? No?

— A gdybyś tak chciała coś ukryć, znalazłabyś lepsze miejsce? — odparłam na to i rzuciłam się napastliwie na Marka. — Co znalazłeś pod gruszą? Ona musiała tam coś schować i po to przyjechała do Polski! Głowę daję, że już tam byłeś i sprawdzałeś! Co tam było?

— Ach! — wykrzyknęła z nagłym ożywieniem ciocia Jadzia. — Na mapce był krzyżyk! W Tończy...!

— Ach...! — zawołała Lucyna.

Moja mamusia i Teresa przestały się sprzeczać o wojaże panny Edyty z nieślubnym Dorobkiem. Wszystkie odwróciły się do Marka. Ciocia Jadzia wylazła z kąta za stołem, żeby również na niego popatrzeć, i zrzuciła, na skutek ciasnoty, torbę z solą. Marek pilnie oglądał ostatniego karpia.

— Właśnie w tym rzecz, że nic — wyznał w zamyśleniu. — Grusza kiedyś rosła, to fakt, ale już od wielu lat jej nie ma. Pod nią, o ile zdołałem sprawdzić, też nic nie ma. Trochę trudno tam szukać, bo w tym wozie Drzymały ktoś mieszka i bezustannie tam się płaczą jacyś ludzie. Przypuszczam, że oni czekają, aż się ci ludzie wyniosą.

— No i co? — powiedziała moja mamusia z wyraźnym rozczarowaniem po bardzo długiej chwili milczenia.

— I to już wszystko? Miało wam się coś zgadzać. Gruszy nie ma, pod gruszą nic nie ma, a w wozie mieszka Maryśka z Henrykiem. Też mi wielkie odkrycie!

— Maryśka z Henrykiem przeszkadzali ci szukać? — zdziwiła się Lucyna.

— Wyrzucili mnie stamtąd — odparł Marek melancholijnie. — Bardzo uprzejmie poprosili, żebym sobie poszedł do diabła zaraz następnego dnia rano, tak że na poszukiwania miałem tylko jedną noc. Właśnie wspominali chyba o tych spadkobiercach, bo mówili coś o różnych łobuzach, którzy się mogą przyczepić. Niedokładnie rozumiałem, w czym rzecz, ale teraz już rozumiem.

Cała rodzina w pośpiechu usiłowała uporządkować sobie w umysłach nowe odkrycia. Materiał do rozważań sam się nam dostarczył, i to nawet w nadmiarze.

— Teresa, co ty na to? — spytałam. — Co o tym myślisz i co teraz zrobisz?

Teresa spojrzała ponuro na mnie, na Marka, na ciocię Jadzię, a potem znów na mnie.

— Nie mam pojęcia — odparła grobowym głosem.

— Gdyby nie tych dwoje, George i Vivien, w ogóle bym się nie wtrącała. Niech ją Pan Bóg skarże na tamtym świecie. Ale tak, to naprawdę nie wiem...

Moja mamusia zirytowała się porządnie.

— Powiecie wreszcie, co to wszystko znaczy, czy nie? Chcecie mnie zdenerwować?! Każdy mówi po kawałku i nic nie rozumiem! Niech ktoś to nareszcie wyjaśni po kolei!

— Panna Edyta zrobiła kant — powiedziałam, bo nikt inny nie kwapił się jakoś do zabierania głosu. — Z tej całej gmatwaniny wyraźnie mi się wyłania, że udała się po wojnie do Kanady i tam poślubiła milionera Waltersa, nie bacząc na to, że tu pozostawia poślubionego wcześniej Dorobka. Razem, jak rozumiem, z podrzuconym mu nieślubnym Wojdarskim... Teraz życzy sobie odziedziczyć miliony milionera, przy okazji krzywdząc dziatki z pierwszego małżeństwa. Sądzę, że ślubne...

— Potworny melanz z tymi ślubami! — westchnęła Lilka.

— No właśnie. I panicznie się teraz boi, że Teresa rozpoznawszy ją, ujawni jej kant, co prawdopodobnie utrudniłoby jej dziedzicznie milionów. Ciekawe, swoją drogą, dlaczego się najpierw nie rozwiodła...

Teresa nie wytrzymała.

— Spieszyła się. Bo to było tak... To znaczy to, co ja wiem, to są plotki. Ten Walters ma hobby, mówiłam wam, hoduje roślinki, a na tych zebraniach takich samych wariatów od roślinek wszyscy o wszystkich plotkują. To są przeważnie baby i ja też tam bywam. On się wyróżnia wśród tych szmyrgniętych, bo jest najbogatszy i ma największe możliwości, i każde takie kółko ogrodnicze chce go mieć w swoim łonie. Podobno to było tak, że on miał jakąś katastrofę, a te jego dzieci były małe i ich matka już nie żyła, więc ożenił się czym prędzej z kobietą, która przysięgła dbać o dzieci i wychować je jak własne. Już wtedy był bardzo bogaty, wszyscy myśleli, że zaraz umrze, nie przeżyje iluś tam operacji, bo miał coś z sercem. No i

przed śmiercią koniecznie chciał wziąć ślub. To znaczy, te baby twierdzą, że to ona chciała z nim wziąć ślub, namawiała go, że niby jako wdowie po nim łatwiej jej będzie wychowywać jego dzieci. Chyba mają rację... W każdym razie chodziło o pośpiech i wielkie pieniądze. No i wzięli ślub, a tymczasem on wcale nie umarł, tylko żyje do dziś dnia, a ona buntuje go przeciwko dzieciom.

— No rzeczywiście, w tej sytuacji, gdzie ona miała głowę do rozwodu! — przyznała Lilka.

— No i co? — spytała moja mamusia. — Co tu mają do roboty spadkobiercy wujka Witolda? Co ma wspólnego kanadyjski milioner z krzyżykiem w Tończy?

Teresę znów zamurowało, widać było, że się zacięła i głosu nie wyda, musiałam ją więc zastąpić. Co do Marka, z góry wiedziałam, że się wtrąci jako ostatni.

— Osobiście podejrzewam, że ona tu coś schowała po wojnie i teraz przyjechała, żeby to zabrać — oświadczyłam powoli i z namysłem. — Prawdopodobnie miała mało czasu, trudno jej było znaleźć kryjówkę dla tego czegoś i ta Tończa spadła jej jak z nieba. Musiała się dowiedzieć, że wujek umarł, a znając jego spadkobierców, mogła być spokojna, że się nie pogodzą i że wszystko tam pójdzie w ruinę. Nie wiem tylko, po jakiego diabła rysowała sobie mapki i krzyżyki, pamiętała chyba, gdzie chowa? Nie przewidywała u siebie całkowitej sklerozy?

Lucyna ułożyła ładnie na kolejnym półmisku ostatnią wypatroszoną rybę. Część karpi przygotowała już do smażenia.

— Wejdzie ci to do lodówki? — spytała Lilkę. — Wszystkich naraz chyba nie uda nam się zjeść. Ona ma rację, szczególnie z tymi spadkobiercami. Edyta jaka była, taka była, ale inteligencji jej odmówić nie można, a co się będzie działo w Tończy, to każdy wół by przewidział. Teresa, co ona tam schowała?

— A skąd ja mam to wiedzieć? — odparła gniewnie Teresa, wzruszając ramionami. — Przecież ci mówię setny raz, że wtedy już jej nie chciałam znać!

Lucyna odwróciła się od lodówki i popatrzyła na nią dziwnym wzrokiem.

— A dlaczego jej nie chciałaś znać? — spytała niewinnie.

Teresa otworzyła usta, zamknęła je, zawahała się, znów je otworzyła i znów zamknęła.

— Bo nie — mruknęła z uporem.

— No nie, dosyć tego! — zawołała nagle ciocia Jadzia z jakąś rozpaczliwą determinacją. — Powiedz im! Po co ty chronisz tę wstrętną... Tę...

— Klabzdre — podsunęła Lucyna.

— Klabzdre... Nie, co ja mówię, łajdaczkę! Tę wstrętną łajdaczkę, po tylu latach! Powiedz im, czym ta Edyta była!!!

Teresa wzrokiem pełnym zaskoczenia patrzyła na niespodziewany wybuch łagodnej cioci Jadzi. Lucyna zachichotała z jadowitą satysfakcją.

— Mogę wam, pomóc — oznajmiła słodko. — Wiem, czym była. Szpiegiem.

— Co takiego? — oburzyła się moja mamusia.

— Szpiegiem. Takim zwyczajnym szpiegiem. Na rzecz Niemców...

— Nieprawda! — wrzasnęła Teresa. — Wcale nie szpiegiem! Była zwyczajną, niemiecką ladacznicą...!!!

— Ja bym to określiła inaczej... — wtrąciłam życzliwie.

— Nie będę się wyrażać przez parszywą Edytę! Sypiała z Niemcami, brała od nich forszę, odpracowała całe Gestapo, ale nie szpiegowała! Odczep się!!! Jawnie była tą... określaną inaczej!!!

— Iiiii... — powiedziała niedowierzająco Lucyna.

Teresa w ataku furii chwyciła ze stołu deseczkę z mąką i dwoma dorodnymi karpiami. Karpie i mąka poleciały na ojca, przed deseczką w ostatniej chwili uchylił się Marek, zdążył ją złapać w powietrzu. Teresa obejrzała się, czy nie chwycić czegoś innego.

— Daj spokój — powiedziała pospiesznie ciocia Jadzia do Lucyny. — Przecież wiesz, dlaczego ona się tak denerwuje. Tadeusz w trzydziestym dziewiątym roku przyjaźnił się z tą Edytą, ona go podrywała, to znaczy wtedy to się nazywało, że uwodziła, gdyby była szpiegiem, to i na niego mogły paść podejrzenia, a to rzeczywiście nieprawda. I ten Dorobek też byłby wpłątany, a on tylko z nimi handlował.

— Nie! — zawołała błagalnie Lilka do Teresy.

— Nie zarzynaj swojej siostry nożem w moim domu! Jeśli już musisz, to idźcie przynajmniej na schody...!

— To wydra! — powiedziała moja mamusia ze zdumioną zgrozą. — A ja się dziwiłam, dlaczego Teresa jest na nią taka zajadła...

Teresa ochłonęła wreszcie, napiła się wody i odłożyła nóż do skrobania kartofli. Pogroziła Lucynie pięścią.

— Jesteś wstrętą intrygantką — oświadczyła z odrazą. — Owszem, proszę bardzo, możecie wiedzieć. Tadeusz miał kłopoty i musiał się oczyszczać z tych idiotycznych podejrzeń właśnie przez Edytę. Ona go obszczała. Kombinowała z Niemcami przez całą wojnę, z początku nic o tym nie wiedziałam, jeszcze jej pomagałam przy nieślubnym Dorobku... Głupią ze mnie zrobiła albo i co gorszego, najlepsza przyjaciółka... No i potem już jej w ogóle nie chciałam znać.

— Nie można to było tego wyjawić od razu? — powiedziałam z wyrzutem. — Edytę kryjesz, Dorobka nie mogłaś sobie przypomnieć i w rezultacie zobacz, jak ojciec wygląda.

Ojciec rozmazywał sobie po czole ślady karpia i usiłował pozbyć się z odzieży resztek mąki. Teresa, ciągle jeszcze zdenerwowana, siłą zdana z niego marynarkę i ruszyła z nią do łazienki.

— O Dorobku nic nie wiedziałam — oznajmiła z urazą, zatrzymując się w progu. — Ona go wtedy jeszcze nie знаła. To Jadzia miała jakieś informacje, a nie ja. Ja wiedziałam tylko o Wojdarskim.

— Może raczej niech któraś z was usmaży te ryby — powiedział niepewnie ojciec patrząc w ślad za nią.

— Teresa robi to chyba nie najlepiej. Pewnie rzadko ma do czynienia ze smażeniem...

Marek z Lilką zmiotali z podłogi mąkę i sól, omal nie pobiwszy się o szczotkę, ojciec usiłował ich przekonać, że Teresa nigdy nie miała wielkiego talentu do gotowania i stąd pewna niezręczność w przyrządzaniu posiłku. Lucyna ustawiła na gazie patelnię, nie przejmując się wymówkami cioci Jadzi.

— Gdybym jej nie zdenerwowała, ona by nigdy tego z siebie nie wydusiła — oświadczyła spokojnie. — A raz to wreszcie trzeba było powiedzieć, żeby skończyć z głupimi tajemnicami. Sama jestem ciekawa, co ta Edyta mogła schować w Tończy, i wcale się nie dziwię, że chce to zabrać, nawet jeśli rzeczywiście nie była szpiegem. — No to w takim razie na co czekamy? — przerwała ze zdziwieniem moja mamusia. — Przecież nikt nam nie przeszkadza, żeby jechać od razu do Tończy? A na miejscu się wszystkiego dowiemy...

*

Opóźnienie najazdu na rodzinną posiadłość chociaż o dwa dni kosztowało mnie potworną ilość wysiłków. Pomogły ryby i Zbyszek. Udało mi się wytłumaczyć mojej niecierpliwiejszej się mamusi, że ryby trzeba zjeść na miejscu, bo drogi nie wytrzymają. Jakiś czas ta konsumpcja potrwała, dwadzieścia jeden sztuk potężnych karpia to jednak było coś, nawet Lucyna nie dawała im rady. Zbyszek zaś wrócił właśnie z podróży służbowej, która pozwoliła mu zachować zdrowe zmysły dzięki oddaleniu się od zapchanego rodziną domu. Pogodziwszy się z faktem, że Lilka też jedzie i w dodatku zabiera mu samochód, uparł się przy dokonaniu przeglądu pojazdu. Bardzo mu byłam za ten upór wdzięczna.

Opóźnienia z wielką stanowczością znów domagał się Marek, który znikł nam z oczu od razu po śniadaniu. Odwiozłam go do Zebrzydowic, skąd miał więcej pociągów.

— Postaraj się wyjechać jak najpóźniej — powiedział w czasie drogi. — Potrzebna mi jest swoboda działania, a one wszystkie po przyjeździe zrobią natychmiast takie zamieszanie, że cały powiat się zleci. I wytłumacz im, obie z Lilką im wytłumaczcie, żeby, na litość boską, niczego nie rozgłaszali! Mam poważne powody sądzić, że Lucyny przypuszczenia są słuszne i że tam się znajduje coś ważnego.

— Podejrzewasz, że co? — spytałam bardzo przejęta. — Dokumenty. Jeśli ona istotnie miała kontakty z Niemcami, to diabli wiedzą, jakie materiały mogła tam schować. Wykluczam ujawnienie tej historii, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

— Nie chciałeś listu polecającego do Maryški i Henryka — powiedziałam z troską i wyrzutem. — Jak ty sobie tam dasz radę?

— Już znalazłem sposób, nic się nie bój.

— Jeszcze cię napadną te wszystkie Dorobki razem z panną Edytą!

— Po pierwsze, Dorobki czekają na wyjazd tamtych z wozu. A po drugie, o wiele bardziej boję się twojej rodziny. Bóg raczy wiedzieć, co się tam będzie działo, jak się już zwałą wszyscy na kupę...!

Jakim sposobem udało mi się jechać z Cieszyna do Węgrowa przez Garwolin i Siedlce, sama nie jestem w stanie pojąć. W celu przedłużenia podróży obie z Lilką bardzo zgodnie wybierałyśmy najbardziej boczne drogi, jakie tylko istniały, starannie omijając co przyzwoitsze szosy. Przerażliwie zygzakowata trasa zabrała nam cały dzień i późnym wieczorem zatrzymałam się na owym trójkącie, utworzonym z dwóch dróg i upamiętnionym popisami mojej mamusi na wieprzu, celując nosem samochodu wprost w bramę posiadłości mojej świętej pamięci nieboszczki prababci.

Bramy właściwie nie było. Na zmurszałych słupach zwisały smętnie szczątki zawiasów i połamanego drewna. Rząd wysokich drzew rósł nadal, za nimi trwał rozsypujący się, stary spichlerz, chyląca się ku upadkowi chałupa miała okna zabite deskami. Całość przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Jedynym pogodniejszym elementem był barak na kółkach, ustawiony pod drzewami w połowie ogrodu, wypielęgowany, wdzięczny, zaopatrzony w schodki, ganeczek i białe firaneczki. Zdecydowanie kontrastował z resztą.

Na wieść o przypadłościach rodzinnych i zamierzonych poszukiwaniach Maryška najpierw chwyciła się za głowę, a potem wypędziła na dwór swoje dorastające dzieci. W wozie Drzymały pozostało oprócz niej osiem osób.

— Nie przy dzieciach — powiedziała stanowczo do owych ośmiu osób. — W cztery oczy mogę z wami i rozmawiać. Jak dla mnie, róbcie sobie tutaj, co chcecie, możecie podpalić wieś albo zasadzić w ogrodzie baobaby, bylebym ja o tym nic nie wiedziała. Ślepa jestem, głucha i

jutro rano stąd wyjeżdżam. To wam mówię w cztery oczy, bo oficjalnie oczywiście nie zgadzam się na nic.

Czternaścioro oczu popatrzyło na nią ze zdumieniem i zainteresowaniem. Piętnaste i szesnaste oko należało do Henryka, który nie okazywał żadnego zdziwienia.

— Bo co? — zaciekawiała się mój a mamusia. — Dlaczego tak musisz?

— A jak to sobie inaczej wyobrażasz? Zapomniałaś, czyją jestem córką, czy co? Wam to dobrze, wy nie macie nic wspólnego z tym parszywym spadkiem, możecie sobie pozwalać, ale ja muszę pilnować, żeby ta reszta hien nie miała się do czego przyczepić. Widzicie przecież, że palcem o palec tu nie stukniemy, Henryk chciał studnię oczyścić albo nową wykopać, mowy nie ma! Wodę bierzemy od sąsiadów. Ławka się rozlatuje, niechbym spróbowała ją naprawić, od razu byłaby sprawa sądowa, że się rządzę cudzym, bo nie wiadomo, czy ławka moja, czy ich.

— A któż by się do ciebie przyczepił, przecież tu nikogo nie ma? — zdziwiła się Teresa.

— Donieśliby. Każdy tu ma kogoś swojego we wsi, donosy do nich piszą. Tak, to nikogo nie ma, a rusz jedną deskę, pokażą się wszyscy od razu. Z Argentyny by przyjechali, z Chin, z Bieguna Północnego! Parę dni temu był tu jakiś sympatyczny facet, chciał pomieszkać w namiocie, musieliśmy go wyrzucić. Baba jedna chciała wynająć od nas ten wóz, majątek płaciła, nic z tego! Od razu by się nazywało, że obcego wpuściliśmy i ciągniemy zyski z cudzej własności...

— Ale nam wynajmiesz? — przerwała moja mamusia pospiesznie. — Od nas nie będziesz miała żadnych zysków, więc nam chyba możesz?

— Wy to co innego, wy jesteście rodzina. Możecie się tu nawet włamać i nikt wam nic nie zrobi, jeżeli ja was do sądu nie zaskarżę. A ja was nie zaskarżę, bo mi się tak podoba, a poza tym nic o tym nie wiem. Nawet lepiej będzie, jak się włamiecie, Henryk obluzuje śrubki przy skoblu i łatwo wam pójdzie...

W ten sposób, załatwiwszy sprawę z Maryską w cztery oczy, pobyt w Tończy rozpoczęliśmy od włamania do jej baraku. Poszło nam rzeczywiście łatwo. Teresa, pełna rozgoryczenia, twierdziła, że do Kanady wróci jako przestępca zdemoralizowana przez taką rodzinę. Najpierw kradzież, teraz włamanie, a nie wiadomo, na czym się skończy. Ciocia Jadzia przejęła się niesłychanie uzyskanymi informacjami.

— Baba chciała wynająć od nich ten wóz, słyszeliście? — szeptała niespokojnie. — To ona była oczywiście, Edyta! Słuchajcie, oni tu gdzieś są, trzeba uważać na Teresę!

Lucyna proponowała natychmiastowe rozpoczęcie kopania pod gruszą, a ściśle biorąc pod pozostałościami po jej ściętym pniu. Hamowałam ją wszelkimi siłami. W pocie czoła

przetłumaczyłam całej rodzinie, że mamy się zachowywać jakby nigdy nic, postępować zwyczajnie, a już w żadnym razie nie ujawniać, że cokolwiek mogłoby tu być schowane. Wiadomo było przecież, że na taką wieść zleci się nie tylko cała wieś, ale także wszyscy spadkobiercy wujka Witolda, bijący się między sobą i z nami o znalezisko. Lilka popierała mnie z nadzwyczajną gwałtownością. Spadkobiercy przeważyli i rodzina zgodziła się zachować umiar i rozsądek. Ojciec okazywał lekkie niezadowolenie, bo moja mamusia kategorycznie zabroniła mu oddalać się gdziekolwiek samotnie, co wykluczyło wszelkie wyprawy na ryby.

Marek pojawił się znów zupełnie niespodziewanie drugiego dnia pod wieczór. Wydawał się trochę zły. Nie chciał z nami rozmawiać inaczej, jak tylko w szczerym polu na tyłach ogrodu, twierdząc, że gdzie indziej mogliby nas podsłuchać. Mimo rzucanych dookoła nieufnych spojrzeń nikt nie wykrył żadnej ludzkiej obecności.

— Pod tą gruszą kompletnie nic nie ma — oznajmił. — Sprawdziłem całe korzenie i wszystko obok, ani śladu niczego. Może niech panie przypomną sobie dokładnie, jak to wszystko wyglądało przed wojną i gdzie tu jeszcze ona mogła coś schować.

— Jakim sposobem on sprawdził korzenie pod gruszą? — spytała mnie Teresa podejrzliwie. — Wpuścił tam tresowanego kreta czy co? Nic tu przecież nie robił.

Marek dosłyszał jej podejrzliwy szept.

— Kopałem w nocy — wyjaśnił krótko. — Mogę ręczyć, że tam nic nie ma. Proszę sobie przypominać.

Przypominanie doprowadziło do strasznych rzeczy. Przy tej ławeczce, która się właśnie rozpada, moją mamusię koń ciągnął zębami za włosy, bo się zagapiła i nie dawała mu pić. Przez to zabite deskami okno wyskoczył Antoś, który uprzednio nadleciał z pola jak szalenciec, machając rękami, wpadł do domu przez drzwi i natychmiast wyskoczył przez okno, udając się z powrotem w pole jeszcze większym pędem. Wszyscy myśleli, że zwariował, ale potem okazało się, że goniła go wyjątkowo zajadła pszczoła. W polu go wreszcie ugryzła. Tutaj rosła inna grusza, specjalnie wyhodowana przez moją prababcie, zapewne jedyna w świecie, o której szczerp na kłęczkach błagał ogrodnik księcia Radziwiłła. Miejsce, w którym książęcy ogrodnik kłęczał, nie zostało sprecyzowane, ale za to nieco dalej stał pień do rąbania drzewa, na którym moja mamusia w wieku lat pięciu omal nie odrąbała sobie ręki. Na tym parkanie wisiała zaczepiona kiecką Teresa, rycząc straszliwie, bo nie mogła się odczepić, a tam był ten śmietnik, na który wyrzucono wiśnie ze spirytusu, po czym urznął się w zimnego trupa cały drób...

— Nic trwałego — zauważyła Lilka z troską. — Wszystko ruchome, szczególnie ten Antoś...

— Najgorsze jest to, że Edyta doskonale wie, gdzie co chowała — powiedziała z irytacją Teresa. — To tylko my tacy ciemni jak tabaka w rogu.

— Może by ją w takim razie podpatrzeć? — zaproponowała Lucyna. — Udać, że się wynosimy, zostawić jej plac boju i zobaczyć, co robi...

— Babcia się splotała, że to jakaś zaraza i oskubała wszystkie gęsi i kaczki, żeby chociaż pierze ocalić — powiedziała moja mamusia w rozpędzie. — Potem to wszystko wytrzeźwiało i takie łyse chodziło. Nie I wiem, co ci przyjdzie z podpatrywania, zabierze to J i ucieknie. Będziesz ją ganiać po polach i lasach?

— Ja tam w ogóle nie rozumiem, dlaczego wy nie zawiadomicie milicji — odezwał się nagle ojciec, wyraźnie zdegustowany. — Chociaż znów z drugiej strony, to chyba jest już przedawnione?

— Co jest przedawnione? — spytała Lucyna.

— To przestępstwo. Już minęło przeszło dwadzieścia lat...

— Jakie przestępstwo? — zdziwiła się ciocia Jadzia. — O czym ty mówisz?

— No przecież wyraźnie słyszałem, że ta osoba, ta panna Edyta, utopiła w studni swoje nieślubne dziecko. Tutaj, w Tończy. Słyszałem, jak o tym mówiliście, mnie się to nie podoba i nie życzę sobie mieć z nią do czynienia. Milicja powinna się tym zająć, a ja bym mógł spokojnie iść na ryby...

Nie mogłam wrzasnąć do .ojca sprostowania, bo rozległoby się po całej wsi, a rozmawialiśmy wszak na tym pustym polu, z dala od krzewów i zarośli, specjalnie po to, żeby nas nikt nie usłyszał. Korekty wybuchły zatem wszystkie razem po krótkiej chwili milczenia, wywołanego zaskoczeniem, bo jak zwykle ojciec powiedział coś, czemu nie sposób było zaprzeczyć w jednym zdaniu. I jak zwykle, któraś część tej uwagi zawierała w sobie genialne sedno rzeczy... Działalność panny Edyty, opinie o pomysłach ojca, przypominanie sobie Tończy sprzed lat, propozycje aktualnych poczynań, wszystko zmieszało się w jeden rechwach. Okrzyki przeczyły sobie wzajemnie. Kiedy ona tu była i czy ta druga grusza rosła, byli Niemcy, nie było Niemców, wujek żył, wujek umarł, Teresa widziała Tończy ostatnia, jakie znowu dziecko w studni, wcale nie w studni, studnia... zaraz. Co się stało ze studnią?)

— Właśnie — powiedziałam. — Gdzie studnia? Skąd brałaś wodę dla tego konia, który cię ciągnął żal włosy?

— Ze studni — powiedziała moja mamusia, nieco zaskoczona. — Rzeczywiście, nie widzę studni...

— Jest w pokrzywach — oznajmiła Lucyna. — O mało do niej nie wpadłam. Leżą na niej jakieś deski, ale przeważnie połamane. Nic się w niej nie da utopić, bo sucha jak pieprz i pełna śmieci.

— Co was obchodzi studnia, macie tu jakieś nieślubne niemowlę do topienia czy co? — zirytowała się Teresa. — Ona zostawiła dziecko u tej baby na końcu wsi, zaraz, jak ona się nazywała, Koczkodan, czy coś takiego, już dawno nie żyje...

— Koczkowa — poprawiła moja mamusia. — Jaka szkoda, taka dobra woda z niej była... Miała głębokości siedem metrów, ale woda była już od pięciu.

— A jak się ją ciągnęło? — spytałam z mimowolnym zaciekawieniem. — Czym? Korbą? Żurawiem?

— Drągiem — odparła moja mamusia, rozmarzeni wspomnieniami. — Taką długą żerdzią z hakiem, o który zaczepiało się kubel.

— I ten kubel nie zlatywał? — zainteresowała się Lilka. — Nie gubiło się go w wodzie?

— Owszem, gubiło się. Ale rzadko. Raz komuś zleciał cebrzyk, nie pamiętam komu, to znaczy ten ktoś się nie przyznał, bo dostałby lanie od dziadka. I ten cebrzyk już tam został na zawsze, nie udało się go wyciągnąć.

— Jakim sposobem drąg mógł sięgnąć tak głęboko?

— Był zrobiony z dwóch. Nasz dziadek sam je łączył i ciągle poprawiał. I w ogóle ta studnia była obudowana, miała daszek i drzwiczki. I takie kamienne obmurowanie. Nie wiem, gdzie się to wszystko podziało...

Teresa rozzłościła się na nas, że gędzimy, zamiast snuć twórcze projekty. Marek poparł ją ze zdumiewającą gwałtownością, przychylając się zarazem do zdania Lucyny, która obstawała przy podglądaniu panny Edyty. Ciocia Jadzia nieśmiało przebąkiwała o tej drugiej gruszy. Zabrakło mi papierosów, komary gryzły, porzuciłam więc rodzinę i udałam się do wozu Maryśki po nową paczkę.

Wóz był oświetlony, bo Henryk doprowadził prąd od wsiowej linii napowietrznej. Oprócz wozu świecił także i księżyc, widoczność była zatem zupełnie niezła. Zamiast wejść od razu na schodki ganeczku, uczyniłam kilka kroków w kierunku chałupy, nie wiadomo po co, zapewne dlatego, że myślałam o studni, która powinna była znajdować się gdzieś tam w pokrzywach. Uczyniłam te kilka kroków i zatrzymałam się, bo z daleka wydało mi się, że coś widzę.

Stałam tak dość długą chwilę bez ruchu. Widzenie jakby intensywniało. Coś tkwiło między ławeczką a pokrzywami, coś, czego chyba nie było tu w dzień, przestraszyłam się średnio, bo w końcu rodzina znajdowała się blisko i w każdej chwili mogła mi się rzucić na pomoc, nie mniej

nie czułam jakoś w sobie nieprzeparłej ochoty na podchodzenie tam i sprawdzanie, co to takiego. Z drugiej strony ciekawość nie pozwalała mi wracać. Z tej rozterki zaczęłam myśleć.

Bardzo szybko wymyśliłam dyplomatyczne posunięcie. Powiedziałam zachęcająco: “kici, kici”, odczekałam chwilę, powtórzyłam zew, po czym odwróciłam się, jak osoba, której kocie towarzystwo jest w gruncie rzeczy obojętne i oddaliłam się za wóz, w głęboki, czarny cień drzew i krzewów. Stamtąd zaczęłam podpatrywać. Ktokolwiek czaił się przy studni, powinien myśleć, że ja o tym nic nie wiem.

Głosy rodziny zabrzmiały donośniej, ktoś tam się podniósł z pozycji siedzącej, poruszyli się, jakby zamierzali wracać do wozu. Od ławeczki, w którą wpatrywałam się wręcz hipnotycznie, oderwała się jakaś szczupła, zręczna postać, przemknęła za dom i znikła w czarnej czeluści bramy.

— Konkurencja się pokazała — powiadomiłam Marka, kiedy razem dążyliśmy do jego namiotu, ustawionego w zagajniczku opodal. — Jakiś facet siedział w kucki nad studnią, spłoszył się i uciekł. Moim zdaniem to był młody Dorobek i uważam, że to coś jest w studni, a nie pod żadną gruszą.

Marek był częściowo zatroskany, a częściowo zadowolony.

— Chwała Bogu, że one na tę studnię nie zwróciły uwagi. Aż się dziwię, że do niej nie wpadły, ma przeszłej dwa metry głębokości. Nie waż się im o niej przypominać. Zostaniesz w namiocie, a ja za jakąś godzinę pójdę! tam i spróbuję popatrzeć.

— W ciemnościach będziesz doskonale widział, szczególnie że właśnie księżyc zajdzie... Co za trąby z nas swoją drogą, że od razu nie zgadliśmy! Studnia najlepsze miejsce!

Czas jakiś sprzeczaliśmy się, czy istotnie w stanowi idealny środek do konserwacji dokumentów.

Przypomniałam mu, że studnia jest sucha. Zaczęliśmy się zastanawiać, kiedy mogła zostać zasypana, przez kogo i dlaczego nie do samego wierzchu. Pozostawienie dołu, do którego mogą wpadać konie, krowy, ludzie i wszelka żywina, łamiąc sobie żebra i nogi, wydawało nam się co najmniej dziwne. Dotarliśmy do namiotu.

— A propos, jak się dostałeś do tych korzeni gruszy? — przypomniałam sobie nagle. — Nie wierzę, że kopałeś po nocy z wierzchu. Nie ma żadnych śladów.

— No pewnie, że nie ma, wcale nie kopałem z wierzchu. Dostałem się tam właśnie przez studnię. Wyjąłem parę kamieni obmurowania i podkopałem się pod gruszę od spodu. Głupstwo zrobiłem, bo udeptałem część ziemi na śmieciach. Jeżeli te Dorobki tam zajrzą, od razu się zorientują, że szukamy.

— Już pewnie zajrzeli. Jeżeli to jest w studni, ziemia ich zmyliła, ucieszą się, że źle szukamy. Dlaczego właściwie musimy to trzymać w tajemnicy przed rodziną? Nie prościej byłoby ograniczyć się do wrogów zewnętrznych?

Marek odwrócił się tak, jakbym co najmniej strzeliła z armaty. W świetle księżycy wyraźnie była widoczna zgroza, z jaką na mnie spojrział.

— Czy masz źle w głowie?! Wierzysz w to, że dowiedzą się i nie będą stać mi nad głową całą gromadą? Nie wytrzymają, nie odejdą na krok, będą zaglądać, każda zajrzy tylko dwa razy dziennie i już wystarczy! Tu was przecież wszyscy znają, przychodzą jakieś baby na pogawędki, za parę godzin cała wieś będzie wiedziała, że robimy coś w studni! Jeszcze nie zwariowałem, żeby się narażać na taką kretyńską śmierć!

Zdziwiłam się nieopisanie.

— Dlaczego śmierć? Nawet niechby cała wieś, to co ?,tego? Przecież nie mordują tu ludzi za studnie, nie było takiego wypadku!

Marek przyjrzał mi się z politowaniem, westchnął ciężko i zajął się wpychaniem do reflektorka zapasowych baterii.

— Wobec tego ten byłby pierwszy — rzekł zimno. — Mogłabyś trochę myśleć. Dopóki tamci sądzą, że jesteśmy na fałszywym tropie, siedzą spokojnie. Jeżeli się połapią, że trafiliśmy, Bóg raczy wiedzieć, z czym się mogą wygłupić. To ma przeszło dwa metry głębokości, podkradną się, zepchną mi na łeb jaki kamień i tyle będę z tego miał. Wolałbym być bezpieczny.

Zamilkłam. Plan działania wylął się we mnie od razu i równie szybko postanowiłam nic mu o tym nie mówić, bo po co mam się narażać na protesty i głupie gadanie. Już się rozpedziłam przyjmować bez oporu fakt, że byle łobuz może mi go ukamieniować w studni mojej prababci! Jeszcze czego! Jasne jest, że w tajemnicy przed wszystkimi postróżuję po prostu opodal. Ta cała panna Edyta mogła jednak być szpiegiem, Teresie by się tym nie chwaliła, a wiadomo, jaką wagę miewają; rozmaite ukrywane przez szpiegów dokumenty. I wiadomo, jak wygląda później krwawa walka o ich zdobycie. Zostawić go tam samego, akurat!

— Ty teraz pójdziesz spać — zadysponował. — A ja tam popilnuję. Ze studni wyjdę o świcie i popatrzę jeszcze trochę, czy nikt się nie kręci. Jutro masz się dyplomatycznie dowiedzieć, co się właściwie z tą studnią działo.

Efekt zarówno jego poleceń, jak i moich własnych poglądów na sprawę był taki, że postanowiłam zaraz nazajutrz do palenia kupić sobie sporty. Ewentualnie ekstra mocne. Nie tylko dlatego, że niezbędna ilość carmenów rychło doprowadziłaby mnie do bankructwa, ale też z uwagi na woń. Komary dym z carmenów znosiły z zadziwiającą łatwością, wręcz go

lubiły i po paru godzinach opędzania się doszłam do wniosku, że jeśli cokolwiek da im radę, to tylko sporty i ekstra mocne.

Dyplomatyczne zabiegi dookoła studni szły jak po grudzie. Za zgodą Marka wtajemniczyłam w nasze podejrzenia Lilkę i razem głowiłyśmy się nad sposobami uzyskania od kogokolwiek niezbędnych informacji. Bez dokładnego rozpoznania losów studni w ogóle nie było wiadomo, na jakim poziomie szukać. Zajrzeć do owej dziury udało nam się podstępem, pod pozorem pozowania cici Jadzi do zdjęć na tle pokrzyw, ławeczki i chałupy.

Studnia była bardzo stara, być może wręcz zabytkowa. Kopał ją chyba dziadek mojego pradziadka. Pod spróchniałymi i połamanymi deskami pokrywy ział głęboki dół, co najmniej dwumetrowy, z ziemią i wszelkim śmieciem na dnie. Boki miał wykonane nie z cementowych kęgów, tylko z kamieni, różnej wielkości i średnio foremnych. Dookoła zrównanego prawie z ziemią obmurowania rosły głównie pokrzywy, trochę łopianu i parę krzaczków zwyrodniałych porzeczek.

— Jak, do licha ciężkiego, dowiedzieć się czegoś o tej parszywej dziurze? — powiedziała Lilka półgłosem, odwracając się tyłem do połamanych desek i ostrożnie przysiadając na skraju ławeczki. — Jestem pewna, że to tu, ale możliwe, że na samym dnie, siedem metrów niżej. Kogo pytać i o co?

— O co, to ja wiem — odparłam ponuro. — Tylko nie wiem jak, żeby się nikt nie domyślił. Wpaść do niej może...?

Niespodziewanie pomogła nam ciocia Jadzia. Obleciała już z aparatem fotograficznym każdy kąt w posiadłości i każdą chałupę we wsi i była wielce zde gustowana.

— Nie mogę się z tym pogodzić — powiedziała z żalem przy obiedzie, spożywającym na świeżym powietrzu, przy stole obok wozu Drzymały. — Jakie to mogłoby być ładne miejsce, gdyby było zadbane! Dlaczego tu jest taka okropna ruina, no powiedzcie mi, dlaczego?

— Wojna spadkobierców — mruknęła Lucyna.

— Oj, nie tylko! — zaprotestowała Teresa. — Jeszcze za życia wujka zaczynało się wszystko walić. Doskonale pamiętam, że jak tu byłam ostatni raz, to znaczy tu nie byłam, bo się ukrywałam razem z tą zarazą, Edytą, tylko zajrzałam, jak nikt nie widział, ogród był już zapuszczony, brama wykrzywiona... Zdaje się, że studni też nie było, a za to leżały cementowe kęgi.

— Bo wujek miał zamiar wykopać nową studnię — powiedziała moja mamusia. — Anielka mi mówiła.

— Jaka Anielka?

— No jak to jaka, Pawłowska. Nie poznałaś Anielki Pawłowskiej? Dziś rano z nią rozmawiałam.

— A, Anielka...

— I co ta Anielka mówiła? — spytałam chciwie.

— Wujek już był ciężko chory. Prawie nic nie mógł robić, a żadne z dzieci mu nie pomagało, w ogóle żadnego nie było tutaj, tylko nie wiadomo gdzie. Dlatego zrezygnował z nowej studni, chociaż miał kęgi. Anielka mówi, że jej mąż wujkowi kamienie z pola zwoził do zasypywania tej starej, widziała się z wujkiem przed samą jego śmiercią i jak dziś pamięta, mówił, że mu jeszcze na dwa i pół metra potrzeba i chyba tego nie doczeka. No i rzeczywiście nie doczekał, umarł w dwa dni później. A Anielki męża tego samego dnia Niemcy zabrali i już więcej nie wrócił. Dlatego tak to pamięta.

— To już wujek zasypywał studnię...? — powiedziała Lucyna w zamyśleniu.

— Dziwne, że tej panny Edyty nikt tu nie widział — przerwał jej Marek pospiesznie. — Przecież chyba też ją ludzie znali, skoro przyjeżdżała?

— Raz była i tyle — odparła Lucyna, wciąż zamyślona. — Jako dziecko. Kto ją może pamiętać...

— Ale co ty mówisz, przecież była z małym Dorobkiem! — zaprotestowała ciocia Jadzia.

— Anielka mówi, że ją widziała — oznajmiła moja mamusia. — Mówi, że widziała tę naszą koleżankę, tę dziewczynkę, co miała takie wielkie, niebieskie, lalkowate oczy. Była tu przed wojną, a potem widziała ją już po wojnie albo pod sam koniec. Nawet zdziwiła się, że nas też nie ma.

Anielka, mieszkająca o trzy chałupy dalej, okazała się istną skarbnicą informacji. Z najdoskonalszym spokojem moja mamusia przekazywała wiadomości od niej wręcz bezcenne! Wynikało z nich niezbicie, że panna Edyta była tu zaraz po wojnie, wiosną czterdziestego piątego roku, że w związku z nią powstało jakieś zamieszanie, ktoś jej szukał, partyzanci chyba, o co chodziło, nie wiadomo, w każdym razie panna Edyta zaraz na drugi dzień znikła. Więcej się nie pokazała. Za to później był tu i pytał o nią jakiś facet. Kręcił się koło domu dziadków, ale tam akurat mieszkało kilkoro spadkobierców i wygonili go od razu. A po paru miesiącach sami się też wynieśli.

Obie z Lilką bez mała dostałyśmy wypieków. Marek udawał, że nie słucha, troszcząc się wyłącznie o podsuwanie potraw biesiadnikom. Za to Lucyna słuchała z szaloną uwagą, najwyraźniej w świecie kojarząc jedno z drugim i napełniając mnie żywym niepokojem. Na wszelki wypadek przygotowałam się duchowo na zatuszowanie każdej wypowiedzi, jaka padnie z jej ust.

— Jak ty mi będziesz jeszcze raz tak szeleścić o czwartej rano, to żebyś wiedziała, zaprawię cię drągiem przez łeb! — odezwała się ni z tego, ni z owego Teresa do mojej mamusi, przerywając wspomnienia Anielki. — Jak nie możesz spać, to leż cicho!

— Coś ty, czym ja szeleściłam? — zdziwiła się moja mamusia. — Wcale nie szeleściłam, czytałam sobie Przekrój!

— Muchy tym Przekrojem chyba odganiałaś! Hałas taki robiłaś, jakbyś spała w składnicy makulatury! Też ci się na lekturę zbiera, o czwartej rano!

— To prawda — przyświadczyła ciocia Jadzia.

— Ja też słyszałam te szelesty. Obudziłam się, zobaczyłam, że ona sobie czyta i zasnęłam na nowo.

— Ja w biały dzień na nowo zasnąć nie potrafię!

— A co ja mam zrobić, budzę się o czwartej rano i już wcale spać nie mogę — broniła się moja mamusia.

— I co, mam się męczyć? Poza tym to wcale nie była czwarta, tylko po wpół do piątej!

— Możesz iść na spacer — poradziła Lucyna, wyrwana z rozmyślań. — Drzwi nie skrzypią, możesz sobie wyjść, pomożesz Anielce doić krowy.

— A jak już chcesz czytać, to przynajmniej coś mniejszego, a nie takie wielkie płachty! Porządni ludzie mają prawo się wysypiać!

— A nieporządni nie?

Studnia razem z panną Edytą szczęśliwie poszła w zapomnienie. Naradę wojenną odbyliśmy we troje, Marek, Lilka i ja, posłużwszy się pretekstem zmywania po obiedzie. Pretekst nie był najlepszy, ale innego nie mieliśmy pod ręką. To, że zmywał Marek, nie zdziwiło nikogo, bo zawsze był upiornie pracowity, to, że ja mu towarzyszyłam również wydawało się dość naturalne, natomiast zapal Lilki do tego miłego zajęcia od razu obudził nieufność.

— Podejrzewają cię, że mi go podrywasz — zawiadomiłam ją. — Nastaw się duchowo na grube intrygi. Łypią okiem.

— Co tam — odparła Lilka beztrąsko. — Niech łypią, grunt, że nie słyszą, co mówimy. Dajcie mi chociaż z jeden talerz do wytarcia, bo jeszcze przylecą.

Podstawowa kwestia nareszcie się wyjaśniła, potwierdzając wszystkie domysły i przypuszczenia. Studnię zasypał wujek przed samą śmiercią i panna Edyta mogła z tego skorzystać. Znając spadkobierców, wiedziała, że nikt jej nie zasypie do końca, nikt w ogóle niczego nie ruszy, po pięćdziesięciu latach zostanie wszystko dokładnie tak, jak było, tyle że bardziej podupadłe.

— Dwa i pół metra — powiedział z namysłem Marek, szorując garnek. — Teraz jest prawie dwa, razem z tą ziemią, którą tam sam, jak idiota, dorzuciłem. No, część już wyniosłem, w nocy... Muszę ostrożnie zdjąć przeszło półmetrową warstwę diabli wiedzą czego. Śmieci pomieszanych z kamieniami.

— I gdzie to podziejesz? — spytałam z troską.

— Wepchnę do tej dziury pod korzeniami gruszy. Zmieści się dosyć dużo, bo jednak większość wyniosłem. Całe szczęście!

— A dlaczego ostrożnie?

— Bo nie wiemy, co to jest i jak wygląda. Każdy rupiec muszę obejrzeć, w dodatku unikając hałasu, a tam jest pełno rozmaitego żelastwa.

— Straszna praca — powiedziała Lilka z przejęciem, uporczywie wycierając jeden i ten sam talerz. — Jak on sobie da radę, przecież to pod ziemią!

— Był górnikiem swego czasu — poinformowałam ją. — W ogóle czym on nie był, Chryste Panie! Teraz mu się przyda, jak znalazł.

— Najbardziej będzie mi przeszkadzała taka wielka, zardzewiała miednica z dziurą w środku — westchnął Marek. — Wolałbym się jej pozbyć na samym wstępie.

— Jedna z nas wywiezie rodzinę do lasu — zaproponowałam. — Bez ojca, ojciec może zostać, nie zauważy nawet tysiąca dziurawych miednic. A druga weźmie ją od ciebie, podasz jakoś nieznacznie, i wyniesie na ten śmietnik za spichlerzem.

Przez chwilę Marek protestował, wyrażając liczne obawy, że ktoś to może zobaczyć. Panna Edyta z lornetką siedzi na jakimś strychu i dojrzy wywlekanie spod ziemi zardzewiałego żelastwa. Młody Dorobek pilnuje, ukryty za węglem chałupy albo zgoła w kominie. Starszy Dorobek w przebraniu pasie krowy za drogą i zwróci uwagę... Najwyraźniej w świecie cała ta impreza wszystkim już rzuciła się na umysł.

— One są na was obrażone — powiadomiła mnie Lilka po powrocie z lasu. — Uważają, że robicie z nich balona, ty i Marek, a szczególnie on. Coś wie, struga ważnego i wprowadza głupie tajemnice, zamiast podjąć konkretną decyzję. Mądrzy się niepotrzebnie i przez niego siedzimy tu jak trąby, bez żadnego rezultatu. Nic nie mówiłam, bo się bałam z czymś wyrwać, więc już tak zostały z tą obrazą. Jak ci poszło z miednicą?

— Koncertowo. Wyniosłam ją na śmietnik razem z materacem i ręcznikiem kąpielowym. Udawałam, że się opalam, więc można było najwyżej posądzić mnie o pomieszanie zmysłów, skoro próbuję się opalać na śmietniku. Ale na pewno nikt nie rozpoznał, co właściwie noszę w objęciach tam i z powrotem. Podejrzanych jednostek nie widziałam.

— Marek w studni?

— W studni. Przed kolacją wyjdzie, żeby nie budzić podejrzeń. Upatrzę stosowną chwilę i dam mu znak...

Konspiracyjna działalność zaczęła mnie trochę męczyć. Ziewałam jak stary krokodyl. Pomimo to nocą konsekwentnie wybrałam się na czaty z dwiema paczkami ekstra mocnych. Wzdłuż wąskiej, bocznej drogi, zresztą zarosłej trawą i nie używanej, ciągnął się gęsty pas wysokich krzewów, które odgradzały drogę od łąki i w których tonął zarówno rozpadający się spichlerz, jak i pnie drzew. Wśród nich znalazłam sobie kryjówkę. Komary w pewnym stopniu odczepiły się, moje przewidywania w kwestii gatunku papierosów okazały się zatem słuszne.

Nastawiona byłam na jakieś wstrząsy i przeżycia, ale ich rodzaj zaskoczył mnie nieco. Do świtu panował spokój, nic się nie działo, dopiero przed wschodem słońca, w mglistym świetle rozpoczynającego się dnia, pojawił się facet.

Musiałam się zapewne zdrzemnąć albo zagapić, bo ujrzałam go nagle, kiedy znajdował się już między bramą a ławeczką. Ostrożnie, skradając się i kryjąc wśród wysokiego zielska, zbliżał się do studni. Mimo chłodu poranka zrobiło mi się gorąco, bo za żadną cenę nie mogłam przecież dopuścić, żeby do niej podszedł. Marek był w środku, nawet gdyby nie zajrzał i nie zobaczył go, mógł usłyszeć szmery, brzęków żelastwa nie sposób całkowicie umknąć! Spłoszona i od razu ciężko zdenerwowana, jeszcze przez krótką chwilę nie wiedziałam, co robić, wyskakiwanie z krzykiem z góry uznałam za niesłuszne, po czym wpadłam nagle na epokowy pomysł.

Gwałtownie miotnęłam się w krzakach i trzeszcząc, pchając się między gałęzie, machając i potrząsając czym popadło, zaczęłam przeraźliwie gwizdać coś, co zapewne miało być melodią kujawiaczka, zważywszy jednak moją niezwykłą muzykalność, z całą pewnością nią nie było. Niepokoiło mnie trochę, że Marek na ten dźwięk wyskoczy, ale pocieszyłam się myślą, iż raczej zdrętwieje i straci zdolność ruchu. Facet w pokrzywach zareagował, zatrzymał się i spojrzał w moim kierunku.

Miotalam się w zaroślach w istnych konwulsjach, niewidoczna dla niego, wciąż wydając z siebie upiorne, fałszywe gwizdy. Facet stał jak słup. W panice pomyślałam, że muszę na niego podziałać ostrzej, by całkiem zbić go z tropu.

— Nastąp się! — zaryczałam ponurym basem i runęłam w krzewy bardziej w jego kierunku.

Ze zdenerwowania ochrypłam, dzięki czemu ryk zabrzmiał nawet dość naturalnie. Już byłam zdecydowana zamuczyć przeciągle dla upewnienia go, że istotnie chodzi o krowę, ale na szczęście okazało się to niepotrzebne. Nie wiadomo, jak by mi ta krowa wyszła.

Płoszony osobnik, poruszył się, rozejrzał, z pewną niechęcią i wahaniem zawrócił i ociągając się nieco, opuścił posiadłość.

Nie uspokoiło mnie to jednakże. Mógł wrócić. Mógł obejść dookoła i zjrzeć w krzaki od strony łąki. Mógł czekać, aż pastuch z krową oddali się do diabła. Tkwiłam w zaroślach, przełaząc z miejsca na miejsce, hałasując i starając się nie pokazywać z żadnej strony aż do chwili, kiedy znalazł mnie tam Marek. Słońce już wzeszło, byłam podrapana niemożliwie, spocona z wrażeń i na domiar złego wlałam w krowie łajno. Pół paczki ekstra mocnych gdzieś zgubiłam. Marek, zamiast być mi wdzięczny, zrobił awanturę.

— Przecież ja go słyszałem! — powiedział z irytacją, nawymyślawszy mi wcześniej w sposób bardzo wyszukany. — Co ty sobie wyobrazasz, że ja bym tam siedział i czekał, aż mnie zobaczy? Mam się gdzie schować, zostawiłem sobie miejsce w tej dziurze pod gruszą. Przestań się wygłupiać, bo daję ci słowo, że cię przywiążę w namiocie!

— Bo gmerasz się z tym i gmerasz w nieskończoność! Jakbyś specjalnie chciał się narażać, co to jest, żebyś ty niczego nie robił, jak normalny człowiek! Dlaczego to tak długo trwa, co ty tam robisz, cóż to jest dla ciebie przerzucić głupie pół metra kamieni! Już dawno powinienes się dokopać do samego dna!

Myśl, że dzień w dzień o świtanu będę zmuszona udawać to krowę, to pastucha, to inną jakąś zwierzynę, rozdrażniła mnie nieco i leciałam za nim z rosnącymi pretensjami. Marek się znów zdenerwował.

— Nie płacz się przy namiocie z tym gnojem na butach! Siedźże przez chwilę spokojnie, przyniosę ci wody! Rany boskie, co ja z tobą mam! Już się dokopałem prawie do wujka, muszę być teraz szczególnie ostrożny! Do diabła z tymi amatorami, już bym tu wolał mieć dookoła bandę najgorszych zbirów, byle fachowców! Mówiłem, że masz siedzieć! Nie mogę przecież tym rzucać, każdy przedmiot muszę obejrzeć, zanim wezmę do ręki!

— Dlaczego? Gryzą czy co? Boisz się, że wybuchnie?

— Właśnie. Wcale nie mam pewności, czy nie wybuchnie. Cokolwiek by to było, może być zabezpieczone w taki sposób, że wybuchnie przy podnoszeniu. Poniemieckie materiały bardzo często były tak zabezpieczane.

W pierwszej chwili pomyślałam, że się wygłupia, ale nie, mówił zupełnie poważnie. Poczulałam się wstrząśnięta do tego stopnia, że nawet nie zauważyłam, iż myję nogi lodowatą wodą.

— I co zrobisz, jak znajdziesz coś podejrzanego? — spytałam bez tchu.

— Przede wszystkim wyjdę z tym z tej dziury. Muszę mieć gdzie uciekać.

— I wyniesiesz w pole?

— Nie, raczej chyba rozpakuję na krawędzi. W razie czego wepchnę w dół, wtedy wybuch pójdzie do góry. Wcale mi nie jesteś przy tym potrzebna.

O nie, tego się po mnie nie mógł spodziewać! Za żadne skarby świata nie pozwoliłabym odsunąć się na ubocze od tak efektownej operacji. Raczej przesiedzieć cały tydzień z nogami w tej wodzie, raczej narazić się na walkę wręcz z panną Edytą! Już raz w takiej walce wzięłam górę... Zostać z daleka, mowy nie ma!

Pojąwszy wreszcie siłę mojego uporu, Marek wyraził niechętną zgodę na mój optyczny udział w przedsięwzięciu, pod warunkiem wszakże, iż będę oglądać przedstawienie leżąc na materacu w odległości dwudziestu metrów, schowana za pniem drzewa. Na to ustępstwo mogłam pójść. Oczekiwany rezultat spodziewał się osiągnąć przed jutrzejszym porankiem.

Moja ubezpieczająca działalność, jak się okazało, miała dodatkowe, nieprzewidziane efekty.

— Co to za jakaś cholerna okolica! — powiedziała z irytacją Teresa przy śniadaniu. — Albo moja siostra o wschodzie słońca wachluje się gazetami, albo jakaś gangrena lata po ogrodzie i gwizdże, albo jeszcze co innego! Która z was dzisiaj tak kichała w poduszkę?

— Ja — powiedziała z urazą moja mamusia. — Nie szeleściłam ci przecież, to czego chcesz? I wcale nie gwizdałam. A poza tym jak kichałam, to już było po szóstej.

— Matko Boska, przecież z wami można zwariować! Ten, co gwizdał, to chyba jakiś głuchoniemy, jak żyję nie słyszałam, żeby ktoś tak fałszował! A ta znów kicha! Czy żadnej nocy tu się nie spędzi spokojnie? Żeby nie to kichanie, może bym jeszcze zasnęła!

— A mówiłam jej, żeby poszła do Anielki krowy podoić — mruknęła Lucyna.

— Na drugi raz, jak się obudzę, pójdę sobie — obraziła się moja mamusia. — Może mnie te Dorobki razem z panną Edytą gdzie napadną i będziecie mieli wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty jak wyrzuty, ale pożytek z tego byłby na pewno — zauważyła Lucyna zjadliwie. — Podjęlibyśmy wreszcie jakąś decyzję...

. — Daj spokój, niech nie idzie — powiedziała pośpiesznie ciocia Jadzia. — Zaziębi się na porannej rosie i dopiero zaczniesz kichać!

— To wcale niezły pomysł, żeby ją wystawić na wabia — rzekła Teresa, równocześnie z ukosa spoglądając na Marka. — Siedzimy tu jak takie...

— Purchawki... — podsunęła uczynnię Lilka.

— Purchawki... Sama jesteś purchawka! Jak głupie tu siedzimy i co? Pilnujemy Edyty, a Edyta pilnuje nas i nie rozumiem, dlaczego...

— A co, źle ci tu? — przerwała pośpiesznie Lucyna. — Okolica ładna, odmłodziłaś o trzydzieści lat, jakbyś chciała, możesz się jeszcze raz na parkanie powiesić...

— Sama się powieś — mruknęła Teresa i zaniechała urągań.

— One coś podejrzewają — poinformowałam Marka na stronie. — Jak je znam, tak widzę wyraźnie, że coś węszą. Oka od ciebie nie oderwą.

— Też widzę — odparł krótko. — Mam nadzieję, że nie wywęszą za wcześnie...

Próby wywiezienia rodziny do lasu dla kontynuacji poszukiwań w dzień nie powiodły się w najmniejszym stopniu. Lilka usiłowała zorganizować na odległej łące zabawę w rusalki, Lucyna w odpowiedzi narysowała tylko kółko na czole. Narwała się na ten pomysł wyłącznie ciocia Jadzia, którą skusiła fotogeniczność rozrywki i jedynym jej rezultatem pozostała podobizna Lilki w zniwnym wieńcu na głowie. Moja mamusia, Teresa i Lucyna cały dzień pętały się po ogrodzie, głównie w okolicy studni, jakby domyślały się, że tam spoczywa przywalona kamieniami tajemnica. Aż do nocy nic się nie dało zrobić.

Szaleńczo zdenerwowana i przejęta leżałam następnego poranka na materacu za pniem drzewa, z Jaśkiem pod głową i okręcona kocem. Słońce już wzeszło. Było mi ciepło i wygodnie, więc większą część nocy zwyczajnie przespałam, budząc się tylko co jakiś czas i wyglądając złoczyńców. Możliwe, iż mimo emocji zasnąłabym jeszcze raz, gdyby nie to, że nagle ujrzałam Marka.

Wylazł ze studni, nie kryjąc się wcale, i pochylił nad czymś, co leżało na obmurowaniu studni. Po chwili przykląkł nad tym.

Dokładnie w tym samym momencie otworzyły się drzwi baraku na kółkach i na ganeczku ukazała się moja mamusia w nocnej koszuli, w szlafroku i z wielką bańką na mleko w ręku.

Z niezwykle wyrazistością widziałam wszystkie kolejne fazy rozwoju sytuacji. Marek klęczał przy studni, odwrócony do baraku prawie tyłem. Wzrok mojej mamusi padł na pochyloną sylwetkę, widoczną dla niej wprost pod słońce. Na ułamek sekundy zamarła, po czym w oku błysnęło jej dziko i mściwie. Zbiegła ze schodów, jakby jej ubyło czterdzieści lat, niczym duch przemknęła przez ogród i z okrzykiem:

— Czekaj, łobuzie, ja ci pokażę! — zamierzyła się bańką na Marka.

Dalsze wydarzenia nastąpiły prawie równocześnie. Niebaczna na wszelkie obietnice i przysięgi, wystartowałam z materaca, święcie przekonana, że moja mamusia zdąży przygruchać mu tą banią w łeb i nawet wepchnie go do studni. Marek poderwał się, chwycił bańkę w powietrzu, pokrywka z głośnym brzękiem poleciała na kamienne obmurowanie. Moja mamusia zachwiała się, Marek rzucił bańkę, która z jeszcze większym brzękiem wpadła do studni i złapał moją mamusię. Drzwi baraku otworzyły się z trzaskiem i wypadła z nich rozwścieczona Teresa ze swoją szczęką w garści, za nią z impetem wyskoczyła Lucyna, obie zjechały ze schodków, hałaśliwie, ale na szczęście bez krzywdy. Moja mamusia zamarła z opuszczonymi rękami i nieopisanie zdziwionym wyrazem twarzy.

— O mój Boże — powiedziała głęboko rozzalona. — Myślałam, że to ten głupi bubek...

Teresa bez słowa zawróciła do wozu ubrać się w zęby. W drzwiach zderzyła się z Lilką i ciocią Jadzią, ciocia Jadzia, również bez słowa, zawróciła po aparat fotograficzny. Działy co najmniej tak, jakby z góry miały wszystko zaplanowane. W parę chwil potem cała rodzina z wyjątkiem ojca stała dookoła studni.

— No proszę! Mówiłam wam! — rzekła Lucyna z triumfem. — Wiedziałam, że oni szukają tego w studni! Frajerzy, myśleli, że nie zgadniemy! A na mapce wyraźnie było napisane to S!...

— No! — pogoniła niecierpliwie moja mamusia. — Ja chcę zobaczyć, co to jest!

— Ale będzie śmiesznie, jak się okaże, że to stary nocnik po babci — powiedziała Teresa.

— Przesuńcie się trochę! — zawołała ciocia Jadzia. — Bo mi nie obejmuje całości.

Żadne prośby, perswazje i tłumaczenia nie zdały się na nic. Nie było takiej ludzkiej siły, która spowodowałaby nie tylko ich powrót do wozu, ale w ogóle oddalenie się bodaj o metr. Marek, zły i zdenerwowany, zrezygnował z wysiłków, zmierzających do zachowania podstawowych zasad BHP.

— Nożyczki—powiedział rozkazująco. — W takim razie proszę mi przynieść nożyczki. Jakies porządne i ostre. I nie wierzgać mi tutaj nogami!

Po nożyczki skoczyła Lilka. Na obmurowaniu studni spoczywała paczka, od której nikt nie był w stanie oderwać oczu. Owinięta była w starą, podgumowaną tkaninę i okręcona sznurkiem.

— To jest kawałek niemieckiego, nieprzemakalnego płaszcza... — zaczął Marek.

— Aha — przyświadczyła skwapliwie Lucyna. — Gestapowcy takie nosili.

Marek spojrzał na nią okropnym wzrokiem.

— Nie wiem, co jest pod nim — ciągnął dalej.

— Nie dotknę tego, jeśli tu będziecie stały. Macie się odsunąć i położyć wszystkie plackiem!

— Nie wiem po co — rzekła Teresa z niesmakiem.

— Pewnie schowała tam stary rewolwer albo co. Sam strzeli?

Lilka wróciła z nożyczkami, za nią nadciągnął ojciec w piżamie, okręcony kocem, który włókł się za nim jak tren. Obudził się, ponieważ torba z przyborami do szycia zleciała mu na głowę. Dość długo trwało, zanim, po licznych targach i protestach, cała rodzina dała się wreszcie przekonać i przyjęła pozycję leżącą. Ciocia Jadzia wycelowała w Marka aparat fotograficzny, niczym karabin maszynowy.

— Nic nie widzę — oznajmiła z niezadowoleniem moja mamusia. — Te pokrzywy mi zasłaniają. Czy to naprawdę nie można usiąść na krześle?

— Nie można! — warknął Marek.

— Bandyta — powiedziała z urazą moja mamusia.

— O mało go nie zabiłaś, to się teraz nie mądrzyj — skarciła ją Teresa. — Długo mamy tak leżeć?

— Aż on to rozpakuje — odparłam.

— Bardzo dziwny sposób spędzania urlopu...

— Musi rozpakowywać w tym zielsku? — spytała ciocia Jadzia z wyrzutem. — Nie mógłby na ławeczce albo chociaż tam, gdzie jest lepsza widoczność?

— Nie, bo w razie czego chce wepchnąć to do studni, żeby tam wybuchło. Więc musi na krawędzi.

— Niech wpycha prędzej, bo mnie tu coś ugniata — zażądała niecierpliwie Teresa.

— Nie kręć się tak, machasz trawą i wszystko zasłaniasz! — syknęła moja mamusia do ojca.

— Kto to widział tak leżeć na gołej ziemi — odparł z naganą ojciec. — Kataru wszystkie dostaniecie...

— No prędzej! — pogoniła Lucyna. — Twardo tu i Dorobki przyjdą!

Marek powoli i ostrożnie przeciął sznurek w kilku miejscach. Następnie, równie ostrożnie, jął przecinać tkaninę, warstwa po warstwie. Opakowanie opadło, spod niego wychyliło się duże, blaszane pudełko, z boku pudełka ukazała się łagodna morda bernardyna, kremowego w brązowe łąty. Trzask aparatu cioci Jadzi rozległ się niczym wystrzał.

— Suchard — szepnęła ze zdumieniem, gorączkowo manipulując przyrządem. — Popatrzcie, przedwojenny Suchard...

Rodzina wstrzymała oddech. Marek wyjął pudełko. Zatknięte było zwyczajną, wciśniętą mocno przykrywką. Trzymając je nachylone na krawędzi studni, ostrożnie podważył przykrywkę, wyskoczyła i w tym momencie pełna napięcia rodzina nie wytrzymała. Poderwali się wszyscy i Marek, zdenerwowany do ostateczności, też nie wytrzymał. W ułamku sekundy odruchowo pchnął pudełko do studni. Poleciało z brzękiem, coś błysnęło po drodze, posypały się jakieś drobne przedmioty...

— O, masz ci los! — zawołała moja mamusia. — Nic nie widziałam, co tam było?

— Jak to, nie wybuchło? — zdziwiła się ciocia Jadzia z lekkim rozczarowaniem. .

— Nie pchaj mnie, tu jest dziura! — wrzasnęła Lucyna do Teresy.

W zastępstwie pudełka wybuchł nad studnią rejwach pod niebiosa. Wszyscy naraz usiłowaliśmy do niej zajrzeć, o mało nie wpadając do środka głowami w dół. Dwa i pół metra niżej było dość mroczno, nic nie można było rozróżnić, zdawało nam się tylko, że coś błyska. Marek wlaź tam ponownie po krótkim wahaniu, spowodowanym obawami, że za chwilę zwałą się na niego co najmniej dwie osoby. Odpędzał wszystkich od krawędzi równie stanowczo, jak

bezsukutecznie. Podał nam pudełko, otwarte już i częściowo opróżnione. Zachłannie zajrzeliśmy, do środka.

— Wielki Boże... — powiedziała Lucyna w osłupieniu.

Na długą chwilę zamurowało nas wszystkich, bo widok był niewiarygodny. W pudełku była biżuteria, najprawdziwsza w świecie. Patrzyliśmy na nią baraním wzrokiem, niedokładnie zdając sobie sprawę z tego, co widzimy, i nie bardzo wierząc własnym oczom. Teresa wysypała ją na koc, zdarty z ojca, i mała kupka zaśniła w słońcu roziskrzonym blaskiem. Marek w studni wydłubywał spomiędzy kamieni pogubione i porozrzucane drogocенności.

— Coś podobnego... — powiedziała wstrząśnięta ciocia Jadzia, nie odrywając od oka aparatu fotograficznego. — A myśmy się zastanawiały, po co ona przyjechała do Polski! No proszę, miała po co!

Nastawiona pierwotnie na potężną i zagrażającą życiu eksplozję rodzina z niejakim trudem otrząsnęła się z osłupienia. Moja mamusia odbierała ode mnie to, co podawał Marek z głębi dziury. Lucyna z drugiej strony, niebaczną na swoje zachwiania równowagi, leżała w pokrzywach, zwisając bez mała głową w dół, pilnowała jego dokładności.

— Na litość boską, niech on tam aby nic nie przeoczy — powiedziała niespokojnie. — Przecież ci spadkobiercy wujka Witolda wymordowaliby się o to nawzajem. Nie możemy dopuścić do masakry rodziny! Teresa, ojciec i Lilka ciekawie oglądali dobra na kocu, podtykając cioci Jadzi co efektowniejsze do fotografowania. Ciocia Jadzia sama już nie wiedziała, który widok wydaje jej się piękniejszy, złote pierścienie czy też ja z Lucyną, zwisające nad dziurą. Wybrała nas, uznawszy, że jesteśmy ruchome i stanowimy widok nietrwały.

— A to co? — powiedziała nagle moja mamusia z niewymownym zdumieniem, wyjmując mi z ręki kolejny przedmiot. — Przecież to jest naszyjnik młodej Zendlerowej! Skąd on się tu wziął?

Teresa odwróciła się od koca.

— Ale co ty, bredzisz w malignie czy co? — spytała z niesmakiem. — To całe bogactwo na umysł ci padło?

— Ale mówię ci, że to jest młodej Zendlerowej!

— Przywidzenia masz. Pomieszało ci się w głowie. To przecież niemożliwe...

Marek wylaźł w końcu ze studni, kategorycznie zapewniając, że nic w niej nie zostało. Wszyscy siedzieli w kucki dookoła koca, na którym spoczywał majątek panny Edyty, a naszyjnik młodej Zendlerowej przechodził z rąk do rąk. Był niezwykle piękny, oryginalny, łatwy do zapamiętania nawet na całe życie, zrobiony z pereł, brylantów i platynowej koronki.

Wszystkie perły były białe, tylko pośrodku zwisało pięć szarych, idealnie okrągłych i wyjątkowo dużych.

— Jesteś pewna, że to jest młodej Zendlerowej? — dopytywała się Teresa jakoś dziwnie nerwowo i niespokojnie. — Skąd wiesz?

— No jak to skąd wiem, doskonale go pamiętam! Dostała go od starej Zendlerowej, jak urodziła pierwszego syna, chwaliła się nim, pokazywała i nosiła przy każdej okazji. Mój Boże, jak ja jej tego zazdrościłam...

Oni mieszkali na pierwszym piętrze od frontu, to byli bardzo bogaci ludzie...

— Skąd naszyjnik tej Zendlerowej wziął się w studni w Tończy? — dziwiła się ciocia Jadzia. — Dała go komuś na przechowanie?

— Ale skąd, ich wszystkich Niemcy zabrali, bez żadnego powodu, bo się przecież nie wdawali w żadną konspirację!

— Może Żydzi? — podsunęła Lilka.

— Jacy tam Żydzi, stary Zendler był protestantem z dziada pradziada, ale podobno ktoś złożył na nich jakiś donos czy coś takiego. Nie było mnie przy tym, słyszałam tylko, jak mamusia opowiadała, Teresa była, powinna wiedzieć...

Teresa siedziała w milczeniu z dziwnym wyrazem twarzy i wpatrywała się w siejący blaski naszyjnik. Lucyna wyjęła jej go z ręki.

— Ja go też pamiętam — przyświadczyła. — No to cóż, chyba wszystko jest jasne? Wniosek łatwy. Nie ma tu już co ukrywać, Edyta знаła Zendlerów, dorabiała sobie bokami, wszystko się zgadza. Mienie z rabunku.

Cała rodzina zamilkła, treść słów Lucyny docierała do nas powoli i z niejakimi oporami. Teresa podniosła się nagle.

— Schowajcie to — powiedziała szorstko. — Nie mogę na to patrzeć. Obrzydzenie mnie bierze...

— Jak to...? — zdziwiła się niepewnie ciocia Jadzia. Teresa była okropnie wzburzona.

— Jeszcze ciągle miałam nadzieję, że ona była zwyczajną łajdaczką, a nie taką skończoną świnią! Co innego łóżko, a co innego zbrodnie! Jeżeli naszyjnik młodej Zendlerowej znalazł się u niej, to już dłużej nie ma co mydlić sobie oczu! Ona doniosła! I dostała go za usługę.

— Zdaje się, że wszystko, co tu leży, dostała za rozmaite usługi — zauważyła jadowicie Lucyna. — Powybierane co najlepsze, miała dobry gust. Zabierzcie to, ona ma rację, ja też nie mogę na to patrzeć. Moja mamusia ocknęła się nagle z rzewnej zadumy.

— Jak to? — powiedziała ze śmiertelnym oburzeniem. — Co wy mówicie? Więc ona dostawała to od Niemców? To jest to mienie po ofiarach? Po Zendlerach i innych takich? No nie, tego już za wiele! W ogóle nie życzę sobie na to patrzeć, dziwię się, że brałam to do ręki!

— Fu! — powiedziała z odrazą ciocia Jadzia, odsuwając od siebie patykiem pierścioneł z wielkim szmaragdem, jakby to była stonoga albo inne obrzydliŝtwo. — Nie chcę na to patrzeć, to moŝe zdarte z nieboszczyka...

W gustach całej rodziny nastąpiła błyskawiczna i zadziwiająco zgodna odmiana. Ujawniony z nagłą, nieprzemyślany wstręć do wyrobów jubilerskich omal nie spowodował pozostawienia ich na kocu bez żadnej opieki. Zapobiegł temu ojciec, wielce wstrząśnięty, ŝądając natychmiastowego oddania mu koca i ŝeby to ŝwińŝtwo więcej na nim nie leŝało. Marek oznajmił zimno, ŝe już nie takie ŝwińŝtwa brał do ręki i upchnął wszystko z powrotem do pudełka. Lilka w dwóch palcach, z obrzydzeniem, przyniosła mu opakowanie.

— Widzi mi się, co teraz tu się zacznie śledztwo — powiedziała niepewnie. — Nie przyjmą tego chyba na skarb państwa tak całkiem bez słowa? Bo ŝe tej zołzie nie oddacie, to jestem pewna!

Popatrzyłam na Marka. Marek spojrział na Teresę. Teresa stała nad studnią, odwrócona plecami do rodziny.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała do niej Lucyna pospiesznie i ugodowo. — Nie skacz tam. I tak się nie zabijesz, najwyŝej nogę złamiesz i tyle nam z tego przyjdzie, ŝe będziemy mieli jeszcze więcej kłopotów przez głupią Edytę!

— Ona nie fabrykowała tych donosów sama — poparł ją Marek łagodnym i pocieszającym tonem.

— Ona tylko prywatnie informowała swoich gachów, kto z przedwojennych znajomych posiada jakiś majątek. I wcale nie była szpiegiem, sprawdzałem to. A ten Dorobek to był zwyczajny szabrownik i jego syn nie ma z tym nic wspólnego.

— To nie jego syn, to Wojdarskiego — sprostowała moja mamusia mechanicznie.

— No my wiemy, ŝe to była twoja przyjaciółka, ale przecieŝ zerwałaś z nią już dawno i nic p tym wszystkim nie wiedziałaś — powiedziała ŝałośnie ciocia Jadzia.

— Naprawdę nie musisz przez nią popełniać samobójŝtwa...

— Coście zgłupieli czy co?! — wrzasnęła Teresa, odwracając się gwałtownym ruchem. Popatrzyła na nas, na twarzy miała jakiś nowy wyraz mściwej satysfakcji. — Jakie samobójŝtwo, umyśl wam się pomieŝał! Niech sobie Edyta popełnia samobójŝtwo! Zdaje się, ŝe będzie miała powody!

Trwaliśmy w bezruchu w porannym słońcu, zaskoczeni cokolwiek i zaintrygowani, bo w Teresie wyraźnie coś się wylęгло. Obawy, iż za chwilę w studni spoczną jej zrozpaczone zwłoki, od razu przestały nas gnębić. Wręcz przeciwnie, raczej wyglądało na to, że jakieś nagłe odkrycie dostarczyło jej najwspanialszej pociechy. Patrzyliśmy na nią pytająco.

— No? — powiedziała Lucyna zachęcająco i z ożywieniem.

— Zrobisz jej coś złego? — zainteresowała się moja mamusia.

Teresa zesła z obmurowania i przyjrzała się bernardynowi na pudełku nie tylko życzliwie, ale wręcz z czułością.

— Z tego, co ja wiem o Tomie Waltersie, to on sam ją tu przysłał — rzekła konfidencko. — Ostatnio popadł już w kompletne maniactwo i nic więcej dla niego nie istniało, nawet ogród zaczął zaniedbywać. Przypominam sobie, że ktoś tam coś .mówił o jakichś jego nowych nabytkach do kolekcji. Że się spodziewa podobno jakichś niezwykle klejnotów czy coś takiego. Do głowy by mi nie przyszło, że te niezwykle klejnoty leżą w studni naszych przodków w Tończy...

Urwała, popatrzyła na nas dziwnie i dodała; marząco, a zarazem z naciskiem:

— I wiecie, powiem wam, ja bym chciała, żeby ona wróciła do niego bez nich...

*

Życzeniu Teresy stało się zadość. Dowiedzieliśmy się wkrótce potem, iż pani Edith Walters odleciała do Kanady następnego poranka po naszych odkryciach, obładowana kraciastymi walizkami, skróciwszy pobyt w Polsce o całe trzy tygodnie. Starania o bilet na samolot umotywowała złym stanem zdrowia czekającego na nią męża. Nieco później prasa w skromnej notatce doniosła o przekazaniu na skarb państwa mienia poniemieckiego wielkiej wartości. Jakim sposobem Marek to załatwił, nikt z nas nie wiedział.

— Ciekawe, swoją drogą, skąd jej się wziął ten głupi pomysł dybania na Teresę — powiedziała ciocia Jadzia, siedząc w mieszkaniu Lucyny tuż przed odlotem Teresy do Kanady. — Przecież gdyby nie to, nigdy by nam nie wpadło do głowy grzebać w studni w Tończy. Sama chciała zwrócić na siebie uwagę czy co?

Czekaliśmy na odlot samolotu nie na lotnisku, tylko u Lucyny, ponieważ mieliśmy za dużo czasu. Pierwotnie przewidywana pora, ósma rano, znów okazała się złudna, niemniej jednak na wszelki wypadek cała rodzina przybyła punktualnie. Następną przewidywaną godziną była

trzynasta trzydzieści, pozostawało zatem dość czasu na uzupełnienie wyjaśnień. Marek zgodził się służyć nimi dopiero teraz, z przyczyn nikomu nie znanych.

— Mógłbyś to wytłumaczyć — powiedziałam do niego. — Jestem pewna, że wiesz. Omiń tajemnice i powiedz resztę, dopóki wszyscy są w kupie. Ostatnia okazja_.

— Żadnych tajemnic w tym nie ma — odparł spokojnie. — Uczciwie mówiąc, gdyby nie ta... no! to. zatrucie pokarmowe mamy... nic by w ogóle nie było.

Moją mamusię bez mała zatchnęło.

— Co takiego?! — spytała z oburzeniem. Lucyna zachichotała w progu swojej kuchni, Marek ciągnął dalej.

— Wszystko zaczęło się od tego, coście wyprawiali na lotnisku. Przypominacie sobie może?

— Myśmy wyprawiali?! — wykrzyknęła Teresa z pretensją. — To ta idiotka wyprawiała! Godzinę stałam nad jej głupią walizką!

— To prawda, wstrzymała wszystkich — przyświadczyła ciocia Jadzia.

— Właśnie, najpierw panna Edyta przeczekiwała Teresę, która stała jak kat akurat nad jej walizkami. Była święcie przekonana, że Teresa pozna ją od pierwszego rzutu oka i dlatego walizki leżały, a ich właściciel zniknął. Przeczekała, miała nadzieję, że już odjechaliście, zaczęła wychodzić i pierwsze, co ujrzała, to was wszystkich razem miotających się dookoła samochodu. Na jej widok podobno oddaliliście się w szalonym pośpiechu...

— Wcale nie na jej widok, tylko na widok milicjanta! — zaprotestowałam. — Ale zamieszanie w drzwiach zrobiła duże, owszem. Ciągnęła tragarza do tyłu!

— Ona uważała, że to na jej widok, i wydało jej się to podejrzane, przedtem nie wiedziała wcale, że jedzie z tą samą wycieczką... Odczekała prawie pół godziny z nadzieją, że już was więcej nie zobaczy, i możecie sobie wyobrazić, co poczuła i pomyślała, widząc, że tuż za nią wyjeżdżacie na Żwirki i Wigury. Prowadził Dorobek starszy, młodszy siedział z nią z tyłu i utwierdził ją w niepokojach. Przy okazji wyciągnął z niej przyczyny zdenerwowania, o których do owej chwili nie miał pojęcia, a którymi bardzo się zainteresował. Panna Edyta była już absolutnie pewna, że Teresa ją śledzi. Ruszyła w Polskę i zaczęła się plątać po kraju, nie zbliżając się na razie do Tończy i sprawdzając, czy atmosfera wokół niej jest czysta. Już jej się zdawało, że ma spokój, kiedy nagle okazało się, że jedziecie za nimi i to po jakichś odległych wiochach...

— Mleko...! — jęknęłam. — Wiedziałam, że z tej waszej diety nic dobrego nie wyniknie!

— Jak to nic dobrego, a taka forsa na skarb państwa to pies? — zaprotestowała Lucyna.

— Coś się nagle zrobiła taka patriotyczna? — zdziwiła się moja mamusia,

— W dodatku nie tylko zatrzymałyście się tam, gdzie oni, ale jeszcze podstępnie robiłyście im zdjęcia — kontynuował Marek. — Jechaliście za nimi do Sopotu. Mieli zamiar tam się zatrzymać, ale przez was uciekli do Władysławowa...

Nie mógł dalej mówić, bo zaczęłyśmy wszystkie naraz. Lucyna twierdziła, że ta Edyta zawsze była megalomanka i wydawało jej się, że wszystko dla niej i przez nią. Teresa i ja urągałyśmy brudnej wodzie w zatoce, moja mamusia zwracała nam uwagę, że nawet, i z brudnej wody jest jakiś pożytek, dobrze jej tak, tej wydrze. Lilka, która specjalnie przyjechała do Warszawy dla odprowadzenia Teresy, pękała ze śmiechu.

— A we Władysławowie nie miałyście nic lepszego do roboty, jak tylko fotografować jej samochód! — wrzasnął Marek, przekrzykując komentarze.

— Łajdaczka... — obruszyła się ciocia Jadzia ze śmiertelnym oburzeniem.

— Ale przecież potem byli jeszcze w Sopocie! — zawołałam. — Trzymali Teresę w tej ciemnej łazience!

— Bo uciekli z Władysławowa i wrócili do Sopotu, myśląc, że w ten sposób was zmylą.

— No i co dalej? — zaciekała się moja mamusia.

— Potem też jechaliśmy za nimi?

— Przeciwnie. Od tego momentu ona zaczęła jechać za wami, nie mogąc rozszyfrować zamiarów Teresy. Wpadła w podwójną panikę, bo bała się i o swoją przeszłość, i o ten skarb w studni. Straciła głowę. Zaraziła histerią obu Dorobków, którzy wybierali się do Kanady razem z nią, czekali właśnie na paszporty. Zdecydowali się na mnóstwo kombinacji równocześnie; porwać Teresę, przetrzymać ją, dojść z nią do jakiejś ugody, zaproponować prowizję, ewentualnie nawet zamordować w ostatniej chwili. Nabruździł tu młody Dorobek, który miał swoje prywatne plany. Dowiedziawszy się, że chodzi o jakiś ukryty skarb, wcale nie chciał dzielić się z babcią i postanowił zdobyć go dla siebie. Przerysował sobie mapkę...

— Po co? — przerwałam ze zdziwieniem. — Nie wiedział, że to w Tończy?

— Skąd miał wiedzieć? Orientował się tylko, że musi to być okolica któregoś pałacu Radziwiłłów. Ta mapa to rzeczywiście był kawałek starej sztabówki, którą ona dostała od Niemców, pewnie od któregoś wielbiciela, zresztą nie wiem, może ją ukradła...

Zaznaczyła na niej miejsce ukrycia dóbr, bo pierwotnie zamierzała współdziałać z ówczesnym mężem. Dorobkiem najstarszym. Zapewne planowała, że po jej ucieczce z Polski on to wydobędzie i wywiezie. Tymczasem Dorobka wsadzili do mamra, ona uciekła z mapką i już nigdy mu jej nie przysłała. Młody Dorobek wiedział tyle, ile udało mu się podsłuchać i zgadnąć. Sądził, że Teresa konkuruje z jego babcią, miał nadzieję, że też posiada jakieś wskazówki co do skarbu i dlatego tak gorliwie starał się ją dopaść. Koniecznie chcieli ukraść

film, bali się, że stanowi jakiś dowód przeciwko nim, a poza tym przypuszczali, że z rodzaju zdjęć odgadną, o co chodzi Teresie...

— Można wiedzieć, po jakiego diabła właściwie porwali Janka? — przerwała Teresa z niesmakiem. — Najniewinniejszy człowiek z całej rodziny!

— To był nagły i rozpaczliwy pomysł panny Edyty...

— Jedyne rozsądne rozwiązanie! — westchnęła Lucyna melancholijnie. — Tyle ryb, mój Boże...

— Jakim cudem nikt go tam nie złapał nad tymi stawami? — wtrąciła z zaciekawieniem Lilka. — Przecież tam pilnują!

— Oplaciła ciecica, żeby zaniewidział na jedną dobę. Liczyła na dezorientację całej rodziny. Miała nadzieję, że albo się wszyscy rozproszą w poszukiwaniach, i wtedy dopadnie Teresę, albo utkną murem w Cieszynie i wówczas ona spokojnie dostanie się do studni w Tońcy. Nawet próbowała, ale jak wiecie, bez rezultatu... Sensu w tym nie było za grosz, kompletna amatorszczyzna. Miotła się tak między Tońcą a Cieszynem, a za nią miotał się młody Dorobek, ciągle pełen nadziei, że jemu się uda, a babci nie...

— Dziwnie mi to brzmi, jak o Edycie ktoś mówi "babcia"... — westchnęła Teresa.

— Skąd właściwie to wszystko wiesz? — spytałam ostrożnie i podejrzliwie. — Panna Edyta ci się zwierzała?

Marek przybrał niewinny wyraz twarzy.

— Panna Edyta może nie, ale oba Dorobki mówią po polsku. A człowiekowi w rozgoryczeniu zawsze się coś wyrwie....

— Szczególnie, jeśli ten człowiek ma obawy, czy mu nie wytoczą sprawy sądowej za porwanie — uzupełniłam w nagłym przypływie bystrości. — Pewnie z dwojga złego już woli się powierzać...

— Żeby tylko spadkobiercy wujka Witolda nie dowiedzieli się o tej całej historii — westchnęła Lucyna z troską. — Nigdy w życiu nie uwierzą, że wydłubaliśmy z tej studni wszystko i w poszukiwaniu jakiejś przeoczonej perełki zmiotą z powierzchni ziemi całą wieś.

— A przede wszystkim nie uwierzą, że oddaliśmy całość na skarb państwa — mruknęła Lilka. — Zmiotą z powierzchni ziemi także i nas...

*

Ostatecznej satysfakcji dostarczyła nam Teresa listownie już po powrocie do Kanady. Wśród licznych okrzyków mściwego zadowolenia doniosła, iż jej przypuszczenia okazały się całkowicie słuszne. Tom Walters istotnie wysłał żonę do Polski po zakopany skarb, o którym opowiadała mu wielokrotnie, mocno przesadzając jego wartość dla utrwalenia mariażu. Gdyby nie ten skarb, zapewne dawno by się z nią rozwiódł, milionerzy mają bowiem to do siebie, że w żonach mogą przebierać jak w ulęgawkach. Panna Edyta skarbu nie przywiozła i już sam ten fakt spowodował odebranie jej serca i zmianę testamentu na korzyść dzieci z pierwszego małżeństwa. Nie na tym jednakże koniec przyjemności!

Bez udziału Teresy wykryła się i reszta, bo młody Dorobek, zdeglustowany niepowodzeniem, z zemsty wysłał mężowi babci odpis jej aktu ślubu z dziadkiem Dorobkiem. Odpis rąbnął tatusiowi. Panna Edyta stanęła przed sądem za bigamię, o czym dowiedzieli się natychmiast wszyscy hobbyści ogródkowi...

— Coś podobnego, popatrzcie, jednak istnieje na świecie jakaś sprawiedliwość! — stwierdziła Lucyna z lekkim niedowierzaniem.

Moja mamusia, głęboko zamyślona, pieczołowicie składała list od Teresy.

— W Woli Szydłowieckiej też mieszka nasza rodzina... — rzekła w zadumie. — W posiadłości po przodkach naszego tatusia. Nie widziałam Woli Szydłowieckiej już przeszło czterdzieści lat, a zdaje mi się, że tam też jest jakaś studnia...